

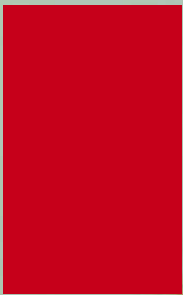
Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend



- Szalom haver. Ми думаємо про тебе. Żegnamy Pawła Smoleńskiego
- Koniec żartów z euroarmii • Jak wysiąść z samochodu • Turcy wybierają prezydenta • B jak bibliotekarze, Ł jak Łukoil. Nowy alfabet nowojorski



WYSOKIE OBCASY
Masłowska
Podobno brzydka, podobno stara, na pewno słaba



GAZETA
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



FOT. VITAJI/PETRUSHENKO/GETTY IMAGES

Wypaleni,
przepracowani,
zdesperowani

Ósmoklasiści

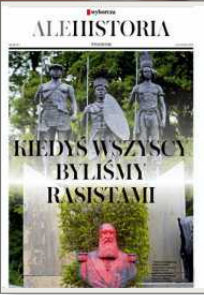
Szkoła życia
w państwie PiS

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



**Zwracać, nie zwracać,
komu zwracać?**
Europejskie muzea
i sztuka zagrabiona

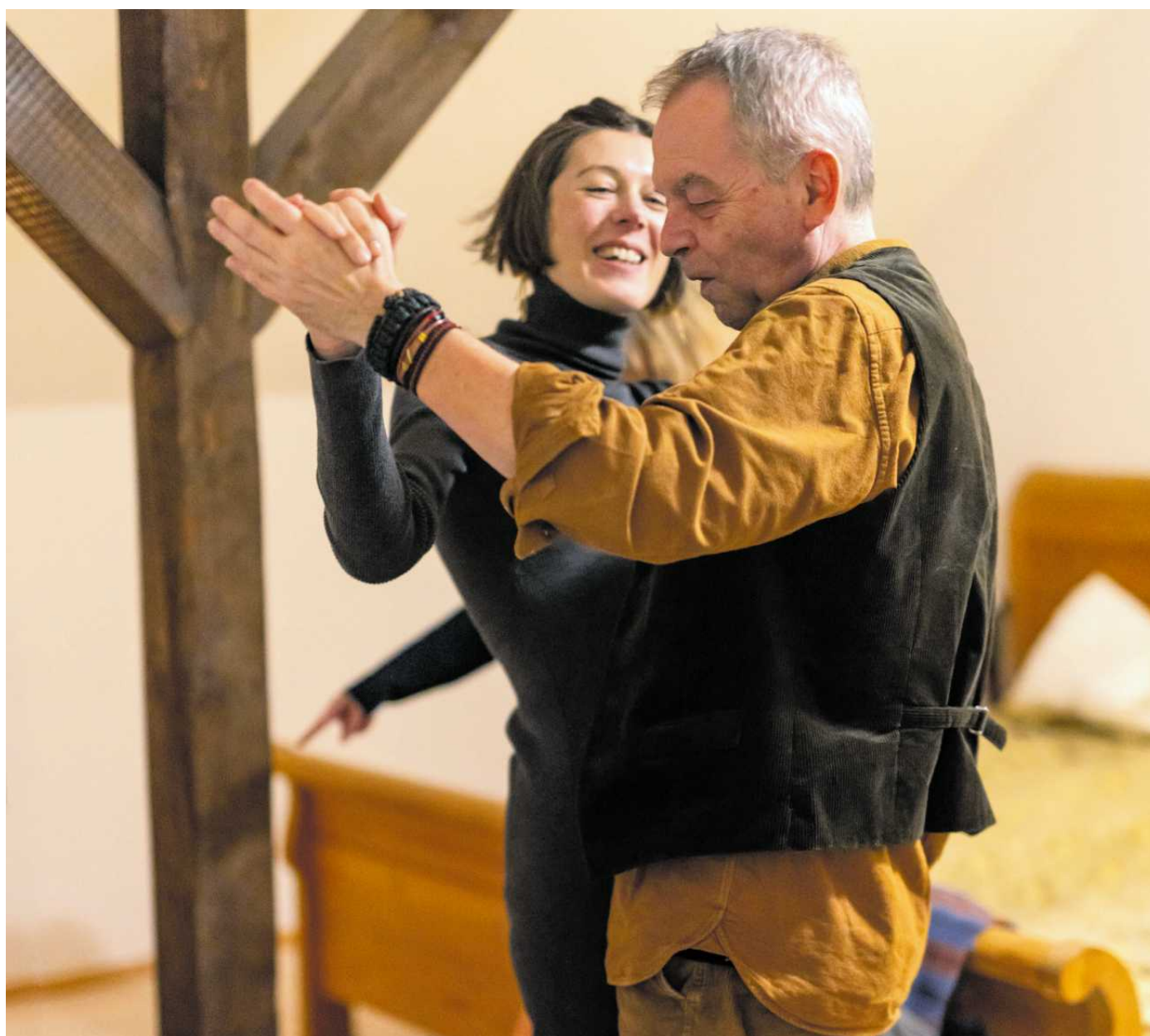
**Kryzys
rakietowy**
Amerykanie za
bardzo się zestrachali



**Każdemu
jego rytuał**
Oni mają koronację,
my marsz narodowców

Dzięki, Paweł!

Szalom haver. ми думаємо про тебе. Do zobaczyska!



• Z żoną
Marią
Fredro-
-Smoleńską,
2021 r.

FOT. ARCHIWUM
PRYWATNE

Uwagi napisz mi wierszem

Znaleźć się we śnie Pawła Smoleńskiego to był zaszczyt.

MIROSŁAW MACIOROWSKI

Wysłałem Mu kiedyś mailem uwagi do tekstu. Odpowiedział, jak zawsze żartem, żebym się bujał albo napisał je wierszem. Napisałem. Odpisał też rymowaną. Oczywiście znów, żebym się bujał, ale tym razem zawarł to w czterowierszu. Ale tekst do gazety poprawił. I potem już jakoś tak wyszło, że przez chyba rok pisaliśmy do siebie wierszyki. Prawie w każdej sprawie. Zasada była jedna – obok kluczowej informacji rymowany komentarz, w którym chodziło wyłącznie o to, kto komu mocniej naurąga. Zacytowałbym niektóre wymiany ciosów, Paweł nie miałby nic przeciw, ale dla postronnego czytelnika ta „poezja” z wielką liczbą wykrępowań mogłaby być mało zrozumiała. Zapewniam jednak, że w tej częstochowskiej strzelaninie o czystą poezję nam chodziło. Kto kogo mocniej porówna, lepszą onomatopoeją prześwięci albo ciężką metaforą podtopi.

Cóż, dzielnie stawałem, ale to Smoleń bezapelacyjnie wygrywał. Przeklinanie poetyckie podniósł do rangi sztuki, a w poezji skatologicznej był niezrównany.

Obok tej zabawy, błahej, ale dla nas obu ważnej, była niezwykła współpraca. Z mojej strony zwykle był po-

tok chaotycznych słów, którymi starałem się wytłumaczyć, o co mi chodzi. Z Jego zwykle padało tylko jedno słowo. Jedno, ale fundamentalne i ostatecznie: „Zalatywione”, czasem podkreślone dopełnieniem „masz to”.

– Smoleń, może byś napisał o tym czy o tym? Ujmij to tak i tak. Trzeba położyć nacisk na to, a na tamto nie.

– Zalatywione.

– Smoleń, jest taki gość, niewiele o nim wiadomo, ale w początkach państwowości Izraela odegrał ważną rolę. Napiszesz?

– Zalatywione.

– Ten a ten wydaje książkę, trzeba z nim zrobić ciekawą rozmowę.

– Zalatywione.

I rzeczywiście wkrótce było zalatywione. I to jak! Każdy redaktor, który zetknął się z legendarną już w „Wyborczej” pisarską frazą Pawła – zakreconą, finezyjną, publicystycznie całkowicie osobną i jedyną w swoim rodzaju, wie, o czym mowa. Paweł napisał setki wspaniałych tekstów, wiele wybitnych książek, komentarzy, felietonów, wielkich tekstów publicystycznych. Miarą jego klasy była nie tylko ogromna wiedza – o historii, polityce, Polsce, Ukrainie, Izraelu, Afryce, Balkanach i świecie w ogóle, ale również łatwość i gracia, z jaką przelewał tę wiedzę na papier.

W wielkiej formie był do samego końca. Jego teksty po wybuchu wojny w Ukrainie to majstersztyki. Nikt w pol-

skiej prasie nie napisał tak przenikliwego, erudycyjnego i wspaniale skomponowanego artykułu o pułku Azow. To Paweł pierwszy przybliżył Polakom generała Walerija Żaluznego. A na rocznicę wybuchu wojny skreślił portret Zelenskiego, nieoczywisty, daleki od egzaltacji, będący jednocześnie opowieścią o człowieku i politycznym obrazem walczącej Ukrainy.

Ostatni raz rozmawialiśmy – sprawdziłem w telefonie – 17 kwietnia. Był już na mocnych lekach. Miały wpływ na jego samopoczucie i sny. Opowiadał o nich z rozbawieniem, ale i pasją, wręcz podnieceniem. – Maciorka, byłeś tam. Razem chyba kupowaliśmy psa – opowiadał. Obaj psiarze jesteśmy, więc tak mogło być. A potem ta opowieść skręcała w różne dziwne zakamarki Pawłowej wyobraźni pobudzonej opioidami. Śmialiśmy się z tych wizji, które relacjonował również innym naszym wspólnym przyjacielem, którzy się w jego szpitalnych snach także pojawili.

– Musisz je koniecznie zapisać, to może być hit – powiedziałem.

– No pewnie. Jak tylko ołówek będę mógł chwycić, zapiszę...

Nie zdążył. Znaleźć się w snach Pawła Smoleńskiego to jednak było coś. ●

Moja modlitwa za Pawła

Mieliśmy rozmowy bardzo osobiste. Takie, jakie ksiądz może mieć z dorosłym mężczyzną, o życiu, jego sensie.

TOMASZ DOSTATNI OP

Nazywaliśmy go Atamanem, gdyż jego teksty o Ukrainie, Ukraińkach i Ukraińcach zbliżały to, co historia często brutalnie podzieliła. Mówiliśmy: „Ataman Smoleński”. Ale i w Izraelu czuł się jak w domu. Poruszał się po tej ziemi jak mało kto. Po latach pracy reporterskiej wszystkie drzwi były przed nim otwarte. To on opowiadał mi o Etgarze Kerecie, zanim zacząłem go czytać. Pamiętam długą rozmowę w pociągu o Kurdach, zanim poznałem ich w Polsce.

Wielokrotnie nocowałem u niego, gdy mieszkał jeszcze na Bukowińskiej. Po kolacji, którą sam przygotowywał, prostej, długo gadaliśmy w noc. Naprawdę Polaków nocne rozmowy. Gdy budziłem się rano na tym 11. czy 12. piętrze, przez rozrzedzone powietrze na tej wysokości wydawało mi się, że jestem w niebie. Mówilem mu, że jakże jest szczęśliwy, mieszkając tak wysoko. Zapraszałem do Lublina, Poznania. Miał w Poznaniu, w Galerii na Płocie, wystawę swoich zdjęć – tak, Paweł robił zdjęcia – z Izraela. Wydrukowaliśmy mu pocztówki, cieszył się, opowiadał. Opowiadał stale – na przykład o palestyńsko-żydowskich relacjach.

Mieliśmy też ze sobą rozmowy bardzo osobiste. Tak jak ksiądz może rozmawiać z dorosłym mężczyzną, o życiu, o jego sensie.

Był dumny ze swoich dzieci. Jagodę obserwowałem na zawodach końskich w Baborówku, mówił mi o pisaniu Jasia. Tata opowiadał o nich.

Pisywał też recenzje moich książek. Przepowiedział moje odejście z Lublina: „Jeśli, uchoвай Boże, ktoś chciałby ojca Tomasza Dostatniego skądkolwiek przegnać, ufam, że wierni krzykną: Nie damy!”. Widać prorokiem nie był.

Chciałem go odwiedzić w chorobie, nie udało się. Wymieniliśmy SMS-y, napisał: „Dziękuję”.

Nasz wspólny przyjaciel pisarz pierwszy dał mi znać, że Paweł nie żyje. „Pomódl się za niego, bo umiesz”. Co czynię.

Żegnaj, przyjacielu. Szalom haver. ВІЧНАЯ ПАМ’ЯТЬ. ●

• W Jerozolimie, 2008 r.

FOT. WOJCIECH
OLKUŚNIK /
AGENCJA
WYBORCZA.PL



• Luty 1992 r., z żoną Elą na balu „Wyborczej” w podziemiach niedawnego KC PZPR – obecnego gmachu giełdy FOT. MICHAŁ MUTOR / AGENCJA WYBORCZA.PL



• 2004 r., wywiad z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim o sytuacji w Ukrainie po wyborach prezydenckich, tuż przed pierwszym Majdanem

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



• W redakcji „Wyborczej” z Leszkiem Talką (w głębi), początek lat 90.

FOT. PIOTR
WÓJCIK /
AGENCJA
WYBORCZA.PL

Jakbym powieść czytał

Udowodnił, że posiedzenia, spotkania, mityngi, manifestacje mogą mieć szeroki flow i wymiar wielkiej literatury.

ZIEMOWIT SZCZEREK

Nie wiedziałem, że można tak pisać. To naprawdę było dla mnie zaskoczenie. Niby o tych samych rzeczach co w gazetach, ale tak, jakby się powieść czytało. Nie pamiętam, co było pierwsze, jaki to był tekst Smoleńskiego, ale pamiętam to zdziwienie. I to nie o to chodzi, że do tej pory mieszkalem pod kamieniem i nie znalazłem reportażu. Smoleński to było coś naprawdę wyjątkowego.

Na przykład taki „Pochówek dla rezuna”. Tu nawet nie o to chodzi, czy ja się z tym, co pisał Smoleński, w całej rozciągłości zgadzałem, czy nie. Czy emocjonalnie byłem po stronie jego bohaterów, czy po jakiejś innej. Chodziło o to, w jaki sposób on to robił. W jaki sposób opisywał wydarzenia dziejące się w Polsce i przeprowadzane przez teje Polski obywateli. Albo jej sąsiadów. Że jakieś nudne posiedzenia, spotkania, mityngi czy manifestacje, ogólnie – procesy odbywające się na szarych, nudnych polskich ulicach mogą mieć szeroki flow i wymiar wielkiej literatury. Tak, to chyba o to chodziło. Smoleński potrafił naszą codzienną, przemieloną przez doniesienia newsowe i widok z własnego okna codzienność wynieść na zupełnie inny poziom, poziom literacki, który kojarzył się z czymś naprawdę poza i ponad tym wszystkim. Nawet jeśli się tylko kojarzył.

Albo te jego teksty góralskie. Zaczęło się bodajże od „Bedzies wisiol za cosik”, pisanego razem z Bartłomiejem Kurasiem. O mój Boże. Znow to samo. Co innego opisywać obce kraje i dalekie lądy, jak robił to Kapuściński, których, tak czy owak, przynajmniej w czasach Kapuścińskiego, nikt prawie z jego czytelników nie miał oglądać. A w Tatrach był każdy. I właśnie to, że ten cholerny Paweł Smoleński kręcił się po tych wszystkich miejscach, szlakach, ulicach i deptakach, które przecież znałem – jako turysta, włóczęga i diabli wiedzą, kto jeszcze, na pamięć i do znudzenia, a wycisnął z nich takie historie, i to w takim wielkim, światowym stylu – to mnie waliło na kolana. Wow. Proszę bardzo. Frazy, fragmenty, które mi po głowie chodziły długo po przeczytaniu – przecież po to, myślałem zawsze – po to się właśnie pisze. Po to to jest. To nie jest, myślałem, ta literatura, coś niekonkretnego, takie nie wiadomo co. O nie. Ona właśnie jest po to, by opisywać znane i codzienne tak, żeby wydobyć z niego niecodzienne i nieznane. I do tej pory się tego trzymam.

Dzięki, Paweł. ●



• 2015 r., Giraffe Centre w Nairobi

FOT. JACEK MARCZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



• 2009 r., debata o Okrągłym Stole z Heleną Łuczywo i Adamem Michnikiem w gabinecie naczelnego „Wyborczej”

FOT. KRZYSZTOF MILLER / AGENCJA WYBORCZA.PL

Cudowny arcypolski cynik

Gdy rozmawialiśmy ostatni raz, oczywiście sztydził się.

ANDRZEJ STASIUK

S trasznie go lubilem i chyba z wzajemnością. Na tych samych falach nadawaliśmy. Sarkazm, ironia, szyderstwo, a pod spodem ciepło, uczciwość, duchowa, moralna nieprzekupność. Taki był. Odczuwałem niemal fizyczną przyjemność rozmowy z nim. Cudowny cynik. I arcypolski z tymi swoimi tematami: nie brał żadnej ze stron. Ani z Ukrainą, ani z Izraelem i Palestyną. Monika jeździła z nim do Izraela i na Zachodni Brzeg. Mnie jakoś nie ciągnęło do Ziemi Świętej.

Dość rzadko się widywaliśmy. Ostatni raz rozmawialiśmy jakiś miesiąc temu. Na głośnomówiącym w aucie. Jechaliśmy z Moniką chyba do Lublina i rozmawialiśmy. Ale nie o jego raku, tylko o tym, co się dzieje. O Polsce znaczy. O całym tym ponurym i groteskowym syfie, który się rozlewa. O Kościele, że dość przyjemnie patrzeć, jak się pograża, jak w jakiejś ponurej operetce. Oczywiście sztydził się. Wydaje mi się, że on o raku nie chciałby gadać.

Czy byliśmy przyjaciółmi? Jak ktoś porządny umiera, to od razu przybywa mu „przyjaciół”, więc ja bym z tą przyjaźnią był ostrożny. Tym bardziej że Paweł nie może już zabrać głosu w tej sprawie. Ale mogę przywołać historię: gdy jakiś czas temu nagrałem z Haydamakami płytę z Mickiewiczem, Paweł zrobił ze mną tak zwany wywiad w celach promocyjnych. Przyszedł bez dyktafonu, bez kawałka kartki, usiadł w kącie i o coś tam mnie pytał. Gadałem, gadałem, a potem przeczytałem to w druku, bo nawet żadnej autoryzacji nie było. Czytam, czytam i nie rozpoznaję żadnego słowa. Po prostu napisał, co uznał za stosowne. A ja się ucieszyłem, chociaż należałoby strzelić jakiegoś focha, nie? I to był ten poziom zaufania, bliskości.

Jedna rzecz nas zasadniczo różniła: nie lubił jeździć samochodem i z pewną pogardą wyrażał się o moim, idiotycznym jego zdaniem, upodobaniu. Nie jeździliśmy razem.

Nie mieliśmy powodów do kłótni czy sprzeczek. Co do spraw zasadniczych mieliśmy zbliżone spojrzenie. A duperele nas nie zajmowały. Poza tym, jak się do kogoś czuje instynktowną sympatię, to się człowiek nie zajmuje jakimiś szczegółami.

Nie powiedziałem mu tego wszystkiego. Nie powiedziałem mu, jak jest ważny dla mnie. Przed śmiercią stchórzyłem. Pewnie przed uczuciami. Pewnie wyobrażałem sobie, że on i tak wie, co chciałbym mu powiedzieć. To oczywiście wygodne. Nie wiem. Jak ktoś umiera, to powinniśmy tam być. Przy każdym. I go dotykać. Tylko tyle można zrobić, ale to przecież nierealne. Bo co żywy może zrobić z samotnością umierania? No, kurwa, co? No więc Monika mówiła do niego przez telefon, chociaż nie wiedziała, czy słyszy. Pewnie już nie słyszał.

A potem rozpalilem ogień. Plakałem. ●



• Z Salmanem Rushditem w Nowym Jorku, 2006 r.

FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

• 2005 r., z fotoreporterem Krzysztofem Millerem, jednym z najważniejszych polskich korespondentów wojennych, w Kurdystanie

FOT. KRZYSZTOF MILLER / AGENCJA WYBORCZA.PL



• 2013 r., z Bartłojem Kurasiem z krakowsko-zakopiańskiej „Wyborczej”, znawcą Tatr i Podhala, na spotkaniu z czytelnikami

FOT. MAREK PODMOKŁY / AGENCJA WYBORCZA.PL



FOT. ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL, MONTAŻ ARTUR SIŃCZUK



ŚMIEJ SIĘ KOMECIE W TWARZ

Nic nie jest stracone, dopóki są ludzie, którym o coś chodzi

Mirosław Czech

W 2012 r. pojechaliśmy na 30. Łemkowską Watrę w Zdyni w Beskidzie Niskim. To największa impreza plenerowa Ukraińców w Polsce, gdzie zjeżdżają się nie tylko osoby deportowane w ramach akcji „Wisła” z 1947 r. oraz ich potomkowie z kraju i zagranicy. Goszczą też Ukraińcy wywiezieni z Łemkowszczyzny do Ukrainy Sowieckiej w latach 1944-46 oraz Ukraińcy i Rusini z sąsiedniej Preszowszczyzny na Słowacji. Są też etniczni Polacy, bo impreza wrosła w pejzaż kulturowy południowego Podkarpacia.

Paweł prezentował drugie wydanie „Pochówku dla rezuna” – najważniejszej książki o Ukraińcach w Polsce i relacjach polsko-ukraińskich. A także wspólny z Bartłomiejem Kurasiem tom „Bedzies wisiół za cosik. Godki podhalańskie” o Józefie Kurasiu-Ogniu. Klucz do zrozumienia pogmatwanych dziejów Podhala w latach 40.

Prezentacje się udały, dyskusje były ciekawe i długie, wśród publiczności przeważały osoby w młodym i średnim wieku. „Paszkinie – powiedziałem – nie jest złe, skoro słucha cię tyle osób, choć wokół piękne plenery, występy zespołów folklorystycznych, zabawa i tyle ładnych dziewczyn”.

Organizatorzy Watry przyjęli Pawła jak swojego, a on czuł się jak swój. Choć odgrywanie roli osoby publicznej przychodziło mu z trudem – był dziennikarzem i reportażystą, a nie działaczem społecznym czy też politykiem. Ludzi pytał, wysłuchiwał ich racji i na tej podstawie wyrabiał sobie pogląd. Z rozmówcami na ogół nie dyskutował i nie przekonywał ich do swoich racji. To, co miał do powiedzenia, komunikował w reportażach, artykułach i książkach.

Jedną z młodych czytelniczek „Pochówku dla rezuna” wyznała, że była pewna ukraińskiego pochodzenia autora. A tu taka niespodzianka – z Ukraińcami nie łączą go żadne rodzinne koneksje. Ich (naszymi) problemami się zajął, ponieważ nie godzi się z ludzką krzywdą i uważa, że powinna być naprawiona.

Wieczorem pobiesiadowaliśmy zacnie, choć umiarkowanie. Prof. Mykoła Muszynka – etnograf, kolekcjoner i legenda preszowskich Ukraińców, pozbawiony możliwości naukowej pracy po Praskiej Wiośnie – ubrany w czuhę (męski płaszcz z wełnianego, samodziałowego sukna, ozdobiony obszyciami i haftem) opowiadał o swoich przeżyciach. Snuł też rozważania o przyszłości preszowskich oraz łemkowskich Ukraińców i Rusinów. Mało optymistycznej, bo wielu się asymiluje, zapomina o korzeniach.

U pani Zofii, która zarządzała kuchnią, zjedliśmy „najlepsze kotlety schabowe pod słońcem”. Śmiechu i żartów co nie miara, bo Paweł uwielbiał klimaty wzięte

prosto z życia. Ludzi autentycznych, przyjaznych i nienadętych. A pani Zosia taka właśnie była.

Wśród uczestników Watry odnajdywałem wielu znajomych z czasów studenckich, gdy organizowaliśmy pieszy rajd Karpaty ciągnący się od Krynicy do okolic Przemyśla i Lubaczowa, czyli terenów, skąd wysiedlono naszych dziadków i rodziców w 1947. Rozpoznawałem dzieci znajomych, opowiadając Pawłowi, że ktoś jest ludzako podobny do mamy lub taty. Albo że podobieństwa nie widać wcale. I że akcja „Wisła”, której celem było rozproszenie i wynarodowienie Ukraińców, celu nie osiągnęła, bo jeszcze przez wiele lat ludzie będą się zbierać na Watrze.

W drodze powrotnej obiecywaliśmy sobie, że „jak się zestarzejemy”, to przyjedziemy do Zdyni, powłóczymy się po Beskidzie Niskim i Bieszczadach. A Paweł napisze z tego książkę o życiu, które jest silniejsze od planów nawet reżimów. I że bez względu na okoliczności należy działać na rzecz dobra, a nie zła; wolności, a nie zniewolenia; przyjaźni

ska była nasza. Czuliśmy się w niej dobrze, była zbiorowością bez podziału na „prawdziwych” i „fałszywych” Polaków. Stygmatyzowania ze względu na pochodzenie etniczne i religijne, a także rodzinną historię.

Pełnia utożsamienia skończyła się ostatecznie na początku 2018 r., gdy parlament uchwalił nowelizację ustawy IPN z penalizacją „szkalowania narodu polskiego”. A także z „częścią ukraińską” – formalnie osądzeniem ukraińskiego nacjonalizmu, zaś faktycznie zakazaniem bycia Ukraińcem. I aluzją do roszczeń terytorialnych, bo zachodnią część Ukrainy nazwano wschodnią Małopolską.

Zrobiła się awantura ogólnoswiatowa, w kraju atmosfera tężała z godziny na godzinę. Piątego dnia po uchwaleniu ustawy w telewizji państwowej padło słowo „parchy”, a dzisiejsza Konfederacja krzyczała pod Pałacem Prezydenckim: „Zdejmij jarzmulkę – podpisz ustawę!”. I gdyby nie nakaz z pisowskiej góry do zwinięcia antysemitkiej kampanii, to nie wiadomo, do czego jeszcze posunęliby się „prawdziwi Polacy”.

Obiecywaliśmy sobie, że „jak się zestarzejemy”, to powłóczymy się po Beskidzie Niskim i Bieszczadach. A Paweł napisze z tego książkę o życiu, które jest silniejsze od planów najpotężniejszych nawet reżimów

i otwartości, a nie wrogości i zamknięcia.

Paweł już się nie zestarzeje i nie napisze książki. Choroba zabrała go z zaskoczenia, szybko i brutalnie. A ja w najczarniejszych snach nie mogłem pomyśleć, że zamiast naszego kolejnego spotkania lub długiej rozmowy przez telefon (on w Polsce lub świecie, ja w wojennej Ukrainie) będę pisał tekst, żeby się z Nim pożegnać.

Z ważnym, pomocnym i niepowtarzalnym. Łobuzersko dowcipnym, ironicznym i wnikliwym, delikatnym i wrażliwym.

Zналиśmy się przez ponad 30 lat, więc niemal całe dorosłe życie. Nasza przyjaźń stała się szczególnie intensywna, gdy dwie dekady temu dołączyłem do zespołu „Wyborczej”. Spotykaliśmy się w pracy i w domu, pływaliśmy na jachcie, bo Paweł był sternikiem z uprawnieniami uzyskanymi w wieku nastoletnim. Choć do wody nie wchodził, bo pełno w niej głonów i robactwa. Spływaliśmy kajakami po Krutyni, urządzaliśmy obiady i kolacje. Był zwołanym kucharzem i znawcą kuchni świata oraz wina – ulubionego trunku.

A także nalewek, które robiliśmy z moją żoną Anią. Degustowanych – a jakże! – dla zdrowotności. Sosnowka dla inhalacji i żeby się kaszel nie imał. Malinówka dla rozgrzania i ochrony przed przeziębieniem. Wiśniówka w celu ogólnego wzmocnienia i na potencję różnych organów. Aroniówka na poprawienie krążenia krwi i obniżenie ciśnienia. Z czarnego bzu jako ochrona przed przeziębieniem, a z zielonego orzecha na dolegliwości żołądkowe. I tylko na nowotwór nie wymyślono żadnego „wynalazku” – jak o wymienionych specyfikach mówił Paweł, wychylając kolejny kieliszek.

Był crème de la crème pokolenia pierwszej „Solidarności” i III Rzeczypospolitej – żeby użyć pojęć górnołotnych i uczonych. Nie ma jednak innego sposobu przekazania w pigułce jego sposobu myślenia o Polsce i świecie. Do tego pokolenia należał ze świadomego wyboru i pełnej – do czasu, jak się okazało w przypadku III RP – identyfikacji. Odrodzona w 1989 r. Pol-

„Paszkinie – pytałem – jak to się stało, że po kilkudziesięciu latach budowania pojednania z Żydami w kilka dni hydra antysemityzmu podniosła leb niemal do nieba?”. „Najgorsze, że wielu pomyśli, że Polacy tacy są naprawdę, a reszta była jedynie cienkim naskórkiem oraz iluzją, w którą chcieliśmy wierzyć” – odpowiedział.

„Część ukraińska” ustawy wkurzyła mnie i rozbawiła. Gdyby weszła w życie, w Polsce zrobiłoby się dla mnie cokolwiek za ciasno. Zarazem w jednym z artykułów wywiodłem, że ten fragment ustawy został napisany na Łubiance w Moskwie (siedziba KGB, dziś FSB). Stąd wniosek, że Rosjanie czują się w Polsce na tyle swobodnie, że działają jawnie. Jakbyśmy żyli w Rzeczypospolitej z XVIII w. „No i git” – Paweł skwitował moje konstatacje jednym ze swoich ulubionych powiedzeń.

Aż po 24 lutego 2022 r. wydarzył się cud, i to na trzy sposoby. Ukraińcy zatrzymali „drugą armię świata” i zaczęli ją bić na oczach osłupiałego świata. Polska odzyskała swoją najpiękniejszą twarz, udzielając Ukraińcom bezprecedensowej pomocy i stając się zapleczem dla walczącego sąsiada. Rola zaś Polski w kwestii bez-

**Do Związku Ukraińców
w Polsce zgłosił się
przedstawiciel ambasady
rosyjskiej z ofertą pomocy.
Ofertę Związek odrzucił,
lecz „ten trzeci” w relacjach
polsko-ukraińskich pokazał,
że czuwa wokół kotła
niezależnie od aktualnego
okresu w swoich dziejach**

pieczeństwa europejskiego poszybowała w górę do dawno nienotowanych pułapów.

Paweł nie kroczył w pierwszym szeregu solidarnościowych rewolucjonistów, był postacią ważną jako autor prac wydawanych w podziemiu i dziennikarz „Tygodnika Mazowsze”. Od pierwszych dni istnienia „Wyborczej” należał do jej kluczowych postaci – kształtujących tzw. linię pisma, najważniejsze tematy i sposób zabierania głosu w kwestiach ważnych dla społeczeństwa i państwa.

Martin Pollack, wybitny austriacki reporter i eseista, stwierdził, że polski reportaż literacki jest najlepszy na świecie. W tym gwiazdzbiorze Paweł miał pozycję wyjątkową ze względu na niepowtarzalny warsztat literacki, styl, umiejętność opisywania rzeczywistości i zaangażowanych w nią ludzi. Cechy zachwalane przez Ryszarda Kapuścińskiego, Etgara Kereta i Jurija Andruchowycza.

Pisarstwo Pawła jest wyjątkowe również ze względu na różnorodność spraw oraz tematów. Od Polski, przez Irak, Kurdistan, Bałkany, Izrael i Autonomię Palestynę, po Litwę i Ukrainę. Wiedział, co to rewolucja, wojna i wysiłek budowania pokoju. Pisał o „trudnych tematach”, wadząc się z utartymi schematami myślenia. Burzył tabu, lecz nie dla wyzłosliwiania się z zasad i niejako dla sportu.

Uważał, że do każdego zamkniętego pomieszczenia należy wpuścić świeże powietrze, bo tak żyje się lepiej, ciekawiej i bardziej zdrowo. Szczególnie w naszej części Europy, a już zasadniczo w Polsce z jej tendencją do popadania w mesjanizm, megalomanię oraz endecką wsobność i wrogość wobec obcych.

Paweł znalazł się na polityce i na swój sposób ją lubił, choć nie zajmowało go analizowanie jej kuchni, gier i układów partyjnych. Uważał, że od tych rzeczy są inni, których cenil i do których miał zaufanie. Do polityki krajowej wmaszerował pod koniec 2002 r. artykułem „Ustawa za łapówkę, czyli przychodzi Rywin do Michnika”. Tekst zapoczątkował aferę Rywina, która zmieniła rynek mediów i politykę. Przed komisją sejmową Paweł stanął w maju następnego roku, odpowiadał rzeczowo i godnie.

W sprawach wschodnich należał do „szkoły Giedroycia” (publikował w „Kulturze”), choć raczej należy mówić o „szkole Michnika i Kuronia”. Książę inspirował Adama i Jacka, „Kulturę” czytali i z nią współpracowali – Michnik gościł w Maisons-Laffitte, gdy miał 18 lat. Ale w sprawach relacji Polski z Białorusinami, Litwinami, Rosjanami i Ukraińcami oraz całej Europy Środkowo-Wschodniej mają własny i oryginalny dorobek oraz jeszcze większe zasługi.

Dla ogromnej rzeszy dziennikarzy, intelektualistów i polityków w naszej części świata „Wyborcza” jest niezmiennym punktem odniesienia. Paweł na temat naszego regionu napisał wiele artykułów, uczestniczył w niezliczonych konferencjach, seminariach i „posiadach”. Samodzielnie lub z Adamem przeprowadzili wywiady z ważnymi postaciami o ważnych sprawach. Z rozmów z Jurijem Andruchowiczem powstał wywiad rzeka „Szcze nie umrze! i nie umrze”. We Lwowie otrzymał medal „Za Intelktualną Odwagę”.

Jacek Kuroń stworzył politykę państwa polskiego wobec mniejszości narodowych, Paweł opisał jej najważniejsze wyzwania. Szczególnie w sprawach ukraińskich, bo na pograniczu polsko-ukraińskim (głównie w Przemyśle i okolicach) wiele się działo od początku wolnej Polski.

Karmelici bosci i „prawdziwi Polacy” nie wpuścili Jana Pawła II do byłej greckokatolickiej katedry (1991), zaś kilka lat później – w ramach „deukrainizacji” Przemyśla – zdemontowano na tej świątyni kopułę, choć była kopią kopuły bazyliki św. Piotra w Watykanie. Następnie były konflikty z pochówkami cywilnych Ukraińców i par-

tyzantów UPA oraz sprzeciw wobec zorganizowania w tym mieście Festiwalu Kultury Ukraińskiej. W 1997 r. było szczególnie gorąco, bo nieznani sprawcy wrzucili granat do internatu, w którym mieszkała młodzież z jednego z zespołów artystycznych.

Jakby tego było mało, do Związku Ukraińców w Polsce zgłosił się przedstawiciel ambasady rosyjskiej z ofertą pomocy. Ofertę Związek oczywiście odrzucił, lecz „ten trzeci” w relacjach polsko-ukraińskich pokazał, że czuwa wokół kotła niezależnie od aktualnego okresu w swoich dziejach. Czy była to „wegetariańska” epoka Jelcyna, czy też „mięsożerna”, gdy w 2014 r. Putin dokonał aneksji Krymu i rozpoczął inwazję w Donbasie.

W latach 2015-17 zniszczono ukraińskie upamiętnienia na południowym wschodzie kraju, do czego otwarcie przyznali się polscy narodowcy i rosyjscy „patrioci” z Donbasu. Narodowcy napadali na procesję greckokatolicką w Przemyślu, zaś rząd odmówił dofinansowania obchodów 70. rocznicy akcji „Wisła”. Z kolei w Ukrainie nieznani sprawcy zniszczyli kilka polskich upamiętnień, zaś na Zakarpaciu podpalono fasadę konsulatu węgierskiego. Ostatniego zdarzenia – jak wykazało śledztwo – dokonali młodzi Polacy za pieniądze niemieckiego Putin-Verstehera. W 2016 r. Sejm i Senat uznały zbrodnie na Polakach z lat 40. za ludobójstwo, 11 lipca ustanowiono Dniem Pamięci Ofiar Nacionalistów Ukraińskich. Przez kraj przetoczyło się takie antyukraińskie wzmoczenie, jakby szykowano się na prawdziwą wojnę z „banderowską” Ukrainą.

Paweł pisał na ten temat artykuły i komentarze, robił wywiady z prezesem ZUwP Piotrem Tymą („prowidnykiem Tymą”, jak

przejmuje się bardziej niż poważnie, bo wie, co ona oznacza. Zna jej niszczyielską siłę, która nie oszczędza nikogo.

Przed ubiegłorocznym Dniem Niepodległości Ukrainy (24 sierpnia) opublikował sylwetkę gen. Walerija Żaluźnego – głównodowodzącego armii ukraińskiej. Jego zdjęcie „Wyborcza” umieściła na okładce weekendowego wydania, zaś dziewczynka z Ukrainy kupiła jej egzemplarz i umieściła w sieci swoje zdjęcie z okładką. Żaluźny zdjęcie zamieścił na swojej stronie z dopiskiem, że dla takich właśnie dziewczynek warto żyć i walczyć.

Lajków i repostów były tysiące. Paweł był wzruszony.

Po wyborach prezydenckich w 2019 r. Ukraina była jedynym państwem, w którym prezydentem i premierem (Wołodymyr Hrojsman) byli Żydzi z pochodzenia. W kraju, który w niemal powszechnej opinii na Zachodzie, w Izraelu i Polsce uchodzi za uosobienie antysemityzmu i pogromów. Oprócz pytania „jak to możliwe?” dominował niepokój o przyszłość, bo rozczarowanie rządami aktora Zelenskiego mogło się przerodzić w rozczarowanie prezydentem Żydem.

Przed „wielką wojną” Żelenski tracił poparcie, lecz ludzie mieli pretensje do niego, a nie nacji, z której się wywodzi. Po 24 lutego Żelenski zachowuje się tak, jak trzeba, a nawet jeszcze lepiej. Stanął na czele walczącego państwa, armii i społeczeństwa, zaś ludzie zjednoczyli się wokół niego. I z nim się utożsamili, są też z niego dumni za sposób, w jaki reprezentuje Ukrainę wobec świata.

Pawłowi bardzo spodobało się powiedzenie, że co prawda historia nie zna wspólnych rządów Siczy Zaporoskiej i che-

deru, lecz coś musi się zdarzyć po raz pierwszy. „Idzie całkiem nieźle” – kwitował powściągliwie, by nie zapeszyć. Na początku wojny w Izraelu manifestacje poparcia dla Ukrainy zbierały po kilkadziesiąt tysięcy ludzi. „A widzisz, Paszkinie, wspólnota demokratyczna nie umarła” – mówiłem wzruszony.

Paweł miał umiejętność – dar? – syntezywania rzeczywistości w obrazowych powiedzeniach, w których spostrzegawczość mieszała się z ironią, a celność z paradoksem. Gdyśmy analizowali wojnę w Ukrainie i to, co robi „Ruski, Amerykanin, Polak, Niemiec, Francuz lub Chińczyk” – niezmiennie konkludował: „Zobaczysz, Czechu, z tego będzie wojna światowa”. I prawie wychodziło na jego, bo Putin i jego zbrodnicza kamaryla kilka razy byli o krok od podjęcia decyzji o użyciu broni jądrowej. A to spotkałoby się z „jednoznaczna odpowiedzią USA” – jak zapowiedział prezydent Joe Biden.

Paweł miał wielkie uznanie dla amerykańskiego przywódcy, o którym opowiadał nam prof. Bronisław Geremek. Znający Bidena i ceniący go jak mało którego polityka. Po wyborze „dziadka Joego” na prezydenta stale nam o tym przypominał syn profesora, Marcin – przyjaciel Pawła od dzieciństwa. „To wielka głowa” – mówił lapidarnie.

Po 2014 r. coraz częściej utyskiwaliśmy na koniec świata, który znaleźmy. Przez

Paszkinie – pytałem – jak to się stało, że po kilkudziesięciu latach budowania pojednania z Żydami w kilka dni hydra antysemityzmu podniosła łeb niemal do nieba?

aneksję Krymu i wojnę w Donbasie, rozwalanie polskiej demokracji i sądownictwa oraz coraz realniejsze wyprowadzenie Polski z Unii. A także brexit, wybór Trumpa i marsz prawicowych populistów do władzy w Europie. Rozwalanie sądownictwa i demokracji w Izraelu przez Netanjahu i wzrastający apetyt Chin pod rządami Xi Jinpinga na zdominowanie świata.

Paweł mówił, że pisane zdarzenia to niechybny znak zawędrowania w pobliże Ziemi komety Kohoutka. Dla przypomnienia średniemu i młodemu pokoleniu. W latach 1973-74 r. jej odkrycie i zbliżanie się do Ziemi rozpałało wyobraźnię milionów ludzi. Dla wielu było znakiem zbliżającej się apokalipsy oraz zrozumiałym objaśnianiem niewytłumaczalnych i groźnych zjawisk. Dla komunistycznej władzy kometa okazała się poręcznym wytłumaczeniem plag egipskich, które w tym czasie zaczęły nawiedzać PRL. Mniejszego udoju krów, gorszych zbiorów i małej ilości mięsa w sklepach, narastającego kryzysu w gospodarce i początku protestów społecznych.

Tak i teraz – tłumaczyć z łobuzerskim śmiechem. Ludzie zachowują się irracjonalnie, wbrew własnym interesom i bez refleksji o skutkach. Poddają się woli dyktatorów, sukinsynów i szalbierzy. Jakby historia niczego ich nie nauczyła i znowu chcieli spróbować wejść na drogę, która prowadzi do nieszczęścia. „Nic, tylko ta ogoniasta cholera znowu krąży nad nami, bo racjonalnie nie sposób wytłumaczyć tego, co się dzieje w realu”.

Obecność komety na niebie nad Izraelem dotknęła go osobiście. Kraj uważał za niemal swój i świetnie rozumiał, a właściwie odczuwał, bo w jego sposobie patrzenia i opisywania Izraela był „szósty zmysł”. Wyjątkowa wrażliwość na losy ludzi i pań-

stwa, umiejętność rozpoznawania emocji i współprzeżywania oraz składania puzzli z drobnych, wydawałoby się, ułamków. Dzięki temu powstał tom „Izrael już nie frunie” – jego najlepsza książka, którą Michał Sobelman, emigrant 1968 r., izraelski dyplomata i przyjaciel Pawła, przyrównał do «Na ziemi Izraela» Amosa Oza.

Kilka lat temu Paweł powrócił z Izraela, psiocząc okrutnie, że z kraju, który istniał jeszcze niedawno, niewiele pozostało. Lewica nie istnieje, polityka skreśliła w prawo i nie widać ściany, przy której się zatrzyma. Ortodoksi nie chcą się integrować z resztą obywateli, zaś samo państwo mają w głębokim poważaniu. Podobnie jak rosyjskojęzyczni Żydzi – słabo się integrujący, z poglądami daleko na prawo od Netanjahu. Arabowie żyją swoim życiem, choć większość z nich w sumie sądzi, że w Izraelu nie jest źle. Szczególnie gdy porównują swoją egzystencję z rodakami z Autonomii Palestyńskiej, nie wspominając o Strefie Gazy. „Bibi” wraz z żoną Sarą i całą rodziną zachowują jak reinkarnacja królewskich dynastii, co to im wszystko wolno i żaden sąd nie powinien się ich imać.

Kolejne wybory w Izraelu kwitował zrezygnowany, bo nawet gdy powstawał rząd bez „Bibiego”, to i tak wszystko się kręciło wokół niego. Aż na początku bieżącego roku Netanjahu i jego radykalni koalicjanci przeciągnęli strunę, chcąc przeprowadzić zmiany w sądownictwie i wysadzić w powietrze demokrację. Rozpoczęły się wielotysięczne manifestacje, odbył się strajk generalny i „Bibi” się cofnął. Świat był pod wrażeniem siły, determinacji oraz mądrości społeczeństwa.

Nic nie jest stracone, dopóki są ludzie, którym o coś chodzi – mówiłem. I że demokracja w Izraelu trzyma się mocno, skąd wniosek, że i w Polsce powinno być podobnie. Odpowiadał, że Izrael to Izrael, a Polska to Polska. „Polacy mają tendencję do psucia nawet najlepszej zabawki” – odpowiadał w swoim stylu.

Był już chory i bardzo osłabiony. Naszą ostatnią rozmowę – pełną żartów, ironii, komety Kohoutka i wojny światowej – zakończył słowami: „Musimy kończyć, bo przewracam się na drugi bok, a to boli”...

Teraz siedzi na łonie Abrahama lub w pobliżu Joszki Dawidowicza. Co w sumie – jak godził się po dyskusjach o Kościele, Janie Pawle II i Franciszku – nie jest wielką różnicą. „Bo w Wieczerniku chleb i wino spożywali sami pobożni Żydzi”. ●

Paweł powrócił z Izraela, psiocząc, że lewica nie istnieje, polityka skreśliła w prawo i nie widać ściany, przy której się zatrzyma

go nazywał), podpisywał listy protestacyjne i uczestniczył w społecznych obchodach rocznicy deportacji Ukraińców. Napisał też „Syrop z piołunu” – książkę o akcji „Wisła”, jej przebiegu i skutkach. Dla przypomnienia, że rachunki krzywd nie są jednostronne, zaś wielu deportowanych uważa, że akcja „Wisła” wciąż trwa. I że wraz z wszechogarniającym antyukraińskim hejtem odrodził się strach przed represjami.

Paweł był człowiekiem pojednania polsko-ukraińskiego, w 2003 r. otrzymał stosowną nagrodę od jej kapituły, której przewodniczył kard. Lubomyr Huzar – zmarły w 2017 r. zwierzchnik ukraińskich grekokatolików. Paweł go lubił i cenił, powtarzając, że pośród dziejowych nieszczęść, które ich spotkały w XX wieku, grekokatolicy mają szczęście do wybitnych hierarchów.

Kreśląc sylwetkę kardynała, Paweł zacytował wywiad, który z nim przeprowadził: „Nasza wspólna historia obfitowała w różne momenty, choć, niestety, wyróżniającą się jej cechą była głupota. Na naszej głupocie korzystali sąsiedzi, celowo podsycając napięcia, prowadząc taką politykę, by między Ukraińcami i Polakami nie było zgody...”.

Rosyjską agresję na Ukrainę mocno przeżywał, bojąc się o swoich ukraińskich przyjaciół i znajomych. Mnie ciągle przypominał, żeby „dupy nie trzymać za wysoko, bo wówczas staje się łatwym celem”. Co oznaczało, że wojną

OD REDAKCJI SOBOTNIEJ „WYBORCZEJ”

My poznaliśmy – to wielki przywilej – Pawła osobiście, nawet jeśli niektórzy tylko przelotnie. Ci z Państwa, którzy tego szczęścia nie mieli, niech poznają go chociaż przez jego książki. One mówią o Pawle na pewno nie wszystko, ale wiele. Są dostępne u jego przyjaciół, czyli w wydawnictwie Czarne, a jako e-booki na Publio.pl



Życie i teksty. Kalendarium 1959-2023

Wszystkie miłości reportera

Paweł Smoleński staje obok Pruszyńskiego, Wańkowicza, Kapuścińskiego

7 lipca 1959

Przychodzi na świat w Warszawie.

Stan wojenny, lata 80.

Tuż przed stanem wojennym członek zespołu studenckiej „Gazety Strajkowej”, później współpracuje z pismami podziemnymi, m.in. z „Vacatem” (pseud. Tomasz Jerz) i „Przeglądem Wiadomości Agencyjnych”. Drukuje w paryskiej „Kulturze”, a także w miesięczniku ojców michalitów „Powściągliwość i Praca”.

9 października 1983

Ślub Pawła z Elżbietą Smoleńską (z domu Kisielińską).

1984

Kończy studia na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Temat pracy magisterskiej: „Dziennikarski kodeks obyczajowy i amerykańskie kodeksy etyczne dziennikarzy - próba porównawcza”.

23 lutego 1985

Na świat przychodzi Jan, syn Pawła i Elżbiety Smoleńskich.

1988

Ukazuje się książka „A na hu-cie strajk...”, Wolne Pismo Most, Warszawa (później także Aneks, Londyn). Między innymi za nią dostaje Nagrodę im. Jerzego Zielińskiego.

1989

Książka „Pokolenie kryzysu”, Instytut Literacki, Paryż.

Maj 1989

Od pierwszego numeru dziennikarz „Wyborczej”. Będzie w niej pracował do końca życia, publikując kilka tysięcy tekstów.

12 maja 1989

Pierwszy tekst Pawła w „Wyborczej”, reportaż z kampanii przed wyborami 4 czerwca, „Kandydaci z Irkucka”: „Gdy ktoś w Garwolinie mówi: jadę do Irkucka – każdy rozumie, że chodzi o Siedlce”. Bo Siedlce to dla „garwolaków” nie stolica ich województwa, ale Wschód, Azja. Ta niechęć wywodzi się jeszcze z czasu rozbiorów. „A teraz Garwolin musi przełknąć gorzką pigułkę. Wszyscy kandydaci [Komitetu Obywatelskiego „S”] senatorowie: Gabriel

Janowski i Tadeusz Kłopotowski, oraz posłowie: Stanisław Dąbrowski i Wiesław Zajączkowski zostali przywiezieni w »siedleckich teczkach«, choć na miejscu są lokalni bohaterowie”.

3 maja 1990

Na świat przychodzi Jagoda, córka Pawła i Elżbiety.

1991

Książka „»Gazeta Wyborcza«, miroir d’une démocratie naissante”, Noir sur Blanc, Montricher.

11 sierpnia 1993

Reportaż „Goździk wraca na ląd”: po latach milczenia Lechosław Goździk, legendarny przywódca Października ’56, kandyduje do Sejmu. Jeden z licznych reportaży politycznych Pawła.

29 października 1993

„Bohaterowie są zmęczeni” – reportaż o Stanisławie Skalskim, czołowym pilocie II wojny światowej, i jego meandrach ideowych („Magazyn”).

1994

Książka „Salon patriotów”, Rytm, Warszawa.

18 października 1995

Reportaż z kampanii wyborczej „Kolejka do postkomunizmu”: – Dlaczego głosujecie na Kwaśniewskiego? Odpowiedzią był uśmiech, niekiedy bezradne rozłożenie rąk. W prawyborach we Wrześni zwyciężył Aleksander Kwaśniewski. O kilka długości wyprzedził Lecha Wałęsę.

1997

„Opowieści amerykańskie”, Prószyński i S-ka, Warszawa. „Paweł Smoleński, reporter, i Sławomir Sierżputowski, fotoreporter, przez 56 dni przejechali 20 stanów USA” – pisał o książce Piotr Lipiński. „Smoleński opisuje amiszów, którzy nie używają elektryczności, telefonów, samochodów. Ale trafia też do farmera, który dzięki urządzeniom satelitarnej nawigacji śledzi z dokładnością do dwóch metrów pozycję kombajnów”. Pokazuje też Amerykę oczami tradycjonalisty, który „oburza się, że Amerykanie stali się zbyt tolerancyjni: jego siostra ofiarowała 12-letniemu synkowi paczkę prezerwatyw. On sam własnemu dziecku, równolatkowi siostrzeńca, podarował karabin. Dlaczego? Bo karabin to znak wolności”.

19 października 2000

„Łemko nie może bez lasów” – jeden z reportaży o akcji „Wisła”, jej skutkach, losach przesiedleńców („Magazyn”).

2001

„Pochówek dla rezuna”, zbiór reportaży o sprawach i historii Polaków i Ukraińców. Smoleński dokumentuje cierpienia krwawej wojny domowej, przysłuchuje się głosom fanatyków pielęgnujących kult jej złej pamięci. Ryszard Kapuściński nazwał ten spór „naszymi Bałkanami i Kaszmirem, naszą Irlandią i Hiszpanią”, a książkę „świetnym studium języka nienawiści”. W 2003 r. autor otrzyma za nią Nagrodę Pojednania Polsko-Ukraińskiego.

27 grudnia 2002

W „Wyborczej” ukazuje się artykuł „Ustawa za łapówkę, czyli przychodzi Rywin do Michnika”.

20 marca 2004

„Tak czują w Bagdadzie”: Irak po roku. Szejk Hamid al Obeidi nie może wyjść ze zdziwienia, jak źle Amerykanie przygotowali się do rządzenia krajem. Jedna z korespondencji wojennych Smoleńskiego.

26 sierpnia 2004

„Zamordowali Dżamala”: – Mojemu irackiemu przyjacielowi bandyci ścięli głowę. Za to, że pomagał reporterom „Wyborczej”.

2004

„Irak. Piekło w raju”, Świat Książki, Warszawa. Kapuściński: – Jest taki typ dziennikarstwa, który uprawiają nieliczni – to reportaż literacki. Autora „Iraku” można stawiać obok Pruszyńskiego i Wańkowicza.

Wrzesień 2005

Za reportaże z Iraku publikowane w „Wyborczej” Smoleński otrzymuje Nagrodę im. Kurta Schorka, przyznaną m.in. przez Uniwersytet Columbia i agencję Reuters. Według jury „z wielką odwagą i zdolnością wnikliwej obserwacji prowadził nas bocznymi drogami, przez podejrzane irackie meczety, pokazując świat pełen religijnych intryg, piszczącej biedy, strachu i wściekłości na »Mistera Ameryka«, który przejął władzę nad krajem. To jego spojrzenie z dołu, przekazane z uwodzącą wrażliwością, pozwala znaleźć drogę w labiryncie, którym dzisiaj jest Irak”.

2006

Za książkę „Izrael już nie frunie” otrzymuje Nagrodę im. Beaty Pawlak. Konstanty Gebert: „Smoleński nie pisze o zmyślonym Izraelu z pierwszych stron gazet, w którym tylko terroryzm i okupacja. Nie pisze też o wyobrażonym Izraelu politycznych ideologów, wcieleniu prawicowej czy lewicowej utopii. Pisze o Izraelu ze straganu z falafelem. Z noc-

nej rozmowy. Z przystanku autobusu. Bo przecież tylko taki Izrael istnieje”.

16 lutego 2008

„Agent Janusz, którego nie było” (razem z Karolem Doleckim): „Andrzej G. z SB w Toruniu tworzy 14 raportów i pięć notatek służbowych z rozmów z »Januszem«, których nigdy nie odbył. A w pokoju obok porucznik Marek K. mozolnie fałszuje teczkę TW »Myśliciela«, czyli jezuity Władysława Wołoszyna” („Gazeta Świąteczna”).

12 lipca 2008

„Nie bądźmy jeńcami tamtej wojny”: „Krzywda, jakiej doznali Polacy na Wołyniu, była wielka. Nic dziwnego, że wielu z was trudno ją z siebie wyrzucić” – rozmowa z ukraińskim publicystą Tarasem Wozniakiem.

2009

„Powiatowa rewolucja moralna”, Znak, Kraków. Co się stało ze zdobytą w 1989 roku wolnością? Smoleńskiego nie interesują ważne dziejowe momenty i bardziej niż życie wielkiego miasta ciekawi go codzienność popegeerowskich wsi czy małych miasteczek, gdzie skupiają się wszystkie nasze bolączki, obsesje, lęki i rozczarowania. W gorzko-ironicznych tekstach odkrywa i kreśli obraz polskiej prowincji nękanej przez biedę, frustrację i polityczne spory.

27 marca 2010

„Polska z innego obiegu”: „Warszawski Grochów. Tutaj doktor nauk może poczuć wspólnotę losu z Ormiaszką, z panem non-iron z baru Astoria. Z karkiem, z lumpem, z Wietnamczykiem”. Jeden z reportaży społecznych Pawła.

2010

„Bedzies wisioł za cosik. Godki podhalańskie” (z Bartłojem Kurasiem), Znak. Józek Kuraś „Ogień” – w czasie II wojny i po niej przywódca partyzantki na Podhalu, skądinąd podejrzewany o zabijanie Żydów. Wacław Krzeptowski, który chciał stworzyć pod auspicjami hitlerowców wolne państwo góralskie. Albo Józef Krzeptowski, kurier tatrzański. To tylko niektórzy z wielu bohaterów tej książki.

Od 2011

Redaktor w kwartalniku „Dialog-Pheniben”, piśmie poświęconym polskim i europejskim Romom.

Maj 2012

„Za wybitne zasługi w działalności na rzecz przemian demokratycznych w Polsce” odznaczony

Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

2012

„Arab strzela, Żyd się cieszy”, Świat Książki. „Balagan. Alfabet izraelski”, Agora, Warszawa. Kolejne książki o Arabach, Żydach i bliskowschodnim zmaganiu.

2013

„Kruca fuks. Alfabet góralski” (z Bartłojem Kurasiem), Agora. Michał Jagiello, naczelnik tatrzańskich ratowników, zwracał się do autorów: „Sprawdzam Wasze pisanie po tatrzańskich szlakach i po wędrówkach własną percią, na narciarskim stoku i rozmawiając wieczorami z zapiąskimi przyjaciółmi. Wypada dobrze. Rzetelnie oświeceni, a nie złośliwie ostrzelani. Podhale, Zakopane, górale, góralszczyzna i oczywiście Tatry na horyzoncie oraz same w sobie”.

25 stycznia 2014

„Tu nie będzie jak w Rosji Putina”: „Nie wolno nam odpuścić, bo tu idzie o nasze życie” – rozmowa z ukraińskim pisarzem Jurijem Andruchowyczem („Magazyn Świąteczny”).

2014

Za „Oczy zasypane piaskiem. Notatki z Palestyny” dostaje nagrodę, a w 2015 nominację do Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego. Iwona Smolka: „Wnikliwy reportaż o nierozwiązywalnym konflikcie izraelsko-palestyńskim, pisany z sympatią, ale też z obiektywizmem”. „Szczę ne wmerła i nie umrze. Rozmowa z Jurijem Andruchowyczem”, wydawnictwo Czarne, Wołowiec. Marek Beylin: „Wyśmienity pisarz opowiada o ukraińskim zrywie, o społeczeństwie, które wdeptywane w ziemię jednak się obudziło. To są krwiste opowieści, wypełnione anegdotami, zwrotami akcji – thriller społeczno-polityczny, mówiona powieść o Ukrainie”.

2016

„Zielone migdały, czyli po co światu Kurdowie”, Czarne. „Reporter ze słabością do górali musiał się zakochać w Kurdach. I próbuje tą miłością zarazić Polaków. Bardzo głęboko wszedł w życie Kurdów – od politycznych elit po szeregowych kurdyjskich wojowników, peszmergów (ci, którzy patrzą śmierci w oczy) oraz wojowniczek, bo w szeregach są również kobiety” (Piotr Zieliński). „Wieje szarkijja. Beduini z pustyni Negew”, Czarne. „W stereotypowej, turystycznej narracji Beduini to zamiesz-

FOT. JACEK POREMBA



Sudańska Maryja i ukraiński Chrystus

Pamiętajmy, jak Paweł pamiętał, o przepisie na zbawienie, który Jezus daje u św. Mateusza.

Jarosława Mikołajewskiego wysłuchał Mateusz Mazzini

Z Pawłem ta wystawa nie ma nic do czynienia. Poza losem, który mu się jednak zdarzył i który mnie bardzo przejął – tak jak los wszystkich tych ludzi, jednostek i grup, które spotykam w moim życiu lub które po prostu zaistniały w historii, poddawane prześladowaniom, marginalizacjom. Co jakiś czas ktoś czuje się upoważniony, żeby takie grupy traktować jak osoby kompletnie wykluczone, którym można zrobić wszystko. Żydom w czasie Holocaustu, Ukraińcom na obszarach zajętych przez Rosjan, migrantom przeprawiającym się przez Morze Śródziemne i tym z naszej wschodniej granicy. Wbrew umowom, prawu, poczuciu przyzwoitości i podstawowym intuicjom, wynikającym z Dekalogu czy przepisu na zbawienie, który Jezus daje u św. Mateusza, mówiąc o nakarmieniu głodnych.

W tych kategoriach zacząłem myśleć o Pawle, kiedy odwiedziłem go w szpitalu kilka miesięcy temu. O raku mówił bez tonów alarmistycznych, opisywał, że dziś to wszystko

jest uleczalne. Po czym nagle nadeszły zapaść, utrata nadziei, przerażenie.

Na wystawie „Homo sacer”, otwartej w Muzeum Literatury do 25 maja, są tylko 23 artefakty. W tym dzieła Krzysztofa Bednarskiego, wybitnego artysty, klasyka rzeźby i rysunku – między innymi „Świadkowie”. Szkic pędzelnym przedstawiający ludzi niemalże w pasy. Korczakowskie twarze, jak gdyby miały ukazać ludzi prawdziwie umęczonych, ale jednocześnie zawierających w sobie mądrość. Są zdjęcia Jacka Poręby, ukazujące człowieka powalonego na śnieg, z twarzą w popiele, jest sudańska Maryjka – czarnoskóra kobieta z przykrytą głową, pochylona, po prostu wyglądająca jak Matka Boska. Jest też moje własne dzieło – fragment deski z łodzi, który przywiozłem z Lampedusy. Na tej łodzi zginęło kilkanaście osób, które próbowały się przeprawić przez Morze Śródziemne. Znalazłem ten kawałek odlupany i przykleiłem już tu, w Polsce, do zwykłej ramki na zdjęcia. Niczym relikwię przymocowaną do tła.

Jest też praca ukraińskiego artysty Danyła Mowczana. Ikona, choć mniej dekoracyjna, prosta. Najpierw, jakby tylko naniesione ślady gwoździ, punkty ukrzyżowania. Potem wiszące ciało Chrystusa, aż wreszcie – Chrystus odchylony, już zdjęty z krzyża. Umarły.

Bogu też można zrobić wszystko. ●

kujący przenośne namioty romantycy pustyni, produkujący piękną srebrną biżuterię. Ale ich obraz w Izraelu jest bardziej ponury: narkomani, przestępcy, degeneraci, złodzieje. Źródeł tragedii Smoleński upatruje w kulturowym zderzeniu, na które nakłada się konflikt izraelsko-palestyński” (Juliusz Kurkiewicz).

21 października 2017

„Kurdowie nie mają przyjaciół, tylko góry”: „Amerykanie wypięli się na najbliższych sojuszników i grają w jednej drużynie z Iranem?! – słyszę zdumienie w telefonach z Kurdystanu” („Magazyn Świąteczny”).

2017

„Syrop z piołunu. Wgnani w akcji »Wisła«”, Czarne. Książka nominowana w 2018 r. do Nagrody Historycznej im. Kazimierza Moczańskiego.

Od 28 kwietnia 1947 r. ponad 140 tys. ludzi pochodzenia ukraińskiego, lemковского i bojkowskiego zostało wywiezionych z południowo-wschodniej Polski na Mazury, Pomorze albo Dolny Śląsk.

„Wysiedleni nie mówili o swoich korzeniach nikomu: ani dzieciom, ani wnukom, by chronić nowe pokolenie przed tożsamością, która stała się przyczyną prześladowań. W końcu kilka osób udało się namówić na zwierzenia. Jeden ze świadków, częstując alkoholem własnej roboty, zastrzega: Te wiadomości, które pan masz ode mnie, zapisz i schowaj, a drukuj sobie po mojej śmierci. W życiu nie byłem na Ukrainie, a za Ukrainę byłem ścigany” (Igor Rakowski-Kłos).

„Krzyżyk niespodziany. Czas Goralenvolk” (z Bartłojem Kurasiem), Czarne.

Trzecia książka stałej pary autorskiej o góralach i Podhalu. Tym razem opowiadają o ideologii i przywódcach Goralenvolku, kolaborujących z III Rzeszą, i ciężącym na góralskich rodach niechcianym spadku wojennym.

2018

„Królowe Mogadyszu”, Czarne. „W Somalii od dwóch dekad trwa wojna. Porządek społeczny został całkowicie zaburzony. Nic dziwnego, że mężczyźni w wielu przypadkach się poddali. Są bezradni, nie ma dla nich pracy, przestali pełnić tradycyjną funkcję głowy rodziny. Zaczyna tworzyć się nowy typ rodziny, w której to dziewczyny pracują, a faceci zajmują się domem”.

2019

„Wnuki Jozuego”, Czarne. „Ta książka nie spodoba się zachodnioeuropejskim lewicowcom. Bo choć jej autor również ma poglądy lewicowe i liberalne, to przedstawił w niej racje żydowskich, a nie arabskich mieszkańców Zachodniego Brzegu Jordanu” (Piotr Nehring).

23 stycznia 2021

Ślub Pawła z Marią Fredro-Bońiecką (dziś Fredro-Smoleńską).

2021

„Czerwony śnieg na Etnie” (z Jarosławem Mikołajewskim) – książka nominowana do nagrody czytelników miesięcznika „Kraków i Świat”.

Sycylia – Wschód i Zachód, turyści i uchodźcy, mafia i praworządność. Spotkanie poetyczne w więzieniu, gwarny targ rybny, stare świątynie, wyludnione centra miasteczek, dzielnice imigrantów – to tylko niektóre przystanki tej wyprawy.

23 kwietnia 2022

„Byliśmy radykałami, ale nam przeszło”: „Jeśli batalion »Azow« to faszysty, to kto ramię w ramię z czarnoskórymi ochotnikami broni ukraińskich synagog i Żyda Zelenskigo?”. O wojnie w Ukrainie („Wolna Sobota”).

10 lipca 2022

Na świat przychodzi Teodor Keane-Smolenski, wnuk Pawła i Elżbiety, syn Jana.

2022

Paweł odbiera w Rzymie włoską Nagrodę im. Ryszarda Kapuścińskiego.

29 kwietnia 2023

Ostatni tekst Pawła w „Wyborczej” „Wszedł pan w rolę Boga”. Píše w nim o sprawie Rudolfa Kasztnera, jednego z liderów węgierskich Żydów, który podczas II wojny zorganizował ewakuację do Szwajcarii 1684 spośród nich, poprzedzoną negocjacjami z SS. Po wojnie został w Izraelu oskarżony o kolaborację z nazistami, a potem zastrzelony przez skrajnie prawicową bojówkę („Ale Historia”).

2 maja 2023

Paweł Smoleński umiera w Warszawie po krótkiej, niespodziewanej, agresywnej chorobie nowotworowej.

Przygotował Jan Cywiński

Agnieszka
Kublik



Krew mnie zalewa na PiS. To dobrze

Kolejne skradzione z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju miliony. Wiadomo o całym systemie wyludzenia kasy. Władze NCBiR przejęło środowisko Partii Republikańskiej Adama Bielana, koalicjanta Kaczyńskiego. OLAF, urząd tropiący defraudacje unijnych pieniędzy, rozpoczął śledztwo. Ale nikt nie wylądował w areszcie mimo deklarowanej przez Kaczyńskiego, Ziobrę, Morawieckiego wrażliwości na zło. Kaczyński woli występować na konferencji o seksualizacji dzieci, choć nie ma o tym zielonego pojęcia.

Wkurza mnie to. Wkurza mnie też to, że wciąż mnie to wkurza. I wkurza mnie bezsilność. Postanawiam więc odzyskać sprawczość. Tę, której chcą nas pozbawić.

Te i tuziny innych skandali władzy to moje wyzwacze. Wyzwalacze to zdarzenia, które uruchamiają określone procesy

psychologiczne. Są jak czerwony guzik, który uruchamia uczucia. Te nieprzyjemne: lęk, strach, złość, agresję. Zidentyfikowanie wyzwaczy to pierwszy krok do kontroli nad tymi emocjami. Choć może być o tyle trudne, że PiS produkuje wy-

Wyrzućmy z siebie stres

wspólnie 4 czerwca

w Warszawie. A potem nad urną wyborczą

zwalacze hurtowo. Od kiedy w 2015 r. Kaczyński przejął ręczne sterowanie Polską, stale dzieje się coś, na co reagujemy zdumieniem, potem stresem i wręcz agresją. W pierwszym odruchu tłumimy te emocje, bo mózg od nich ucieka. Ale ucieczka od wyzwaczy („rządy PiS mnie nie dotyczą”) jest trująca. Gdy zalewa nas krew, przynajmniej to. Psychologiczne badania udowadniają, że w zderzeniu ze stresorem najlepiej złe emocje uwolnić.

A więc krew mnie zalała, gdy zobaczyłam, że Kaczyński chce ręcznie sterować składem Trybunału Konstytucyjnego – chce dziewięciu, a nie jedenastu sędziów, bo akurat tyłu w tej chwili popiera Przylebską. Jak będzie ją popierało trzech, to tyłu sobie zażyczy w nowej ustawie.

Zalała mnie, kiedy niedouczona kuratorka oświaty usiłuje kontrolować książki w bibliotekach.

Zalała mnie, kiedy funkcjonariusze reżimowych mediów ujawnili dane ofiary pedofila. Dziecko odebrało sobie życie.

Zalała mnie, kiedy przecięli na pół betonowo-stalowym murem ostatni w Europie kawałek pierwotnej puszczy.

Zalewa mnie cały czas, kiedy ludzie giną na białoruskiej granicy, bo władza chce udowodnić, że słusznie wznosi mury.

I kiedy szef KRRiT, który ma stać na straży wolności słowa, na wiele sposobów próbuje zastraszyć wolne media.

To mnie stresuje. Gorzej, wyzwala złość, nienawiść. Was też?

I w sumie dobrze, bo stres uruchamia proces samoobrony. Możemy uciekać, stać jak sparaliżowani lub walczyć.

Dajmy się ponieść tym emocjom. Wyrzućmy je z siebie. Wspólnie 4 czerwca w Warszawie i wszędzie tam, gdzie będzie my się cieszyć z obalenia komuny.

A potem wyrzućmy je raz jeszcze – nad urną wyborczą. ●

Włochy

Rowerare necesse est



FOT. FABIO FERRARI/AP

4. etap Giro d'Italia, Norweg Andreas Leknessund ucieka po zwycięstwo etapowe (nie wyszło) oraz różową koszulkę lidera (udało się na chwilę). Gdy lipcowe Tour de France stało się perfekcyjną machiną marketingową, Giro zachowało ducha kolarstwa z czasów sprzed strategii rozpisanych co do kilometra. Tu wciąż szanse mają biedniejsze drużyny czy kolarze-woziwozy. W piątek i sobotę kolarze wjeżdżają w góry. Zrobi się jeszcze ciekawiej. **Więcej o Giro i kulturze kolarskiej na ► Wyborcza.pl/sport**

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju i ze świata czytaj teraz na wyborcza.pl

UŻYJ BEZPŁATNEGO KODU i bądź na bieżąco przez cały weekend *

MMK1551

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostępna od 13.05.2023 r. do 14.05.2023 r.

Kalendarium wydarzeń

Sobota/niedziela

Noc Muzeów

1 Pierwsza odbyła się w 1997 roku w Berlinie. Dziś – w 120 miastach w całej Europie. Do Polski przywędrowała w 2003 roku, najpierw do Muzeum Narodowego w Poznaniu. Dziś w majową noc już nie tylko muzea, ale też najróżniejsze miejsca ważne lub ciekawe, a na co dzień niedostępne – np. ministerstwa, cenne archiwa, rozgłośnie radiowe, wodociągi, a nawet jednostki wojskowe – zwiedza ponad 200 tys. osób. W samej Warszawie na Noc Muzeów zapraszają aż 272 miejsca.



Sobota

Żużel na Narodowym

2 Na stadionie znanym głównie z meczów piłkarskiej reprezentacji Polski oraz koncertów tym razem będą ścigali się żużlowcy. To najbardziej polski ze sportów: to u nas w tej dyscyplinie jest najwięcej pieniędzy, kibiców i samych zawodników. Tytułu mistrza świata broni Bartosz Zmarzlik, on też jest liderem wyłaniającego mistrza cyklu Grand Prix – te zawody, drugie z dziesięciu w całym sezonie, odbędą się w sobotę na Stadionie Narodowym w Warszawie.



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI, JAKUB ORZECZOWSKI / AGENCJA WYBORCZA

Andrzej rysuje



Rosjanie są zachwyceni

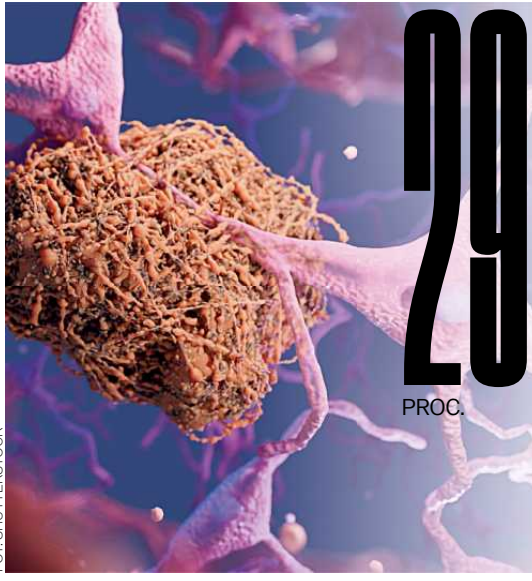
Utrata dostaw rosyjskiej ropy naftowej kosztuje Orlen 27 mln dol. dziennie



DANIEL OBAITEK w „The Financial Times”

Więcej ► Wyborcza.biz

Kolejny lek na alzheimera



o tyle spowalnia tempo choroby eksperymentalny donanemab. Specjaliści studzą entuzjazm – dane pochodzą z komunikatu koncernu farmaceutycznego i prawdziwą skuteczność leku pokaże dopiero wniosek o rejestrację, a specyfik nie odwraca skutków alzheimera. Ale to już drugi preparat hamujący chorobę, która wydawała się nieuleczalna, co oznacza, że naukowcy osiągnęli punkt zwrotny. **Więcej ► Wyborcza.pl/nauka**

FOT. SHUTTERSTOCK

Coś więcej niż kiczowaty show

Queerowizja

Wielu młodych ludzi, śledząc przerysowane kostiumy i pląsy, odkrywa, że istnieje rzeczywistość, w której można zachowywać się tak, jak podpowiada serce, a nie rodzina, szkoła i Kościół

Szubrycht



Na konkursie Eurowizji – którego wielki finał w tę sobotę – polegającym na tym, że śpiewa się i tańczy, teoretycznie polityka jest zakazana. Ale o wartości, owszem, można się upominać, na imprezie społeczność queer ściera się więc z konserwatystami.

W 2019 r. Węgrzy zrezygnowali z Eurowizji. Powołując się na źródła w węgierskiej telewizji publicznej, „The Guardian” pisał, że dla władz była „zbyt gejowska”. Chwilę wcześniej prorządowy komentator z tej samej stacji nazwał konkurs szkolną dla zdrowia psychicznego społeczeństwa „homoseksualną flotyllą”, Eurowizja prędzej czy później musiała więc zatonać w gęstniejącym narodowo-religijnym sosie.

Węgry co prawda nigdy oficjalnie nie potwierdziły przyczyn wycofania się – może nie chcieli robić przykrości temu koledze, który rok później wślawił się brauworowym zjazdem po brukselskiej rynnie – ale dziwnym zbiegiem okoliczności zbiegło się to w czasie z intensyfikacją tzw. prorodzinnej narracji Fideszu, która doprowadziła do zakazu adopcji przez pary jedнопłciowe.

Można załamywać ręce, można się śmiać, ale klakierzy Orbána nie pomylili się w ocenie Eurowizji. Największy konkurs piosenki od lat, właściwie od dekad, skutecznie promuje koncepcję jedności w różnorodności, w tym tolerancji wobec różnych form ekspresji płciowej. Tłumacząc z naszego na ksenofobiczny – Eurowizja jest rozsiewnikiem ideologii LGBTQ+ o bezprecedensowym zasięgu i wielkiej skuteczności. To niejedyna jej zaleta, bo fajne piosenki też się trafiają, ale dzisiaj nie o nich mowa.

Historia queerowej Eurowizji zaczyna się znacznie wcześniej niż obecność wyouto-

wanych osób śpiewających na scenie. Konkurs piosenki, wymyślony jako jeden z kilku sposobów na integrację europejskich narodów, które jeszcze przed chwilą mordowały się w wielkiej wojnie, niemal od początku dryfował ku przesadzie, kiczowi i karnawałowemu rozpasaniu. Bo czemuż by nie, w końcu to program rozrywkowy. Dla wielu młodych (i nie tylko) ludzi, z wypiekami na twarzach śledzących transmisję, kostiumy wykonawców i swobodne pląsy były dowodem na to, że istnieje gdzieś rzeczywistość, w której można ubierać się i zachowywać tak, jak serce podpowiada, a więc zupełnie inaczej, niż nakazują rodzina, szkoła, Kościół czy zakład pracy.

Jasne, Abba została ikoną środowisk LGBTQ+ długo po triumfie „Waterloo” na Eurowizji, ale przecież osoby queer, które tak ukochały szwedzki kwartet, od razu musiały w nim zobaczyć to, czego stateczna, heteroseksualna widownia nie dostrzegała.

W 1998 r. konkurs wygrała transpłciowa Dana International, ku rozpaczki konserwatystów ze swojego ojczystego Izraela i radości środowisk LGBTQ+. Dużo się o tym pisało i mówiło, sam concept transpłciowości dotarł więc również do ludzi, którzy wcześniej nie mieli z nim styczności albo postrzegali tę kwestię przez pryzmat krzywdzących stereotypów. Jeszcze większą burzę wywołał triumf Conchity Wurst w 2014 r. – bo jakże to tak, baba z brodą?! Austriacka drag queen to po zrzuceniu sukni Thomas Neu-wirth, homoseksualny mężczyzna, który cierpliwie tłumaczy, skąd potrzeba tego przeistaczania i czemu nie trzeba się obawiać, że w jego obecności niebo spadnie nam na głowę.

W 2007 r. Eurowizję wygrała Serbka Marija Serifovic, która co prawda wyoutowała się kilka lat później, ale i garnitury jej oraz koleżanek, i serce wyrysowane na splecionych dłoniach były dość czytelnymi komunikatami. W 2013 repre-

Tłumacząc z naszego na ksenofobiczny – Eurowizja jest rozsiewnikiem ideologii LGBTQ+ o bezprecedensowym zasięgu i wielkiej skuteczności

FOT. MARTIN MEISSNER/AP



• Loreen, tegoroczna reprezentantka Szwecji i zwyciężczyni Eurowizji 2012. Ma marokańskie korzenie, wspiera rodziny białoruskich i azerskich więźniów politycznych, prowadzi zbiórki dla Ukrainy i afgańskich kobiet, jest biseksualna

tów – Andrzeja Piasecznego i Michała Szpaka jako osoby queerowej – miały miejsce długo po ich udziale w konkursie. Do którego swoją drogą świetnie pasowali. Piaseczny przepadł w głosowaniu, bo piosenka nie była zbyt dobra (na pewno gorsza od wielu jego lokalnych hitów), jednak w ojczyźnie krytykowany był nie tyle za dobór repertuaru czy jego wykonanie, co za niemieńskie futerko.

Z dzisiejszej perspektywy może się to wydawać kuriozalne, ale wtedy wokaliście nie było do śmiechu. Dziwicie się, że tak długo czekał z opowieścią o swojej orientacji?

Naszym powszechnie dostrzeżonym i do dziś komentowanym – z dobrotliwym uśmiechem, jak opowiada się o wybrkach kochanego, choć niezbyt jesz-

cze dojrzałego braciszka – wkładem w seksualną historię Eurowizji są pierśsiaste dziewczę Donatana, ubijające masło i piorące bieliznę. My, Słowianie, wiemy, gdzie jest miejsce kobiet.

Swoją drogą naukowcy z Niderlandów opublikowali niedawno raport „Populizm: etno-tradycjonalizm ponad granicami państwowymi i populistyczna radykalna prawica”, z którego wynika, że osoby o poglądach konserwatywnych, w wyborach głosujące na populistyczną, radykalną prawicę też chętnie oglądają Eurowizję, by głosować na utwory odwołujące się do muzyki źródeł i prezentowane w językach ojczystych, a to tradycyjnie lwia część oferty krajów bałkańskich oraz Europy Środkowej i Wschodniej. Wszystko więc na to wskazuje, że nawet jeśli w Eurowizji śpiewacy czasem fałszują, sam konkurs wirtuozersko gra na dwóch fortepianach. ●

Jarosław Szubrycht

zentująca Finlandię Krista Siegrids namiętnie ucałowała chórzystkę, w 2021 całowali się Damiano David i Thomas Raggi z włoskiej grupy Måneskin, a lista znaczących gestów i wyrazów poparcia dla społeczności LGBTQ+, również ze strony sojuszników hetero, jest coraz dłuższa. Nawet udział duetu t.A.T.u., na początku kariery udającego lesbijki, by zbijać kapitał na kontrowersji, potraktowany był w 2003 r. jako gest solidarności z rosyjskimi środowiskami queer, którym po krótkiej odwilży było w ojczyźnie coraz trudniej. Są tacy, co twierdzą, że to była tylko sztuczka PR-owa mająca ocieplić wizerunek Rosji – tak czy owak kwestia praw osób LGBTQ+ znów była przedmiotem dyskusji.

• Czy Polska bierze udział w tym tęczowym teatrze? Oficjalnie broń Panie Boże! Coming outy naszych reprezentan-

OGŁOSZENIA

W PONIEDZIAŁEK W „WYBORCZEJ”



WYBORCZA.PL/JEDNAPLANETAJEDNOZYCIE

Sauna, jacuzzi, SPA bez ograniczeń.

Połowę prądu hotel ma ze słońca



ORGANIZATOR:

wyborcza.biz

PARTNER:



**KAROLINA,
ÓSMOKLASISTKA, WARSZAWA:**

– Wybrałam już liceum. Od koleżanki dowiedziałam się o dniach otwartych i razem poszliśmy zobaczyć. Jedna szkoła, choć wysoko w rankingach, wydała mi się zupełnie bez uroku. Dużo korytarzy, zwyczajne sale. Za to druga już bardzo mi się spodobała. Sala biologiczna ma na ścianach grafiki, są mikroskopy. Sala chemiczna wyposażona, można robić doświadczenia. Pani od biologii powiedziała, że jeśli ktoś miałby problem z materiałem, to ona zostaje po lekcjach i pomaga. I podobno jest świetny facet od chemii. Dla mnie to dwa najważniejsze przedmioty, bo chciałabym się uczyć na profilu biologiczno-chemicznym. Wybrałam tak, bo lubię te przedmioty, nie wiem jeszcze dokładnie, jaki zawód chciałabym mieć w przyszłości. Może lekarz al-

bo weterynarz? Jeśli lekarz, to jaka specjalizacja? O, nad tym jeszcze nie myślę.

Jestem w publicznej szkole podstawowej i liceum, które wybrałam, też jest państwowe. Rodzice mnie nie cisną, raczej wspierają. Nauczyciele też moim zdaniem nas nie stresują. Na przykład pani od polskiego sprawdza mi dodatkowe wypracowania i omawiamy razem, co można poprawić. A chemiczka zrobiła dodatkowe konsultacje dla chętnych, chociaż tego przedmiotu nie ma na egzaminie, ale ze względu na wybierany profil. Sama się stresuję, bo od egzaminu zależy, czy dostanę się tam, gdzie bym chciała. Majówkę spędzam na nauce. Mam kupione testy, mam arkusze z poprzednich lat i codziennie je robię. Chodzę też na korepetycje z matematyki, ale to już od lat, nie tylko w ósmej klasie. Najbardziej boję się, że na egzaminie kichnę albo będę musiała wy-

dmuchać nos. Dlaczego to straszne? Obawiam się, że wtedy rozproszę innych.

Punkty stresują, ale trzeba mieć świadomość, że sam wynik egzaminu nie odzwierciedla inteligencji człowieka, wtedy jest łatwiej. Ja tak do tego podchodzę. Trudne jest to, że punktowane jest świadectwo, a na nim oceny z przedmiotów, które zakończyliśmy kilka lat wcześniej. Na przykład ocena z przyrody z czwartej klasy. Kto w czwartej klasie myślał o liceum?

**MAGDA, MAMA HANI
(ROCZNIK 2009), MIEJSCOWOŚĆ
POD WARSZAWĄ:**

– Córka nie wytrzymała tegorocznej presji i zachorowała na depresję. Wysprzęgliła się. Nasza szkoła jest placówką prywatną, katolicką. Ma najwyższe wyniki w po-

wiecie i jest ogromne parcie, żeby je utrzymać. Wybraliśmy ją, bo po pierwsze, jest tuż za rogiem, po drugie, ma opinię najlepszej w okolicy, no i to jedyna prywatna szkoła tutaj. Najpierw poszedł starszy syn, a za nim młodsza Hania. Syna zabraliśmy, bo był gnębiony przez rówieśników. Hania chciała zostać, bo była już przyzwyczajona. Zapłaciła za to wysoką cenę. We wrześniu mówiła: „Teraz będę się starała. Teraz zdobędę dobre stopnie”. W listopadzie zaczęła źle się czuć i poprosiła o psychologa. Zaczęliśmy chodzić do poradni i w styczniu pani psycholog zaalarmowała mnie, żebym zgłosiła się z córką do lekarza psychiatry, bo jest źle. Od zimy Hania się leczy, ale rzadko ma siłę iść do szkoły. Nie wiemy, jak napisze egzamin.

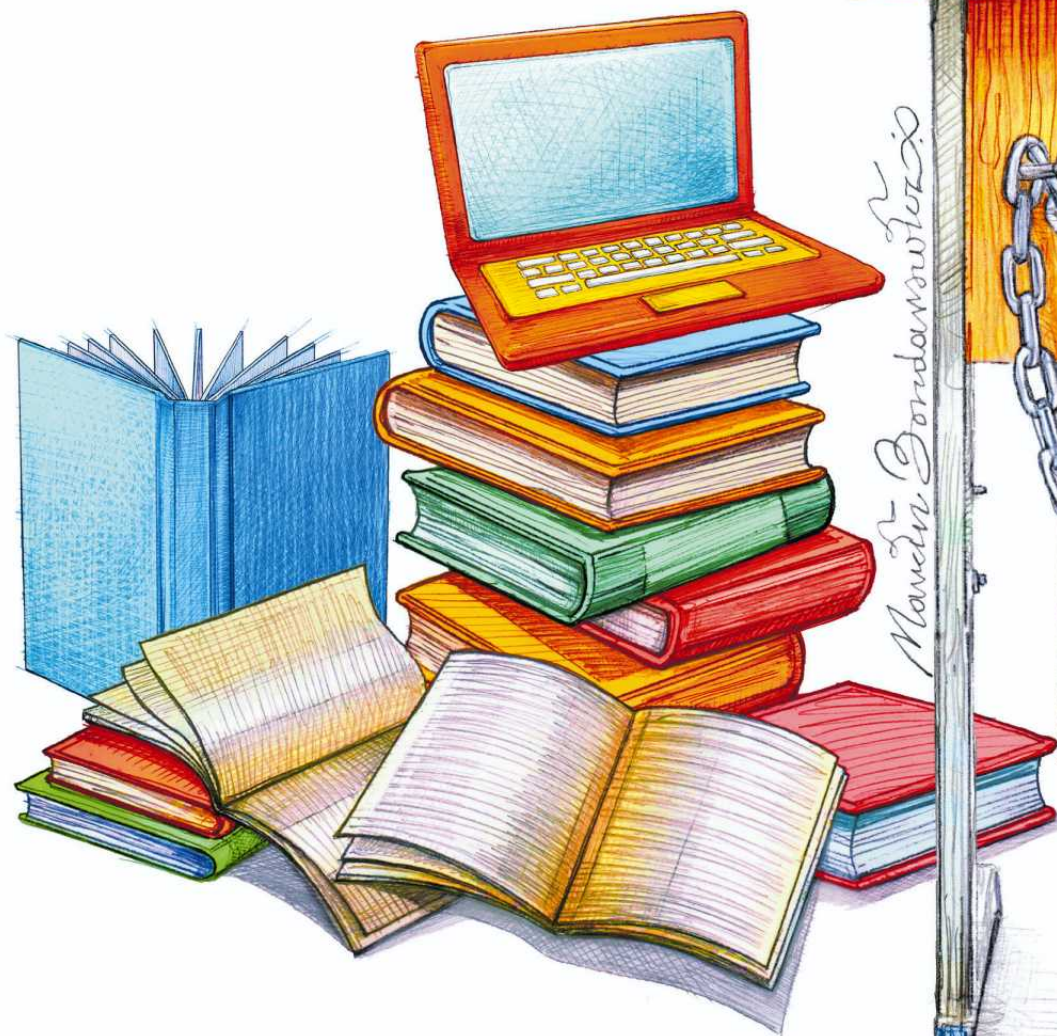
Mam poczucie, że szkoła w ogóle nas nie wspiera w tej sytuacji. Szkolna psycholog zadzwoniła raz, w grudniu, z takim

Już za tydzień egzamin ósmoklasisty

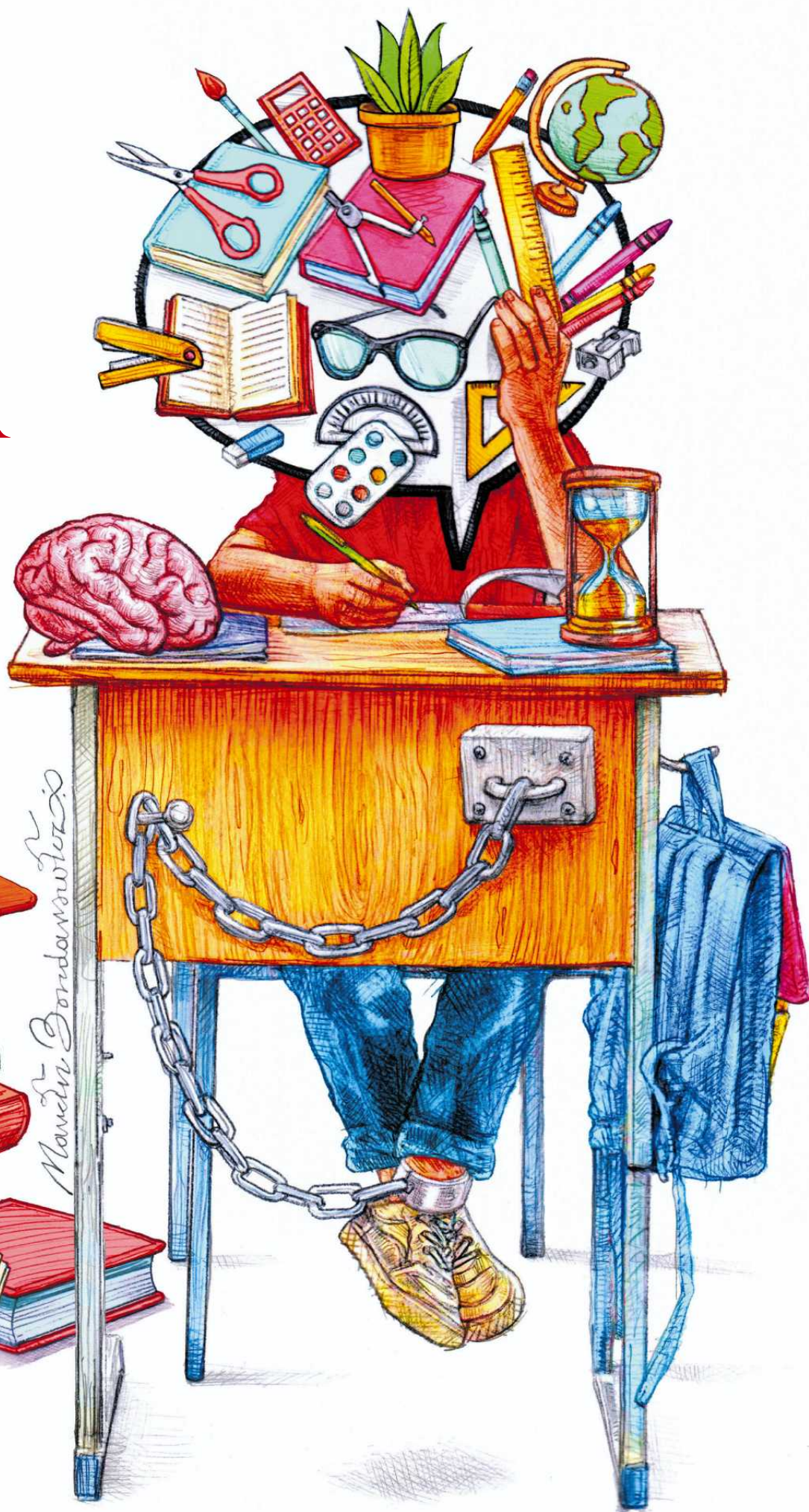
.SZKOŁA ZYCIA

Czwórki i piątki na świadectwie?
Może załapiesz się na liceum z pierwszej trzydziestki

Aleksandra Szyłło



ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ



przesłaniem, żebym zrobiła coś, żeby Hania nie odpuściła, żeby córkę pocisnąć, „bo to przecież taki ważny etap w życiu”. Myślę, że to tak naprawdę była wiadomość od dyrekcji przekazana przez panią psycholog.

Tutaj większość uczniów ma korepetycje, chociaż lekcje są od poniedziałku do piątku po osiem godzin, a w soboty szkoła organizuje kurs dla ósmoklasistów. Niby nieobowiązkowy, ale kto nie pójdzie? Zastanawia mnie, kiedy te dzieci mają czas na korepetycje: wieczorem, po całym etacie w szkole? W niedzielę? Hani tego nie zrobiliśmy, w matematyce pomagam jej ja.

Dużą szkodę wyrządziła córce atmosfera tworzona przez nauczycieli: żadnego chwalenia, docenienia. Ciągłe tylko, co robisz źle. Nawet o tym, że są najlepsi w powiecie, dowiedzieli się w taki sposób, że matematyczka wykrzyczała, że „niby mają najlepsze wyniki, a za mało zadań robią”.

Hani nie pomógł też stres związany z presją rówieśniczą. Tutaj taka okolica, że koleżanki z klasy mają wille, baseny, na wakacje latają do Dubaju. Wiem, że Hania spinała się, żeby jakoś odnaleźć się w tej grupie. Nie jesteśmy biedni, ale nie ta liga. Widocznie ta atmosfera bycia naj okazała się dla Hani zbyt trudna, choć wiele razy o tym rozmawialiśmy. Nie bez znaczenia jest też może to, że część uczniów w klasie jest od niej nawet o półtora roku starsza.

W poprzednich latach córka nie miała czerwonego paska, ale w domu nigdy nie było na to presji. Miała szóstkę z angielskiego, bo to jej konik, poza tym była dobra z tego, co ją interesowało, resztę zawsze jakoś zaliczała. Wybraliśmy już liceum społeczne w Warszawie, w którym umowa jest taka, że przyjmą ją z każdymi wynikami i stworzą warunki, by zdrowiała, uczyła się i rozwijała tak, jak może, w swoim tempie. Jestem szczęśliwa, że nas na to stać. Hania powiedziała wprawdzie, że będzie próbowała też składać papiery do publicznych liceów, ale na razie czuje się na tyle źle, że nie jest w stanie o tym myśleć.

KINGA, MAMA BLIŹNIAKÓW MIKOŁAJA I JULIUSZA, WARSZAWA:

– Synowie chodzą do fajnej, publicznej szkoły blisko domu, Miki do klasy sportowej, Julek do medialnej. Raczej dobrze się uczą, czwórki i piątki, Miki na świadectwie będzie miał jedną trójkę, z chemii, ale nasza pani od chemii ma od lat opinię groźnej. No i jeszcze z plastyki, ale czy to takie ważne? Natomiast kiedy przeliczyliśmy punkty, zderzenie z rzeczywistością okazało się bolesne. Maksymalnie można mieć 200, oni będą mieli około 140, może 150. Julek ma ze dwa punkty więcej, bo jego klasa realizowała jakiś projekt ogólnopolski i wszyscy mają doliczone. Generalnie z taką liczbą punktów to w Warszawie mogą iść do liceum, o którym nikt nie słyszał. Te ich punkty na obecnym rynku to jest nic. Nie mają szans na szkołę z pierwszej, drugiej czy nawet trzeciej dziesiątki w rankingu. Czy ranking jest dla mnie ważny? Tak, bo myślę, że liceum jest przede wszystkim po to, żeby dobrze zdali maturę.

Byliśmy już na dziesięciu dniach otwartych w różnych szkołach. Jak znaleźliśmy taką, gdzie widać genialną atmosferę, to okazuje się, że jednak do tej placówki kilku punktów może nam zabraknąć. Po czym poznaję atmosferę w liceum? To czuć. Czy starsi uczniowie mówią od siebie, czy widać, że lubią własną szkołę. Jak przyszli wychowawcy opisują profile – wspaniałe, kiedy mówią, jaki typ dziecka gdzie będzie pasował, również osobowościowo. Na przykład: „w tej klasie wyrastają mówcy, tu będzie pasował uczeń, który uważa, że temat nigdy nie jest skończony, chce dyskutować”; „w tej klasie poradzi sobie uczeń konkretny, wykona zadanie, nie na odwał się, solidnie, ale zamknie i koniec”. Ja w tych opisach odnajduję różne charakterystyki synów. Niesamowite jest, że w jednej ze

szkół nauczyciele pozwolili licealistom zrobić na ścianach własne grafiki. Zniechęca liceum, w którym na dniu otwartym jest nerwowo, widać, że starsi uczniowie robią wszystko pod linijkę, boją się albo nie mają ochoty dodać nic od siebie.

Zauważyłam też, że są dyrektorzy, którzy próbują dać sygnał, jaka atmosfera panuje w ich szkole, jedna dyrektorka oznajmiła: „Jeśli dziecko nie ma otwartości na drugiego człowieka, będzie mu u nas ciężko”. To bardzo cenne.

Wiem, w czym synowie są mocni, ale nie chcą mnie słuchać przy wyborze profilu. Julek chce iść na matematyczno-fizyczny, choć widzę w nim raczej polityka albo dziennikarza, ale cóż. Mikołaj jeszcze nie wie. Moim zdaniem z jego dociekliwością, dobrą pamięcią i nieco wrednym charakterem mógłby być prawnikiem, ale też wybierze oczywiście sam.

Na korepetycje nie było nas stać. Chłopcy chodzą od roku na kurs przygotowawczy, w grupie. W szkole podstawowej mam wrażenie, że synowie są wspierani. Pilowanie przedmiotów nieegzaminacyjnych było raczej w pierwszym semestrze. Teraz mają już mniej ocen i dobrze. Mają za to sporo prac dodatkowych z matematyki. Moi chłopcy to rocznik 2008, czyli ten starszy, ale moja teoria jest taka, że w przypadku mężczyzn to bez różnicy. Czy się stresują? Niby nie, ale od jakiegoś czasu są nie do zniesienia.

ADAM, TATA JULII (ROCZNIK 2009), MIŃSK MAZOWIECKI:

– Córka celuje w liceum ekonomiczne, to szkoła, która ma opinię najlepszej w naszej miejscowości. Na razie trochę Julii brakuje, próbne zdała na poziomie 60 proc., a tam przyjmują od 90. Nie mam pewności, że dobrze wybrała, zwłaszcza że matematyka nie jest jej najmocniejszą stroną. Uważam jednak, że dziecko powinno decydować w tej sprawie samo, ewentualnie popelniać własne błędy.

Nasza szkoła podstawowa nie jest łatwa. W piątej klasie Julia przeniosła się na profil sportowy, trenuje siatkówkę. Zgodziłem się, bo nie chciałem niszczyć jej marzeń, ale to trudne środowisko. Nawet jeden katecheta ich zostawił, twierdząc, że to „gówniarstwo”. Dopiero drugi daje radę, jest bardziej liberalny. Nie pomogły też online’y. Nie ma się co oszukiwać, podczas klasówek z matematyki Julec pomagał czasem młodszy brat, bo jest mocny z matematyki, a teraz to wychodzi. Julia jest jedną z najmłodszych osób w klasie, myślę, że natłok programu czasami ją przerastał. Najciężej było w piątej–szóstej klasie. Jak sobie nie dawała rady, wpadała w histerię, najczęściej było właśnie z matematyką. Myślałem nawet, żeby zostawić ją, by powtórzyła rok, głównie z powodów psychologicznych, żeby jej pomóc. Teraz jest lepiej, ale ona ma po mnie trudny charakter, jest harda, może zbyt pewna siebie z tym wyborem liceum?

Plus „ekonomia” byłby taki, że może w szkole wysoko uplasowanej w rankingu towarzystwo spokojniejsze?

SYLWIA ŻMIJEWSKA-KWIRĘG, DYREKTORKA PROGRAMOWA I CZŁONKINI ZARZĄDU CENTRUM EDUKACJI OBYWATELSKIEJ:

– Na przykładzie własnych dzieci mogę opowiedzieć, jak bardzo z każdym ta droga edukacyjna jest inna. Nasz starszy syn od początku był superzdolny. Nie musieliśmy mieszać się do jego lekcji, on, szczerze mówiąc, nie musiał zbyt ciężko pracować, a wyniki zawsze miał świetne. Mógł pójść do każdej szkoły średniej. Wybrał technikum, bo interesował go konkretny profil. Dla nas było ważne, że jest to placówka, gdzie po pierwsze, może realizować wła-

sne zainteresowania, a po drugie – że jest przyjazna młodemu człowiekowi.

Dla córki, młodszej, obecnej ósmoklasistki, szkoła od początku jest większym wyzwaniem. Na wiele sposobów staraliśmy się ją wspierać i przez pierwsze lata podstawówki pracowaliśmy z nią regularnie nad lekcjami. Już wtedy było dla mnie jasne, jak mocno niesprawiedliwe są oceny, które na papierze wyglądają bezwzględnie, a są tak nieproporcjonalne do ilości wysiłku, jakie dziecko wkłada. Ale nasza rejonowa szkoła starała się w jej przypadku doceniać ten wysilek.

Od szóstej klasy podjęliśmy z mężem decyzję, że córka uczy się teraz sama i to od niej zależy, czy prosi nas o wsparcie. Po to, żeby miała szanse oswajać się z konsekwencjami samodzielnej pracy i bardziej doceniała to, co jej uda się osiągnąć własną pracą. To był nasz świadomy wybór. Trudny, bo zapewne holowana miałaby lepsze wyniki.

O jej ocenach wiemy tyle, ile sama nam powie. Uważamy jednak, że tak jest dla niej lepiej, jednocześnie nie mamy oczeki-

Nauczycielka, mama ósmoklasistki: Co by było, gdybyśmy nie mieli pieniędzy na korepetycje? **Możliwe, że Zosia skończyłaby w szkole zawodowej**

wań, że musi A, musi B, musi C. Wiem, że są rodzice, którzy niemal za dziecko walczą o każdą szóstkę, o podniesienie każdej oceny. Tu pojawia się jednak pytanie o głębszy sens edukacji – jakie wartości tak naprawdę przekazujemy. Czy oddawanie w ostatniej chwili prezentacji, która ma podnieść całoroczną ocenę, jest uczciwe? Czy uczciwsze jest zaakceptowanie oceny, która pokazuje, jak realnie ktoś pracował przez wiele miesięcy? Wolę nie uczyć cwaniakowania, kombinowania, które często odbywa się w dłuższej perspektywie kosztu innych. Choć oczywiście zdajemy sobie sprawę, że są osoby, które tak robią, i mówimy o tym otwarcie z dziećmi. I one też czasem takie próby podejmują, ale nie z naszej inicjatywy. Rozmawiamy bardziej o tym, a nie o ocenach, bo w taką edukację wierzę. Nasze dzieci nie chodzą też na korepetycje, bo myślę, że byłoby to bardziej realizowanie naszych ambicji. Sama pochodzę z małej wioski i wszystko osiągnęłam własną pracą oraz dlatego, że tego chciałam.

Nie wmawiamy też dzieciom, że wszystko jest możliwe. To nie w porządku mówić: „Wszystko możecie”. Nie jest tak, że każdy może wszystko. Nie wszystkie marzenia się spełniają i dobrze budować w sobie i na to zgodę. Nie oznacza to końca świata – wciąż tak wiele dobrego przytrafia się nam w życiu. Część z nich spełnią po swojemu.

Oczywiście jak każdy rodzic chcę, żeby moje dziecko odniosło życiowy sukces. Pytanie, czym on ma być. Dla mnie na przykład największym sukcesem i szczęściem jest moja rodzina. I tak o sukcesach życiowych rozmawiamy z dziećmi. Liczę się z tym, że może tak być, że kiedyś dzieci wrócą z pretensją: a mogłaś mnie wysłać na korki, a mogłaś to czy tamto zrobić inaczej, tobym teraz miał/miała lepiej. Cóż, dokonujemy z mężem wyborów i musimy brać za nie odpowiedzialność. Postanowiliśmy na przykład, że nasze dzieci będą się uczyły w publicznych szkołach. Nie dlatego, że nas nie stać. Dlatego, że im więcej rodzin z dużym kapitałem społecznym zosta-

nie w państwowych placówkach, tym dla wszystkich jest to korzystniejsze.

Tyle jako rodzic. Jako ekspert edukacyjny pracujący w dużej mierze ze szkołami z mniejszych miejscowości powiem, że bardzo istotne jest, co robimy w szkole z wynikami. Egzamin ósmoklasisty to nie tylko procenty.

Centralna Komisja Egzaminacyjna umożliwia analizę wyników testów pod szerszym kątem: umiejętność czytania ze zrozumieniem, logicznego myślenia, rozwiązywania problemów, najczęściej popelnianych błędów, zadań, które sprawiają trudności itp. – np. poprzez sprawozdania z egzaminów oraz formatki dla szkół pomocne przy wyciąganiu wniosków. To są wskaźniki, na których powinniśmy się skupiać – żeby wiedzieć, jak dalej pracować, z kolejnymi rocznikami, zaczynając od pierwszej klasy – bo wiedzę i umiejętności sprawdzane podczas egzaminu ćwiczymy od początku edukacji na wszystkich, nie tylko egzaminacyjnych, przedmiotach. Oczywiście najtrudniejsze jest to, że system rekrutacyjny zachęca nas do skupiania

się na samych procentach i porównywania ucznia z innymi. Dziecko piszące egzamin ostatecznie widzi wynik i wykres – ile procent innych uczniów wypadło lepiej, a ile gorzej. Czemu to służy? Albo poczuje się niewartościowe, albo rodzina będzie pękała z dumy, że jest lepsze od innych.

Odchodząc już od egzaminu ósmoklasisty, to moim zdaniem najbardziej szkodliwą funkcją dziennika elektronicznego jest „uczeń na tle klasy”. Jaki to ma cel? W jaki sposób to pomaga się uczyć? Takie myślenie wpędza nas wszystkich w maliny: już nieważne, co młody człowiek ma w głowie, ale skoro byłby lepszy od innych, to świetnie, tak?

Dla mnie ważne jest, że córka napisała drugi próbny egzamin lepiej niż pierwszy i że ona sama jest z tego zadowolona. Tego powinniśmy oczekiwać od szkoły – ile uczniom udało się w niej osiągnąć w porównaniu z tym, z czym przyszły. Mamy dwie placówki: jedna wyprowadza ucznia z jedynki na czwórkę, inna z czwórki na piątkę. To która jest topowa?

Warto też mieć świadomość, że walka o topowe licea to raczej realia kilku największych miast w Polsce. W mniejszych miejscowościach zazwyczaj jest jedno topowe, a reszta stara się z nim mądrze konkurować – czasami starając się tworzyć ofertę przyjazną uczniowi z konkretnymi zainteresowaniami, żeby go przyciągnąć do siebie.

ULA, MAMA ZOSI, WARSZAWA:

– Oboje z mężem jesteśmy nauczycielami i kiedy dzieci rozpoczynały przygodę z edukacją, braliśmy pod uwagę wyłącznie szkoły publiczne. Byliśmy przekonani, że to dobre zarówno dla nich, żeby rosły wśród rówieśników z rozmaitych środowisk, jak i dla ogółu (żeby nie napędzać rozwarstwienia). Dziś mogę powiedzieć jedno: jakie to szczęście, że stać nas na społeczne licea! Starszy syn jest w drugiej klasie; Zosia, ósmoklasistka, od trzech miesięcy też jest

już przyjęta do niepublicznej placówki. Nawet jeśli Zosi wyjątkowo dobrze poszedłby egzamin, nie rozważamy państwowego liceum. Kumulacja roczników 2008/09 powoduje przeładowanie, które musi odbić się na jakości nauczania. Obraz, jaki ostatnio obiegł media – rodziców postulujących, by pod zabytkową siedzibą Batorego ustawić toi toie, bo uczniowie nie mogą dopchać się do toalety – pokazuje realia. W najbardziej prestiżowych publicznych liceach brakuje nauczycieli, są częste rotacje albo zatrudnia się kogoś z przypadku.

Zosia, urodzona w grudniu 2009, została wystawiona przez polski system edukacji do wiatru. Gdy była w przedszkolu, mówiono, że tu ma się bawić, wręcz niewskazana była wcześniejsza nauka czytania i pisanie. Gdy szła do pierwszej klasy, w podwójnym roczniku, obiecywano kolorowe dywany i przyjazne warunki dla sześciolatków. Pierwsze lata podstawówki to miało być płynne przechodzenie od zabawy do oswojania z nauką. Miało być wyrównywanie szans dzieci z różnych środowisk. Po sześciu latach nasze dzieci miały iść, bez wielkiej rywalizacji, do rejonowego gimnazjum i dopiero po trzech latach nauki tam zdawać ten ważny egzamin, decydujący o przyszłości.

W międzyczasie nastąpiła reforma. Nasza kameralna, publiczna podstawówka przy domu rozrosła się z 320 uczniów do ponad 700! Doszły klasy siódme, ósme i zerówki. Przy takiej liczbie uczniowie stali się anonimowi. Nauczyciele ze starszych klas jeżdżą do szkoły do szkoły, bo przecież geograf czy fizyk nie uskłada całego etatu w jednej placówce. Pedagodzy przygotowani do pracy z małymi dziećmi nie zawsze radzą sobie z młodzieżą. Nasza szkoła ciągle poszukuje nauczycieli, a oni ciągle się zmieniają. Pani od chemii odeszła, oznajmiając na ostatniej lekcji dzieciom, że „nie może już z nimi wytrzymać”.

Sala do zabaw dawno została przekształcona w klasę, dzieci uczą się w stołówce i bibliotece. Na korytarzu ścisk, są długie kolejki do toalety i obiadu. Hałas jest taki, że uczniowie na przerwach szukają schronienia w czytelniku, ale nie każdego dnia jest ona otwarta.

Zosia nie poszła do gimnazjum, zdaje natomiast ten decydujący egzamin rok wcześniej, w skumulowanym roczniku, gdzie część dzieci jest od niej niemal o dwa lata starsza. Nie na to się umawialiśmy, posyłając córkę do szkoły. Ona akurat teraz weszła w okres burzy hormonalnej i buntu, również wobec nauki. I ma zdawać egzamin, który zdecyduje o jej dalszych losach.

Zosia ma zdiagnozowane ADHD. Teoretycznie poradnia wysyła w takim przypadku wskazówki szkole, jak postępować z uczniem. Powinno odbyć się zebranie wszystkich pracujących z Zosią nauczycieli, na którym powinni dowiedzieć się, jak indywidualnie tłumaczyć jej polecenia; przywoływać jej uwagę, kiedy odpływa; sadzać blisko nauczyciela; wydłużać czas klasówek, np. z 45 min do 60. Śmiem wątpić, że to działa. A ja już nawet nie mam zdrowia, żeby walczyć, odpuściłam. Kiedy pytaliśmy na zebraniu, czy na pewno nauczyciele dają Zosi więcej czasu na klasówki, wychowawczynie rozłożyła ręce: „Nie jestem w stanie skontrolować, jak zachowała się matematyczka czy biolożka”.

W systemie, który miał być przyjazny, nadal rządzą klasówki i oce-

**Synowie mają
czwórki i piątki.
Kiedy przeliczyliśmy
punkty, zderzenie
z rzeczywistością
okazało się bolesne.
Z taką liczbą to
w Warszawie mogą iść
do liceum, o którym nikt
nie słyszał**

Przewodnik po katastrofie

**Zorganizowanej przez PiS.
Ofiary: dzieciaki, rodzice,
nauczyciele, samorządowcy**

W roku szkolnym 2023/24 w szkołach ponadpodstawowych będzie się uczyło ogółem 1 mln 780 tys. osób. Najwięcej od 20 lat – według danych GUS. Dla porównania – w roku szkolnym 2018/19 było to o pół miliona mniej.

Roczniki 2008 i 2009, czyli uczniowie, którzy za tydzień przystępują do egzaminu ósmoklasisty, to roczniki wyżu demograficznego (w 2008 r. po raz pierwszy od 10 lat w Polsce przekroczono 400 tys. urodzeń). Na to nakłada się fakt, że tegoroczni absolwenci podstawówki to skumulowane półtora rocznika – efekt stopniowego posyłania do pierwszej klasy sześciolatków łącznie z siedmiolatkami. Tamtej reformy PO nie ukończyła, przegrywając wybory w 2015 r. Nowa PiS-owska władza radykalnie odwróciła wieloletnie zmiany w szkolnictwie: zlikwidowano gimnazja oraz wchodzący obowiązek szkolny dla sześciolatków. Efekt? Przepelnione podstawówki (pojawily się w nich dodatkowo klasy 7, 8 oraz zerówki) i przepelnione licea (podwójny rocznik uczniów kończących stare gimnazjum i nową ośmioletnią podstawówkę). A także bałagan w podstawie programowej i – może przede wszystkim – całkowita utrata zaufania rodziców do systemu.

Na barki samorządów, jako organów prowadzących szkoły, spadło poradenie sobie z przepelnieniem placówek. Sposoby? Łączenie klas, klasy trzydziestokilkuosobowe, nauka zmianowa, lekcje w stołówkach, świetlicach i podnajmowanych salach. Likwidacja w wielu szkołach szafek – więc uczniowie znów noszą wielokilogramowe plecaki, niszcząc kręgosłupy. Nauczyciele odchodzą z zawodu lub starają się w nowej rzeczywistości kleić etat w kilku placówkach.

na z klasówki. Inne talenty są niedostrzegane: artystyczne, organizacyjne, wolontariat. Projekty traktowane są na doczepkę – a przecież to miał być alternatywny sposób sprawdzania wiedzy ucznia. Nie każdy jest do bry w siedzeniu cicho przez 45 minut. W państwowych szkołach nadal króluje pruska dydaktyka, czyli wykład nauczyciela. Formy oceniania pokazują uczniowi, co robi źle i czego nie umie, system nie docenia tego, co uczeń umie i co osiągnął.

Dziecko, które ma orzeczenie o zaburzeniu, dowiaduje się pośrednio, że jest gorsze, głupsze; nie chce podejmować wyzwań, bo myśli, że i tak mu się nie uda.

Rozważaliśmy z mężem, czy – wobec reformy – nie zostawić Zosi, by powtórzyła klasę. Podjęliśmy trudną decyzję, że nie, bo obawiamy się, że to dodatkowo utwierdziłoby ją w przekonaniu, że to z nią jest coś nie tak. A przecież kiedy szła do pierwszej klasy, w przedszkolu zapewniano nas, że świetnie się nada. To system zawalił, nie ona.

Teraz Zosia chodzi na korepetycje z angielskiego i polskiego. Dopiero na prywatnych lekcjach nauczyła się pisać wypracowania, mam wrażenie, że w niemal trzydziestoosobowej klasie nauczycielka nie daje rady podprowadzić ich odpowiednio pod temat. Matematykę córka przerabia z mężem, co okupione jest niejednym śpięciem, bo ona wcale nie pali się do tej pracy.

Nie chcę myśleć, co by było, gdybyśmy nie mieli pieniędzy. Możliwe, że Zosia skończyłaby w szkole zawodowej, przekonana, że nauka nie jest dla niej. Z drugiej strony, jako nauczyciele widzimy, co się dzieje w tzw. prestiżowych warszawskich liceach publicznych. Odsiewanie uczniów z problemem, niedopuszczanie do matury, żeby nie psuć rankingu. To niezgodne z prawem, ale nauczyciel zawsze znajdzie sposób, bo ma władzę. Wiemy, jak masowy jest rynek korepetycji dla maturzystów z tych topowych szkół, bo bez wsparcia z zewnątrz nie mieliby szans zdać na przyzwoitym poziomie. To jest pseudoelitarność. Czy o tym mielibyśmy marzyć dla naszych dzieci? ●

EGZAMIN ÓSMOKLASISTY

Tegoroczny egzamin ósmoklasisty odbędzie się w dniach 23-25 maja. Jest to egzamin pisemny z języka polskiego, matematyki i języka obcego. Wyniki opublikowane zostaną 3 lipca. Ten wynik oraz świadectwo szkolne to podstawa do ubiegania się o przyjęcie do szkoły ponadpodstawowej. Maksymalnie (za egzamin plus świadectwo) uczeń może zdobyć łącznie 200 punktów.

Walka o każdy punkt

W tym roku szkoły nie wybiera ani dziecko, ani rodzic. W tym roku gramy w grę hazardową.

Agnieszka Mularczyk, „Wysokie Obcasy”

Gdy ponad siedem lat temu córka poszła do pierwszej klasy, byłam spokojna. Być może nasza osiedlowa podstawówka nie była najlepsza nie tylko w Polsce, ale nawet w okolicy. Do tej pory nie mam pojęcia, jakie zajmuje miejsce w rankingach, bo nawet do głowy mi nie przyszło do nich zaglądać. Zdecydowała lokalizacja: przez płot.

Jeszcze do zeszłego roku, gdy córka wracała po sprawdzianie i mówiła: „Dobrze mi poszło”, dopytywałam z zaciekawieniem: „Dobrze na ile?”. Bo czym innym było w jej odczuciu „dobrze” z hiszpańskiego (trójka), a czym innym z angielskiego (obowiązkowo piątka). Którąś dwójkę okrzyknęła sukcesem – wydawało jej się, że nic nie umiała, a tu proszę. Dwójka, i to z plusem! I tak w miarę spokojnie dziecko dotarło do ósmej klasy, kiedy to miarą sukcesu edukacyjnego są już nie odczucia, ale szkoła średnia, do której uda jej się dostać.

Ostatnio, gdy przyszła ze szkoły i powiedziała: „Dobrze mi poszło”, zapytałam: „Ale lepiej niż na czwórkę?”. Straszne pytanie, do tego we własnym głosie wyczułam ślad napięcia. Bo na koniec roku ma szansę nie tylko na dobrą ocenę, ale nawet, tfu tfu, na szóstkę. Szóstka na świadectwie w rekrutacji może przełożyć się na jeden punkt więcej, dzięki któremu zostanie się do wybranej szkoły.

Gdy piszę „wybranej szkoły”, czuję gorycz. Bo w tym roku szkoły nie wybiera ani dziecko, ani rodzic. W tym roku gramy w grę hazardową. O tegorocznej kumulacji roczników (połowa rocznika 2008 i cały rocznik mojej córki – 2009, jedyny, który w całości zaczął edukację w wieku sześciu lat) wiadomo było, jeszcze zanim zdiejsi ósmoklasiści poszli do szkoły. Było to też jasne rok temu. Wtedy licea w mojej okolicy, wypchane już do granic możliwości po niedawnej reformie likwidującej gimnazja, dopchnięto poprzednim skumulowanym rocznikiem (kiedy to do szkół poszły ostatnia, jak się wtedy wydawało, grupa siedmiolatków i połowa sześciolatków z rocznika 2008). Większość liceów z mojej okolicy otworzyła w zeszłym roku dodatkowe klasy, w niektórych otwierano nawet po dwie każdego profilu. Dość długo – chyba wierząc, że budynki są z gumy, a nauczycieli da się na szybko sklonować (a jak przyjdą roczniki z niżu, to klony się zamrozi) – wierzyłam, że i w tym roku oferta szkół będzie poszerzona. Naiwność? Wiara w cuda? Głupota?

Od jakiegoś czasu przeglądam – według wytycznych córki – tegoroczną ofertę liceów. Odpalam ranking, ale najważniejszym wsparciem dla mnie są mapy Google’a, bo kieruję się zasadą, że najlepsza szkoła to ta, do której jest blisko. A że mieszkamy w Warszawie, w dzielnicy peryferyjnej, ale jednak nie na peryferiach, to liceów z dobrym i szybkim dojazdem mamy sporo.

Jednak moja frustracja rośnie z każdą kolejną otwartą stroną. Dodatkowych klas w szkołach, które interesują córkę, w tym roku nie będzie. Budynki są już wypełnione po brzegi. Nie uspokaja mnie stwierdzenie wychowawczynie: „Państwa dzieci dadzą sobie radę. Gdzieś się dostaną...”.

To, gdzie się dostaną, nie jest w ich rękach. Mam wrażenie, że w tym roku to ruletka.

Nie dziwię się, gdy słyszę rodziców zastanawiających się, czy nie byłoby lepiej, gdyby ich dzieciaki w tym roku nie zdały. Za rok rocznik będzie przetrzebiony zawróceniem sześciolatków do przedszkoli.

Plan dobry, o ile ktoś tam na górę nie dojdzie do wniosku, że skoro mniejszy rocznik, to klas można otworzyć mniej niż standardowo. Albo zrobić dwa w jednym: biol-chem łączony z matematyką, mat-geo z humanistyczną, językowa ze sportową. Żart? Zobaczmy. ●

Rebranding

Zadaniem Suwerennej Polski jest obrona suwerennej Polski, w której mężczyzna jest mężczyzną, kobieta – kobietą, a schabowy jest legalny.

Michał Rusinek



Łedwośmy się przyzwyczaili do istnienia partii o nazwie Solidarna Polska, a tu po niespełna 11 latach spektakularnej działalności zmienia ona nazwę na Suwerenna Polska. Szkok i niedowierzanie.

Wyjaśnień udzielił rzecznik partii, wiceminister klimatu i środowiska Jacek Ozdoba: nowa nazwa związana jest z nowym etapem. Solidarna Polska była tworzona „za czasów rządów PO, kiedy mafie szalały”, więc – jak rozumiem – musiała mieć w nazwie przymiotnik „solidarna”, bo widocznie nic tak nie odstrasza mafii jak solidarność na ustach walczących z nią polityków. Dzięki „skutecznej walce ministra Zbigniewa Ziobro” – mówił dalej Ozdoba, z sobie tylko znanych powodów nie deklinując nazwiska szefa – udało się pokonać wiele grup przestępczych, między innymi wyłudzaających VAT, zakończono proceder dzikiej prywatyzacji, a „aparata państwa wreszcie może skutecznie chronić potrzebujących”. „Ten ważny etap uważamy za zakończony. Dziś wyzwaniem jest suwerenność i możliwość decydowania, jak ma wyglądać przyszłość” – oświadczył rzecznik i doprecyzował, jak rozumie nowy przymiotnik: głównym wrogiem naszej suwerenności jest Unia Europejska, a ściślej: „plany UE (...) to utrata możliwości decyzyjnej Warszawy na rzecz Brukseli, a właściwie Berlina”. Nie tylko więc odmiana nazwisk, ale też logiczny sztyk zdania są zagadnieniami przerastającymi pana rzecznika. Być może opanuje je na kolejnym etapie działalności partii.

Ostatnio jesteśmy świadkami brawurowych rebrandingów, na przykład Akademii Sztuk Pięknych na Królewską Akademię Sztuk Pięknych, ale u ziobrystów mamy do czynienia ze szczególnym rodzajem rebrandingu, polegającym na zmianie nazwy firmy: dokonuje się jej zwykle wtedy, gdy klientom dotychczasowa nazwa kojarzy się z tandetą i trzeba jakoś pozbyć się złych skojarzeń. W tym przypadku skrót pozostał taki sam, dzięki czemu partia może oszczędzić na kosztownej wymianie takich gadżetów jak przypinki, broszki, spinki do mankietów, naklejki na zderzaki, czapeczki z daszkiem, czapeczki bez daszka oraz biżuteria intymna. Partia zdecydowała się także na zmianę logo, które, trzeba przyznać, było dość nieczytelne. Przedstawiało bowiem albo troje bliźniąt syjamskich zrosniętych ramionami, albo trzy księżyce zachodzące za trzy pagórki, albo trzy kropki nad falami. Bardziej więc nadawało się na logo kliniki specjalizującej się w trudnych zabiegach chirurgicznych lub marki obuwia sportowego sprzedawanego w dyskontach. Oczywiście tych polskich, nie niemieckich. Nowe logo jest zupełnie inne: składa się z obrysu Polski, z lewej strony nakreślonego na białym, z prawej – na czerwono. Ponieważ jednak czerwony bardziej rzuca się w oczy, a polska wschodnia granica ma taki kształt, jaki ma, więc prawy obrys układa się w wielką literę J. J jak kto? Oczywiście jak Jarosław, od którego nie jest, jak widać, łatwo Suwerennej Polsce się odciąć, nawet graficznie.

Deklarowana ideologia SP sprowadza się do narodowego konserwatyzmu, eurosceptycyzmu oraz solidaryzmu. Z nich wszystkich do

nazwy wszedł tylko jeden. Rozumiem, że uczynienie przymiotnika z pierwszej idei przywoziliby na myśl zbyt brunatne skojarzenia, z eurosceptycyzmem lepiej się nie afiszować, został więc solidaryzm, kojarzący się nie tylko z antyliberalnym kierunkiem społeczno-politycznym czy poczuciem odpowiedzialności za wspólnotę, ale też z Niezależnym Samorządnym Związkiem Zawodowym, Akcją Wyborczą czy ogólnie antykomunistycznym ruchem opozycyjnym w Polsce. W suwerenności natomiast pobrzmiewa kluczowe dla „dobrozmianowej” retoryki słowo „suweren”, czyli zbiorowy podmiot, który w poprzednich wyborach zdecydował o przyznaniu władzy Zjednoczonej Prawicy. Suweren to, przypomnijmy, rodzaj sofistycznego pochlebstwa: zgodnie z godnością retoryką prawicy władza przywróciła swym obywatelom godność po latach pogardy za czasów rządów PO. Suweren, jak średniowieczny władca, ma władzę absolutną. Oczywiście dopóki popiera prawicę.

Politycy Suwerennej Polski mówią jednak, że chodzi im nie o suwerena, ale o suwerenność, która jest zagrożona, jak powiedział Zbigniew Ziobro, „najbardziej od czasu upadku komunizmu”: z jednej strony zagraża jej wojna prowadzona przez Rosję, z drugiej – lewicowi fanatycy w Europie, którzy mają w Polsce swoich agentów: „Niemka Ursula von der Leyen z właściwym sobie niemieckim tupetem i arogancją namaściła Tuska na namiestnika w Polsce” i teraz „Niemcy traktują Tuska jak swojego agenta wpływu w Warszawie”. „Musimy bronić się przed kolaborantami” – dodał. Michał Wójcik straszył: „Jeśli dopuścicie tych wariatów z opozycji do władzy, oddadzą suwerenność szaleńcom z Brukseli. Pamiętajcie, suwerenność to serce narodu!”. Sam jednak zapomniał, że stygmatyzujących słów oznaczających osoby z zaburzeniami psychicznymi powinno się unikać, zwłaszcza w dyskursie publicznym.

Zadaniem Suwerennej Polski – jak powiedzieli prowadzący kongres tej partii Anna Maria Siarkowska i Jan Kanthak – jest „obrona silnej, niezależnej, wolnej i suwerennej Polski”, „w której mężczyzna jest mężczyzną, a kobieta – kobietą, w której obchodzimy Boże Narodzenie, a pale nie w kominku nie jest zbrodnią. Polski, w której schabowy jest legalny”. Zagrożeniami dla polskości są więc osoby trans, laicyzacja, ekologia i wegetarianizm. Ale jeśli nie powstrzymamy Unii, to Polacy nie będą mogli niedługo nie tylko „jeść tego, na co mają ochotę”, ale też „jeździć samochodami” oraz wydobywać węgla.

O wiele więcej uwagi poświęcili politycy SP zagrożeniu z Zachodu niż ze Wschodu, co o tyle nie dziwi, że ich retoryka do złudzenia przypomina retorykę putinowskiej Rosji, z jej homofobią, transfobią, tradycjonalizmem, odwoływaniem się do religii, straszeniem wizją przymusu jedzenia owadów i generalną niechęcią do wszystkiego, co zachodnie oraz lewicowe.

Kongres odbywał się 3 maja, w rocznicę uchwalenia Konstytucji, nie obyło się więc bez odwołań do tego wydarzenia. Oczywiście – na skrzydłach odległej metafory. Bo Konstytucja, o czym nikt z polityków SP nie wspominał, była przecież w gruncie rzeczy prozachodnia i opierała się na ideałach angielskiego i francuskiego oświecenia. A konfederację targowicką, którą Ziobro widzi dziś w postaci „niemieckich kolaborantów”, założyła grupa oligarchów i biskupów o tradycyjnych poglądach, przeciwnych oświeceniu i zachodniemu zepsuciu, właśnie w Zachodzie widzących największe zagrożenie. Jak to się skończyło – wiadomo. Oczywiście historię można traktować wybiórczo, interpretować po własnej myśli i mocą metafory dopasowywać ją do własnych interesów. Metafora opiera się jednak na podobieństwie. Krzycząc o zagrożeniu płynącym z Zachodu, upodabniając się, panowie i panie z SP, do tych, którzy byli przeciwko Konstytucji. Oni też mieli usta pełne pięknych słów o Rzeczypospolitej, suwerenności (nazywanej przez nich samowładnością), niepodległości, wolności i szlachetnym narodzie. Zapytam więc nieśmiało: czyż nie stosowniejszą datą dla kongresu Suwerennej Polski byłby więc 18 maja? ●

Salatka Krystyny Pawłowicz

Demokracja jest pełna dzieci ciemności, które wielbią ponurego boga egoizmu.

Marcin Matczak



Boże, użycz mi pogody ducha, abym godził się z tym, czego nie mogę zmienić, odwagi, abym zmieniał to, co zmienić mogę, i mądrości, abym odróżniał jedno od drugiego”.

Znana „Modlitwa o pogodę ducha” odmawiana na spotkaniach Anonimowych Alkoholików nie jest anonimowa. Jej autor Reinhold Niebuhr, amerykański etyk, to człowiek, który przybity tragedią nazizmu pochylił się nad kryzysem demokracji i w 1944 roku napisał książkę „Dzieci światła i dzieci ciemności. Pochwała demokracji i krytyka jej tradycyjnej linii obrony”. Główna jej teza: ci, którzy wspierają demokrację, są często naiwni – zbyt mocno wierzą w racjonalność człowieka, a nie doceniają drzemiących w nim instynktów, w szczególności niszczycielskiego instynktu egoizmu.

Wierzą przykładowo, że sensowni, rozzumni ludzie zawrą umowę społeczną, a następnie będą żyli długo i szczęśliwie. Ufają, że naturalne dbanie o interes własny da się naturalnie przezwyciężyć. Nic z tego, pisze Niebuhr. Ci wierzący w demokrację bez egoizmu to dzieci światła albo – jak powiedziała by stara niania z „Gry o tron” – słodkie dzieci lata, które nie znają trudów, jakie przynosi zima. Ich filozofowie wierzą w utopię, w której lew położy się obok jagnięcia i jak wół będzie jadał słomę. Dzieci światła to nie tylko liberałowie, ale i marksiści. Oni też żywią nadzieję, że skoro zło tkwi w systemie, nie w człowieku, to gdy uda się przezwyciężyć zły system, wejdziemy wszyscy do krainy łagodności, w której – jak w hipisowskiej komunie – będziemy czynić jedynie miłość, nie wojnę.

Tymczasem demokracja jest pełna dzieci ciemności, które wielbią ponurego boga egoizmu. Nie da się ich pozbyć i nie trzeba tego robić, bo kierujący nimi instynkt ma dwa oblicza – niszczycielskie i kreujące. Jeśli da się go opanować, może przynosić korzyści. A jedynym sposobem opanowania egoizmu są twarde, nienaruszalne reguły.

Przykład: jeszcze dzisiaj w wielu rodzinach panuje zasada, że posiłki spożywa się wspólnie. Nietaktem jest zabierać talerz i udać się do swojego pokoju, żeby tam jeść samemu. Być może głębokim, ewolucyjnym źródłem tej niepisanej reguły są zwyczaje ograniczania egoizmu, jeszcze z czasów, gdy byliśmy myśliwymi i zbieraczami. Wtedy samodzielne jedzenie tego, co się upolowało, bez dzielenia się ze społecznością, było grzechem niewybaczalnym. Rytuały publicznego, przejrzyściego rozdzielenia łupu były w tych

społecznościach powszechne. Egoizm i chęć uznania czyniły kogoś lepszym myśliwym. Ale kto po polowaniu jadł sam, w ukryciu, był więcej niż podejrzany – popełniał przestępstwo egoizmu, które zagrażało całej grupie.

Jak pisze Niebuhr, zdolność człowieka do sprawiedliwości czyni demokrację możliwą, ale skłonność człowieka do niesprawiedliwości czyni demokrację konieczną. Dlatego demokracja pełna jest reguł, które mają ograniczać egoistyczny pęd. To mechanizmy kontrolujące („checks and balances”), potocznie zwane praworządnością. Demokracja jest warta obrony nie dlatego, że jest moralnym ideałem, ale dlatego, że jest skutecznym sposobem ograniczania ludzkiego egoizmu i woli mocy – dążenia do władzy nad innymi.

Dlatego jeśli jest większa naiwność od tej, którą żywią dzieci światła, jest nią naiwność elektoratu dzieci ciemności. Bo wiara, że ktoś, kto narusza reguły będące antyegoistyczną tarczą, zrealizuje dobro wspólne, nie swoje, jest zwykłą głupotą.

Jest coś, co łączy grupy AA, naiwność, starą nianię z „Gry o tron” i samodzielne pożeranie jedzenia. To myśl prawnopolityczna Prawa i Sprawiedliwości. Są poważnie uzależnieni od nieograniczonej władzy, śmieją się do rozpuku z naiwnych obrońców demokracji, starej niani zamykają usta 14. emeryturą i łapczywie pożerają to, co wspólne. Różnica jest taka, że zamiast dziećmi ciemności są często dziećmi we mgle.

Czasami trudno sprowadzić do konkretnych abstrakcyjne reguły demokracji takie jak podział władzy, praworządność czy niezależność sądownictwa. Ale tak naprawdę chodzi o jedno – żeby nie żreć samemu, nawet jeśli jest się bardzo głodnym. Głównym hasłem PiS jest egoizm. Skrajne skupienie na interesie własnym, które stoi za rozmontowaniem Trybunału, zawłaszczeniem instytucji, obsadzeniem stołków posłusznymi idiotami.

Ta chęć nachapania się, która usuwała demokratyczne bezpieczniki, rozzuchwala i kończy się degrengoladą. Tym, że ktoś wchodzi na cmentarz w czasie pandemii, choć inni nie mogą. Że jakaś rodzina ma przez wiele lat asystę prokuratury w swojej prywatnej sądowej sprawie, a potem jeszcze żąda od Polski, czyli od nas wszystkich, odszkodowania. Że ktoś ma przez dwa lata publiczną opiekę nad mężem, która kosztuje nas krocie, a za którą zwykli ludzie muszą płacić z własnej kieszeni.

Cała maszyna państwa, zamiast ograniczać samolubstwo, chroni konstytucyjne prawo PiS do pazerności. Pan Świrski, zamiast chronić wolność mediów w najgorszym komunistycznym stylu, atakuje Radio TOK FM za obrazę dobrego imienia PiS. Szantażujący się wzajemnie pseudosędziowie TK właściwie nie pracują, pobierając kilkadziesiąt tysięcy miesięcznie, i lepiej chronią interes partii niż Ministerstwo Sprawiedliwości. A rzecznik praw dziecka realizuje propagandę nadprezesa i tak się skupia na ochronie dzieci przed seksualizacją, że zapomina je chronić przed wrzątkiem i kablem.

Dobro wspólne stało się salatką Krystyny Pawłowicz, pożeraną łapczywie, w ukryciu, samotnie. Zamiast równości do konstytucji wrzucili chciwość, zamiast ofiarności do kodeksu moralnego wprowadzili sobkostwo. A gdyby na spotkaniach anonimowych wldzoholików mieli odmawiać modlitwę Niebuhra, brzmiałaby ona tak: „Boże, użycz mi bezczelności, abym ukradł to, co mogę ukraść, wyrachowania, abym nie kradł tego, za co mogą mnie złapać, i cwaniactwa, abym odróżniał jedno od drugiego”. ●

ILUSTRACJA JACEK GAWŁOWSKI



**Jak rozmowę o mięsie,
gender i Janie Pawle II
zmienić w rozmowę
o regionalnej uczelni,
osiedlowej drodze
i lokalnej bibliotece**

Z SOCJOLOŻKĄ I DZIAŁACZKĄ
DEMOKRATYCZNĄ **HELENA
CHMIELEWSKĄ-SZLAJFER*** ROZMAWIA
WALDEMAR PAŚ

Kiedy wasz projekt wejdzie w życie?
– To będzie cud boski, jeśli za 10 lat.

Porażająco szczery optymizm.
– Ale może uda się wcześniej? Kropla drąży skałę.

Dlaczego poświęciła pani na to swój czas?
– Uwiódł mnie pomysł ściągnięcia decyzji-ności i, siłą rzeczy, pieniędzy do samorządów, aby obywatele mogli skutecznie działać publicznie, mieć poczucie sprawczości. Do tego projekt tworzyła nieortodoksyjna grupa osób, od prawa do lewa, a ja mogłam wykorzystać w praktyce swoją wiedzę naukową. Nasza propozycja to autorski pomysł oparty na polskim doświadczeniu i namyśle, a nie bezmyślne kopiuj-wklej zachodnich rozwiązań.

Mamy różne poglądy na państwo, politykę, wartości. Ale łączy nas refleksja, że polaryzacja pogarsza funkcjonowanie Polski. Trzeba coś zrobić, a to, co osłabi ten zero-jedynkowy konflikt, to znaczące zwiększenie kompetencji samorządów. Zgodnie z zasadą, że bliższa koszula ciału, ludzie na poziomie lokalnym, kiedy mówią o konkretach, nawet jeżeli się ze sobą bardzo kłócą, to łatwiej jest im dojść do porozumienia. Gdy mieszkańcy kamienicy chcą urządzić sąsiedzki ogródek, to naprawdę wszystko jedno, co sąsiad myśli o prawie kobiet do przerywania ciąży. Po prostu robimy ogródek.

A dziś władza centralna chce decydować o wszystkim, co widać po różnych próbach osłabienia samorządów, zwłaszcza tych, w których nie rządzi PiS.

To po kolei. Czym jest karta wojewódzka?
– Na jej podstawie będą działać samorządy wojewódzkie.

Czyli taka regionalna konstytucja?

– To podstawowy akt prawa miejscowego danego regionu, przedstawiający w zrozumiałym sposób, jak działają władze samorządowe. Karta będzie musiała być w zgodzie z Konstytucją RP i ustawami, ale też uwzględniać instytucje i mechanizmy demokratyczne wspólne dla wszystkich województw. Najważniejszą z nich jest nowy senat wojewódzki, czyli wójtowie, burmistrzowie i prezydenci z danego regionu.

I po zmianie władzy będzie się zmieniać również karta...

– Aby nie można było majstrować w niej w imię partykularnych interesów, za każdym razem wymagana będzie zgoda obywateli i obywateli w referendum elektronicznym.

A władze centralne nie będą mogły majstrować w kartach?

– Zmiany będą wymagały akceptacji Senatu. Jeśli nowelizacja karty łamałaby prawo, interweniować będzie mógł też prezydent. To on stałby na straży przestrzegania prawa w województwach.

Czyli wzmocnienie Belwederu. A co robiliby rząd?

– Zajmowałby się kluczowymi sprawami, niezbędnymi, aby państwo funkcjonowało jako całość, czyli obronnością, bezpieczeństwem wewnętrznym, polityką zagraniczną, sprawiedliwością, finansami, zabezpieczeniem społecznym, a także zrównoważonym rozwojem. A oświata, kultura, nauka, drogi mogłyby zejść na poziom wojewódzki. I rząd nie mógłby blokować samorządowych decyzji.

To co będą robić wojewodowie?

– Nie będą już przedstawicielami rządu, wybiorą ich mieszkańcy województwa albo sejmik.

Czyli rząd nie będzie miał nikogo w terenie?

– Państwo nie jest własnością partii rządzącej w Warszawie. Takiemu myśleniu służyć będzie też przeniesienie podatków dochodowych do poziomu wojewódzkiego, bez pośrednictwa rządu.

Biedne państwo i bogate województwa, o to chodzi?

– Nie aż tak, ale województwa byłyby zdecydowanie bogatsze i bardziej kontrolowałyby swoje budżety. Nie byłyby na łasce rządu czy innej instytucji władzy centralnej.

Takie województwa mogłyby prowadzić samodzielną politykę regionalną. Czy nie ma obawy, że to krok w kierunku federalizacji Polski?

– W państwie federalnym poszczególne stany zachowują niezależność ustrojową. W Polsce czegoś takiego nie przewidujemy. Decentralizacja nie oznacza, że Polska przestanie być krajem unitarnym.

Często błędnie zakłada się, że państwo unitarne musi być scentralizowane. Zdecydowanie stawiamy na Polskę unitarną, ale kontynuując reformę decentralizacyjną, jedną z najważniejszych po 1989 r.

W 1990 r., kiedy przeprowadzono pierwszą reformę samorządową, oraz w 1999 r., kiedy w ramach jednej z czterech reform premiera Buzka zmniejszono liczbę województw, zabrakło wiary władz w to, że samorządy sobie poradzą i można im dać realne pieniądze oraz uprawnienia decyzyjne.

Skąd wiemy, że decentralizacja jest lepsza z punktu widzenia interesów państwa i obywateli niż centralizacja?

– Państwa unitarne, w których regiony mają większą siłę samostanowienia, generalnie funkcjonują lepiej niż państwa scentralizowane. Skuteczniej unikają konfliktów.

Inaczej się rozmawia o tym, czy Polska jest PiS-owska, czy PO-owska, a inaczej,

czy zainwestować publiczne pieniądze we współpracę regionalnej uczelni z technologiczną firmą mocną w R&D, czyli pracach badawczo-rozwojowych.

W tym momencie wiele osób zapyta o obawę przed ogłoszeniem autonomii, np. Górnego Śląska.

– Decentralizacja będzie symetryczna – żadnych szczególnych przywilejów dla tego czy innego województwa. Prawo miejscowe będzie musiało być zgodne z konstytucją, ustawami i umowami międzynarodowymi, w tym traktatami unijnymi.

A główne elementy unijnej polityki rozwojowej i tak dzieją się na poziomie regionu. Nie ma więc powodu, aby Warszawa pociągała za sznurki z tylnego siedzenia.

Czy w waszej koncepcji jest miejsce dla powiatów? W dyskusji wokół reformy samorządowej 1999 r. chyba najgłośniej mówiono o tym, że są niepotrzebne.

– Społeczności wojewódzkie same zdecydują, czy chcą mieć powiaty. Mieszkańcy regionów najlepiej wiedzą, czy ta instytucja skutecznie działa.

Dlaczego wojewódzkie legislatury miałyby się składać z dwóch izb, a nie jednej jak dziś?

– Bo sejmik pochodziłby z wyborów powszechnych, a senat wojewódzki byłby zgromadzeniem wójtów, burmistrzów, prezydentów w danym województwie, czyli ciałem broniącym interesów gmin.

A sołtysi? Starostowie?

– Nie. W senacie wojewódzkim pracowałyby osoby stojące na czele danych gmin i miast, bezpośrednio odpowiedzialne przed mieszkańcami.

Co z gminami i ich kompetencjami?

– Dziś gminy są mocno oddzielone od tego, co się dzieje na wyższych poziomach

„UMÓWMY SIĘ NA POLSKĘ”

– książka pod takim tytułem-pro-
pozycją miała premierę w czwartek
w warszawskim Varso Place, najwyż-
szym budynku w Unii Europejskiej.
448-stronicowy tom jest efektem
pięciu lat pracy Inkubatora Umowy
Społecznej – stowarzyszenia pro-
wadzonego m.in. przez prof. Annę
Wojciuk oraz prof. Macieja Kisilow-
skiego. W projekcie uczestniczy ok.
120 naukowców, przedsiębiorców,
praktyków, którzy, jak podkreślają,
mają poglądy lewicowe, liberalne
i konserwatywne. Hasło Inkubatora:
„Zgoda, jesteśmy różni”.
Projekt zakłada lepszy podział władzy
w Polsce, głównie poprzez wzmoc-
nienie roli samorządów wojewódz-
kich. To ma skutkować poprawą
efektywności władz publicznych,
poczucia sprawczości obywateli, ale
też wyciszeniem wyniszczającego
Polskę sporu.

władzy, również samorządowej. Gdy wciąż
gminę w łańcuch zarządzania, bę-
dzie związana z wyższymi piętami, a jed-
nocześnie zapobiegnie to centralizmowi
warszawskiemu czy ze strony stolic woje-
wództw.

Senat wojewódzki jest pomyślany na mo-
dlę Rady Unii Europejskiej, w której nego-
cjują szefowie konkretnych ministerstw,
a zaproponowany kompromis jest potem
przedstawiany do przegłosowania Parla-
mentowi Europejskiemu. W naszej analo-
gii: sejmikowi.

A jeśli w jakiejś gminie dojdzie do niepra-
widłości?

– Będą kontrole, a gdyby to nie pomogło, zo-
stanie wprowadzany komisarz. Tyle że taki
komisarz nie byłby od wszystkiego, zajmo-
wałby się tylko konkretną dziedziną, w któ-
rej doszło do nieprawidłowości.

Kto będzie kontrolował gminę?

– Na poziomie legalności działań – woje-
woda, a na poziomie merytorycznym – Ko-
legium Województw. W jego skład bę-
dą wchodzić wicewojewodowie ze wszyst-
kich regionów odpowiedzialni za konkretne
działy administracji samorządowej, np. edu-
kację czy finanse.

Nie grozi to patologią, jeśli samorzą-
dowcy będą się nawzajem się oceniać?
Kazio jest przecież takim dobrym burmi-
strzem, nie zrobimy mu krzywdy.
– Dziś Kazio może być odkryciem towarzy-
skim premiera. My zmniejszamy ryzyko
„układu zamkniętego”, dodając nowe me-
chanizmy podziału władzy. Gdyby doszło do
złamania prawa, wkracza sąd administra-
cyjny.

Postępowanie w sądzie trwa długo.

– W senacie wojewódzkim zasiadałoby
przeciętnie około 150 osób, przy takiej lic-
bie nepotyzm byłby utrudniony – tym bar-
dziej że siła głosów byłaby ważona liczbą
mieszkańców gminy. Wprowadzamy też
obowiązkowe rankingi usług publicznych
oraz centralny fundusz na niezależne media
lokalne. A mieszkańcy mogą odwołać wło-
darzy w referendum elektronicznym.

Czy województwa będą się zajmować
drażliwymi kwestiami światopoglądo-
wymi typu prawo do aborcji, małżeństw
osób LGBT+ albo adopcji dzieci przez
takie pary?

– Tym mogą zajmować się wojewódz-
twa, opierając się na konstytucji, ustawach
i umowach międzynarodowych. W przy-
padku aborcji oczywiście zakładając, że
orzeczenie obecnego Trybunału Konstytu-
cyjnego zostanie w sensowny i legalny spo-
sób podważone. Zagrożenie zdrowia psy-
chicznego kobiety mieści się w kategorii za-
grożenia zdrowia – przy mniej restrykcji-

nej interpretacji przepisu konstytucji nie
zdziwiłabym się, gdyby politycy skorzysta-
li z możliwości, jaką daje nasza koncepcja,
i ustawą dali województwom pole do libe-
ralizacji.

Czyli aborcja mogłaby być legalna w czę-
ści kraju, np. w zachodnich wojewódz-
twach, a w części nie?

– Na przykład. A na festiwale tradycji i zwy-
czajów religijnych jeździłoby się, dajmy na
to, na Podkarpacie.

Przejdźmy do parlamentu na pozio-
mie kraju.

– Podobny model jak w województwach.
W Sejmie zasiadałoby posłowie wybiera-
ni w wyborach powszechnych, natomiast
w Senacie wojewodowie.

Tylko 16 senatorów? Oj, to bardzo małe
gremium. Co gdy głosy rozłożą się równo
po połowie?

– Na 67 państw z dwuizbowym parlamen-
tem w 27 liczba senatorów nie przekracza
20 osób. U nas siła głosów będzie ważona
w zależności od liczby mieszkańców, nie ma
więc obawy o paraliż.

Nie boicie się, że na garstkę senatorów
będzie łatwo wpłynąć? Po to jest ich 100,
aby obniżyć ryzyko korupcji politycznej.

– Teoretycznie takie ryzyko istnieje, nato-
miast proszę zobaczyć, jak tworzone jest
prawo w ostatnich latach – to głosowania
ławą koalicjantów rządowych. Życie poka-
zuje, że rozsądek przegrywa z logiką par-
tyjną. Trudniej wpłynąć na wojewodę z sil-
nym mandatem demokratycznym i własny-
mi środkami finansowymi niż na posła czy
senatora, któremu można po prostu nie dać
miejsca na liście.

Wojewodowie-senatorowie będą przede
wszystkim zobowiązani mandatem pocho-
dzącym z województw, z poziomu samorzą-
dowego.

Czy będą mieli instrukcje ze swoich regio-
nów? Dziś posłów i senatorów nie wią-
żą instrukcje wyborców, aby nie skupiali się
na partykularnych interesach.

– Nadal będą głosować zgodnie z sumie-
niem, ale na senatorach będzie ciążyła
znacznie większa odpowiedzialność.

Opisujecie, jak w krajach, w których są
różne grupy, mniejszości, nauczono się
w polityce wzajemnego szacunku. Nie

Nie jest problemem, że obywatele
mają różne pomysły, idee,
interesy. Pozwólmy im działać

można nikogo wycinać w pień, co u nas
już się dzieje na poziomie języka i prak-
tyki.

– Z tym, co dzieje się teraz w polskiej polity-
ce, nie da się dłużej żyć. To droga do niena-
wiści bliźniego.

Bardzo ważne jest dla mnie wzmocnie-
nie społeczeństwa obywatelskiego, nauko-
wo zajmuję się tym od lat. W Polsce ono jest
bardzo nieoczywiste. Z jednej strony mó-
wi się, że nie rozwinęło się wystarczają-
co, zwłaszcza w porównaniu z Zachodem.
Z drugiej strony, w badaniach np. profeso-
rów Jana Kubika, Grzegorza Ekierta i Mi-
chała Wenzla widać, że już w latach 80. ist-
niały wyraźne jego załączki, choćby w dzia-
łalności lokalnych stowarzyszeń – jak kluby
sportowe czy domy kultury.

Spójrzmy na to, co się działo w pandemii
albo po napaści Rosji na Ukrainę – wszędzie
widać było rozkwit działalności obywatel-
skiej Polek i Polaków.

Zupełnie inaczej się rozwiązuje politycz-
ne konflikty między ludźmi, którzy już ze so-
bą współpracowali, a zupełnie inaczej, gdy

mamy do czynienia z nieznanymi w in-
ternecie.

Instytucje lepiej działają, kiedy są bliżej
ludzi i kiedy ludzie mają realne narzędzia
wpływu. Nie jest problemem, że obywatele
mają różne pomysły, idee, interesy. Pozwól-
my im działać. Samorządność, wspaniała
idea obywatelskiej demokracji, stojąca u za-
rania współczesnej Polski po roku 1989, nie
została w pełni wdrożona, czas to nadrobić.

Obawiam się, że wasz bardzo interesują-
cy projekt się nie wydarzy.

– Dlaczego?

Według różnych źródeł, m.in. raportu
Fundacji Batorego, poziom samorządno-
ści spada, następuje szybka recentrali-
zacja.

– Nasza propozycja stara się ten trend od-
wrócić, a opiera się na współczesnej wie-
dzy o tym, jakie formy sprawowania władzy
są skuteczne z punktu widzenia demokra-
cji i rozwoju. Ale oczywiście co innego ba-
dać i na tej podstawie wiedzieć, że decentra-
lizacja działa lepiej, a co innego zderzyć się
z rzeczywistością polityczną.

Żadna partia, a zwłaszcza PiS, nie odważy
się na takie samoograniczenie. PiS recen-
tralizuje Polskę z szybkością sputnika.
Proszę choćby spojrzeć na projekt usta-
wy o obronie cywilnej, furtce do wpro-
wadzenia komisarzy w nieposłusznych
samorządach. Celem jest utrzymanie
władzy za każdą cenę.

– To prawda, centralizacja to sposób PiS na
przetrwanie. Ale polityka PiS ewoluuje. Kie-
dy wicepremier Piotr Gliński zajmował się
socjologią, pisał o potrzebie samorządności
i pomocniczej roli państwa.

Nasze propozycje są pragmatyczne. Spę-
dziliśmy sporo czasu na rozmowach z poli-
tykami od prawa do lewa. Większość, przy-
najmniej nieoficjalnie, bardzo interesowała
się naszym pomysłem. Do polityki weszli, bo
chcą zrobić coś pożytecznego, ale są na dole
partyjnej hierarchii i niewiele mogą.

Zaproponowany przez nas model da-
je im wszystkim znacznie większe pole do
popisu. Jeżeli polityka nie koncentruje się
w Warszawie, tylko na poziomie regional-
nym, łatwiej im wypłynąć na szerokie wo-
dy. Oczywiście to nie spodoba się osobom,
które chcą utrzymać centralny monopol
na władzę.

Wiem, idziemy absolutnie na przekór
obecnemu podziałowi. Ale wdrożenie te-

– Nie wiem, czy Polacy uważają to za sku-
teczne remedium. Jesteśmy w Warszawie
i myślimy warszawocentrycznie. W regio-
nach ludzi mało obchodzi to, co się dzieje
w stolicy, mają swoje sprawy.

To dlaczego oferowane przez PiS pastylki
Murti-Binga mają takie wzięcie?

– Nie wiemy, jak wyborcy przyjmą naszą
propozycję, bo dopiero teraz pojawiła się
na stole. Może Polacy niekoniecznie wierzą
w większą skuteczność modelu centraliza-
cyjnego? No i horyzontem czasowym nasze-
go projektu są nie najbliższe wybory, tylko
kolejne i jeszcze następne.

W czwartek odbyła się inauguracja wa-
szej książki. I co dalej?

– Głównym zadaniem będzie teraz przebi-
janie muru imposybilizmu polegającego na
komunikacie: fajny pomysł, ale to niemoż-
liwe.

Ów przejaw imposybilizmu może wyni-
kać z przekonania o dramatycznym braku
sprawczości opozycji demokratycznej
i powszechnej, społecznej apatii spowo-
dowanej demolowaniem Polski przez
ostatnie osiem lat. Jak zwykli obywatele
mogą wam pomóc?

– Na przykład naciskać na polityków, aby za-
interesowali się naszym pomysłem.

Rzucamy wam ideę, a wy ją łapcie? To
może nie wystarczyć.

– Nie jesteśmy politykami, choć projekt do-
tyczy ustroju, kręgosłupa polityki. W naj-
bliższym czasie będziemy jeździć po kraju
i dyskutować na ten temat. Proszę zaglądać
na stronę Nowaumowa.pl.

Może zamieścicie tam petycję, aby ludzie
mogli poprzeć wasz pomysł decentrali-
zacji?

– To świetny pomysł na obywatelską akcję.
A ludzie głosują na PiS, bo czują się prze-
zeń wysłuchani. Po latach oskarżeń, że nie
są wystarczająco przedsiębiorczy, więc to
ich wina, że sobie nie poradzili, słyszą, że są
wartościowymi obywatelami Polski. Dziś
nikt się nie wycofa z programu 500+, bo on
nie jest głupi.

Sami piszecie, że takie rozdawnictwo jest
nieracjonalne, bo za te pieniądze można
postawić mnóstwo żłobków i przedszkoli,
aby lepiej wesprzeć wysiłek rodziców.

– Piszemy, że jedna ze stron uznaje to za
nieracjonalne. Ale nawet dzisiejsza opo-
zycja widzi, że 500+ daje ludziom pieniądze
do ręki, a oni widzą, że państwo działa i im
coś daje.

Ale jakby było więcej przedszkoli i żłob-
ków, toby jeszcze lepiej działało i poma-
gało?

– Zadziała wzmocnienie sprawczości, by
ludzie czuli, że to oni decydują, a nie ktoś
z Warszawy, kto nie ma pojęcia o ich rzeczy-
wistości.

PiS jeszcze w 2015 r. mówił o dawaniu lu-
dziom więcej przestrzeni do samostanowie-
nia. Teraz sukcesywnie się z tego wycofu-
je. To dobry czas, aby zacząć walczyć o inny,
lepszy model Polski. ●

*Dr Helena
Chmielewska-Szljajfer

• członkini zarządu Inkubatora, jest adiunktką
w Akademii Leona Koźmińskiego i Visiting
Fellow w London School of Economics and
Political Science. Bada codzienne praktyki
obywatelskie, mediów i polityki w internecie,
a także zmianę społeczną i kulturę codzien-
ności

CZOŁG

JAK SZCZEPIONKA

Nowa europejska polityka obronna: może jednak trzeba będzie strzelać do złych ludzi. Najlepiej z własnej broni

Maciej Popowski*

Si vis pacem, para bellum – ta rzymska maksyma pokoleniom wychowanym w PRL kojarzy się z kultowym pistoletem parabelum, który nieustraszony Oberleutnant Kloss nosił w masywnej kaburze przy pasie. Wojna w Ukrainie sprawiła, że Europejczycy na nowo odkryli mądrość starożytnych. Parasol bezpieczeństwa rozpięty nad kontynentem przez USA i NATO stworzył idealny mikroklimat dla rozkwitu pacyfizmu. W tym mikroklimacie europejskie wojsko karłowaciało, niemiecki analityk Christian Mölling pisał kiedyś o „armiach bonsai”.

60 procent wydatków ministerstw obrony szło na pensje i emerytury, ciężki sprzęt przechodził do lamusa, a ostatni amerykański czołg Abrams po cichu opuścił Niemcy w 2013 r. Zaradny belgijski przedsiębiorca Freddy Versluys odkupił od własnego rządu ostatnie 50 czołgów typu Leopard, płacąc między 10 a 15 tys. euro za sztukę. Dziś ten czołg po niezbędnej konserwacji wart jest mniej więcej pół miliona euro, a kolejka chętnych jest dość długa.

Dziś Bundeswehra ma zaledwie 130 sprawnych czołgów. Zapowiedź zwiększenia budżetu armii o 100 mld euro, czyli słynna Zeitenwende kanclerza Scholza, miała charakter przełomowy, ale tempo wydatków nadal z trudem nadążać będzie za potrzebami. W ciągu kilku miesięcy leopardy stały się bohaterami masowej wyobraźni, a gazety rozpisywały się o zaletach polskiej armatohaubicy Krab i pocisku Javelin. Granatnik przeciwpancerny RGW-90 Matador zyskał nawet drugie życie jako prezent okolicznościowy wręczany przez władze ukraińskie ważnym gościom ze służb mundurowych państw sojuszniczych. Opinia publiczna w Europie chłonęła analizy byłych wojskowych, którzy na stałe zagościli w mediach, i zaakceptowała imperatyw zwiększenia nakładów na obronność. Ot, taki krótki

kurs Realpolitik zaordynowany Europejczykom przez Putina.

Bardzo pojętnymi uczniami okazali się zresztą niemieccy Zieloni, partia, której korzenie sięgają ruchów pacyfistycznych lat 70. Dziś jej przywódcy, tacy jak wicekanclerz Habeck czy minister spraw zagranicznych Baerbock stali się przekonanymi orędownikami wojskowego wsparcia Ukrainy.

Spojrzenie na Rosję Polaków, Estończyków czy Litwinów przestało uchodzić za ekstremalne, co wielu z nas dało poczucie gorzkiej satysfakcji. Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen, występując w Parlamencie Europejskim w Strasburgu we wrześniu 2022 r. w obecności pierwszej damy Ukrainy Oleny Zelenskiej, powiedziała w imieniu całej Unii, że powinniśmy byli słuchać Polaków. Prze-

wodnicząca nigdy nie miała złudzeń co do Rosji i już na samym początku kadencji w grudniu 2019 r. podczas narady unijnych ambasadorów stwierdziła, że z Moskwą można rozmawiać wyłącznie z pozycji siły. Ze Strasburga poleciała zaś prosto do Rzeszowa, a stamtąd udała się w trzecią od rozpoczęcia rosyjskiej agresji podróż pociągiem do Kijowa.

Von der Leyen była w ostatnim rządzie Angeli Merkel ministrem obrony i dobrze pamięta, że polityka obronna Unii rodziła się w bólach, była też formą zbiorowej terapii po podziałach wywołanych wojną w Iraku w 2003 r. Wtedy to tzw. stara Europa, a właściwie jej twarde jądro, czyli Francja i Niemcy, obróciła się przeciw Stanom Zjednoczonym, a nowa flank

wschodnia nie skorzystała – jak komentował francuski prezydent Jacques Chirac – z okazji, by siedzieć cicho, i dołączyła do koalicji poszukującej broni masowego rażenia Saddama Husajna.

Polskim i bułgarskim żołnierzom rozlokowanym w Karbali prędkiej udałoby się znaleźć cudowną lampę Aladyna, ale wojna w Iraku była początkiem radykalnej transformacji wielu armii NATO i pogłębionej refleksji nad europejskim bezpieczeństwem.

Pierwsza strategia bezpieczeństwa UE napisana na zlecenie wysokiego przedstawiciela Javiera Solany przez dwóch wybitnych dyplomatów: Roberta Coopera – obecnie członka Izby Lordów – i Christopa Heusgen – obecnie szefa Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa – nie przewidywała, że Unia stanie się sojuszem obronnym, to zadanie miało nadal pozostać w wyłącznej gestii NATO. Unia miała natomiast skupić się na działaniach stabilizacyjnych w bliższym i dalszym sąsiedztwie. Do tego potrzebne jej były odpowiednie środki, czyli zdolności ekspedycyjne. Jak bardzo ich brakowało, przekonali się nie tylko polscy żołnierze w Iraku i Afganistanie, ale także uczestnicy pierwszych misji w ramach Europejskiej Polityki Bezpieczeństwa i Obrony – w Kongu w 2003 r., Bośni i Hercegowinie w 2004 r. czy w Czadzie w 2007 r.

Europejskie armie nie miały dostatecznego rozpoznania, możliwości tankowania samolotów w powietrzu i przerzutu wojsk na duże odległości. Tym bólem zaradzić miała współpraca z NATO, która jednak nigdy nie była prosta. Sojusznicza Turcja nie uznawała i nie uznaje Cypru, Francja, która do struktur NATO wróciła dopiero w 2009 r., nigdy nie wyrzekła się wizji strategicznej autonomii Europy, a Amerykanie do Unii obronnej mieli stosunek ambiwalentny. Tak czy owak Europejczycy postanowili rozwijać zdolności wojskowe, ustanowili cele strategiczne i w 2004 r. powołali do życia Europejską Agencję Obrony (EDA), która miała zrealizować brukselskie sny o potędze.

FOT. SHUTTERSTOCK, MONTAŻ MARIUSZ ROSA

Niestety za ambicjami nie szły pieniądze – Europejczycy nadal na obronę wydawali dużo poniżej 2 procent produktu narodowego brutto, do czego zobowiązali się na forum NATO. Przypominały nam o tym Stany Zjednoczone – w sposób bardziej – sekretarz obrony Robert Gates w 2011 r. – lub mniej – prezydent Trump na szczycie Sojuszu w 2018 r. – stonowany, ale niezmiennie konsekwentny. Kraje Unii nadal jednak skupiały się na misjach wojskowych o dość ograniczonym mandacie. Były to często misje szkoleniowe, np. operacje w Mali czy Somalii, gdzie żołnierze z błękitną flagą na rękawach uczyli sztuki wojennej afrykańskich kolegów. Misje wyposażone w mandat pozwalający na użycie broni w sposób inny niż jedynie w obronie własnej natrafiały na trudności natury prawnej

i politycznej. Część państw członkowskich, np. Irlandia czy Austria, zgodę na rozpoczęcie takiej operacji uzależniała od tego, czy będzie wsparta rezolucją Rady Bezpieczeństwa ONZ. Inne obawiały się negatywnych reakcji opinii publicznej na rzekomy europejski militarizm.

W dotychczasowej historii operacji UE żołnierze operujący pod sztandarem w złote gwiazdy aktywnie użyli siły tylko raz. W maju 2012 r. z pokładu jednego z okrętów operacji „Atalanta” u wybrzeży Somalii wystartowały helikoptery i zniszczyły obozowisko piratów, w którym przechowywali łodzie, silniki i zapasy paliwa. Nikt nie zginął, ponieważ rozkaz ataku poprzedziły żmudne konsultacje m.in. z komisją spraw zagranicznych Bundestagu, a dowódca operacji zobowiązał się publicznie, że europejskie pociski spadną nie dalej niż dwa kilometry w głąb lądu. Trzeba jednak przyznać, że ów mało znany epizod faktycznie wyeliminował plagę porwań statków handlowych na Oceanie Indyjskim, plastycznie przedstawioną w filmie „Kapitan Phillips” z Tomem Hanksem.

Pierwszy moment otrzeźwienia przyszedł w roku 2014. Po anshlusie Krymu i rosyjskim ataku na Donbas zaczęły kruszeć podstawy europejskiego pacyfizmu. Prezydent Obama 4 czerwca w Warszawie zapowiedział wzmocnienie wschodniej flanki NATO. W 2014 r. tylko trzy kraje Sojuszu, w tym Polska, wydawały na obronę 2 proc. PKB. W 2022 r., po rosyjskiej agresji na Ukrainę, było ich już dziewięć. Europejczycy znów boleśnie zdali sobie sprawę, że wojna na starym kontynencie nie jest niemożliwa.

Na praktyczne skutki tego przebudzenia trzeba było jednak jeszcze trochę poczekać.

Europejskie armie dotknięte są chorobą fragmentacji. Mimo usilnych prób Europejskiej Agencji Obrony i Komisji Europejskiej konsolidacja zamówień obronnych szła jak po grudzie. Po poligonach nadal jeździ 17 typów czołgów, a lata nad nimi 20 typów myśliwców.

Taki stan rzeczy ma wiele przyczyn. Przemysł obronny ma swoją specyfikę. Zdecydowana większość produkcji realizowana jest na zamówienie rządów, te z kolei w miarę możliwości wspierają rodzimych producentów. Ministerstwa obrony długo oswajały się z koncepcją wspólnych zakupów, co siłą rzeczy utrudniało integrację przemysłu obronnego. Powstawały wprawdzie ponadnarodowe projekty, jak myśliwiec Eurofighter czy samoloty transportowe produkowane przez Airbusa, ale zdecydowana większość producentów dbała o wyłączność dostępu do zamówień rządowych.

Rozciągnięcie reguł europejskiego wspólnego rynku na przemysł zbrojeniowy również napotykało opór, głównie z powodu obaw państw członkowskich przed zawłaszczaniem przez Brukselę kolejnych kompetencji. Zbrojeniówki nie dotyczyły więc rygory zamówień publicznych czy ograniczenia w korzystaniu z dobrodziejstw pomocy państwa. Ewolucyjny charakter dyskusji na temat obronności europejskiej powodował, że zmiany następowały wolno. Przyspieszenie nastąpiło po roku 2014 i po decyzji Wielkiej Brytanii o opuszczeniu Unii.

Brytyjczycy byli tradycyjnym hamulcowym integracji obronnej. Z obawy przed osłabieniem NATO – a co za tym idzie, także węzłów transatlantycznych – konsekwentnie blokowali stworzenie europejskiego dowództwa operacyjnego czy nawet załączka budżetu obronnego UE. Latami wetowali również decyzje o zwiększeniu budżetu EDA o wskaźnik inflacji – a pamiętać należy, że agencja dysponowała rocznie kwotą niewiele ponad 20 mln euro, czyli około jednej trzeciej ceny jednego francuskiego myśliwca Rafale. W 2022 r. budżet agencji wyniósł niecałe 38 mln euro.

Decyzja o wspólnych zakupach broni i sprzętu wojskowego dojrzała długo. Podobnie było z decyzjami o wspólnych operacjach. Część krajów nie chciała tworzyć konkurencji NATO, niektóre obawiały się naruszenia swojej tradycyjnej bądź konstytucyjnej neutralności.

Już w roku 2004 ministrowie obrony postanowili powołać do życia grupy bojowe, które można by wykorzystywać do działań interwencyjnych. Wystawiają je rotacyjnie i dobrowolnie państwa członkowskie,

dopraszając do udziału inne stolice. I tak np. w skład wyszehradzkiej grupy bojowej wchodziły oddziały z Polski, Węgier, Czech, ze Słowacji, z Łotwy i Chorwacji. Od prawie 20 lat grupy bojowe pełnią rotacyjne dyżury i prowadzą wspólne ćwiczenia, nigdy nie zostały jednak użyte. Krytycy nazywali je papierowymi tygrysami, a że w Brukseli znane są głównie pod angielskim skrótem BG (czytaj bi-dzi), to złośliwi twierdzą, pijąc do słynnego hitu Bee Gees, że ich jedynym celem jest „staying alive”.

Rosyjska napaść na Ukrainę sprawiła jednak, że możliwe stało się to, co jeszcze niedawno wydawało się niewyobrażalne. Innymi słowy, była niespodziewanym i potężnym katalizatorem zmian, „czarnym łabędziem” opisywanym przez Nassima Nicholas Taleba.

Unia ma do roku 2025 stworzyć siły interwencyjne liczące 5 tys. żołnierzy, a obawy przed podważaniem roli NATO powoli znikają z debaty publicznej (Sojusz zresztą przeżywa drugą młodość, rozszerza się i nikt już nie kwestionuje jego zdolności kognitywnych). Unia Europejska nadal skupiać się będzie na zadaniach ekspedycyjnych, a NATO na wspólnej obronie. Liczby mówią same za siebie: New Model Force Sojuszu, uzgodnione na szczycie w Madrycie w czerwcu 2022 r., mają liczyć 300 tys. ludzi. A nowe podejście do wydatków na obronność w krajach europejskich służyć będzie obu organizacjom.

Za niepozornym skrótem EDF w wieloletnim budżecie UE na lata 2021-27 kryje się rozwiązanie prawdziwie nowatorskie. Europejski Fundusz Obronny dysponujący kwotą 8 mld euro ma wspierać wspólne projekty badawczo-rozwojowe z dziedziny obronności. Po raz pierwszy w historii część budżetu unijnego przeznaczono bezpośrednio na obronność, co niektórych zachowawczych prawników Komisji Europejskiej przyprawiło o bezsenne noce.

Funduszem zarządza nowa dyrekcja generalna ds. przemysłu obronnego stworzona w 2019 r. Jej akronim – DEFIS – brzmi jak francuskie słowo „défi”, czyli wyzwanie, ale wyzwanie to jest też okazją do przeprowadzenia fundamentalnych zmian. Po wybuchu wojny szefowie państw i rządów UE na szczycie w Wersalu postanowili, że Komisja przeznaczy 500 mln euro na wsparcie wspólnych zakupów sprzętu wojskowego w ramach inicjatywy EDIRPA (European Defence Industry Reinforcement through common Procurement Act). Ten skrót jest z pewnością mniej niepozorny niż EDF, co odzwierciedla nowy poziom ambicji w polityce obronnej Unii.

Nazwa Europejski Fundusz Pokoju (European Peace Facility) jest typowym brukselskim eufemizmem. Został stworzony, by finansować operacje UE i kupować broń i sprzęt wojskowy dla krajów pozaeuropejskich. W myśl traktatu o UE budżet unijny nie może finansować zakupów uzbrojenia, a zatem EPF jest – to znów określenie z żargonu eurokratów – instrumentem pozabudżetowym. Finansowany jest ze składek państw członkowskich, ale zarządza nim Komisja Europejska, tyle że bez nadzoru Parlamentu Europejskiego.

Pomysł funduszu pojawił się około roku 2015 i miał on być remedium na liczne bóle, z jakimi zmagaly się pierwsze operacje wojskowe Unii, takie jak EUFOR Althea w Bośni Hercegowinie (rozpoczęta w 2004 r., działa do dziś), operacje w Kongu (2003 i 2006), Czadzie (2008-09) czy Mali (od 2013). W trakcie prac planistycznych szlachetne, humanitarne przesłanki stabilizacji i ochrony życia schodziły na drugi plan, a tegie wojskowe i dyplomatyczne głowy toczyły spory o to, jak finansować koszty wspólne operacji. Chodziło o paliwo lotnicze, baraki, wyżywienie wojska. Zasada „każdy płaci sam za siebie” osłabiała wspólnotę działania, a do tego dyskryminowała mniejsze i uboższe państwa. W roku 2004 powołano mechanizm Atena, na który proporcjonalnie składali się wszyscy i z któ-

rego opłacano wspomniane wyżej koszty wspólne.

Szkolenie afrykańskich żołnierzy w Mali czy Ugandzie, a tym zajmowało się gros operacji unijnych, wydobyło na światło dzienne inny problem. Żołnierze uczyli się europejskiej taktyki, reguł dowodzenia i podstaw międzynarodowego prawa humanitarnego, ale... nie mieli z czego strzelać. Kiedy w 2013 r. poleciałem na inspekcję misji szkoleniowej w Ugandzie, gdzie europejscy instruktorzy uczyli młodych Somalijczyków wojskowego abecadła, żołnierze na poligonie w Bihandze strzelali z zardzewiałych sowieckich i chińskich kałasznikowów. Strzelali zresztą nieźle, a pierwsze miejsce zajęła kobieta, której miałem przyjemność wręczyć okolicznościowy dyplom.

Początkowo posiłkowano się rozwiązaniami tymczasowymi, jak dobrowolne darowizny poszczególnych członków UE. Pocucie tymczasowości i imposybilizmu frustrowało w równej mierze szkolących i szkolonych. W trakcie negocjacji nad wieloletnim budżetem UE udało się uzgodnić stworzenie Instrumentu na rzecz Pokoju na opisanych powyżej zasadach. Pierwotnie budżet EPF wyniósł 5 mld euro, pierwsze decyzje dotyczyły zakupu wyposażenia medycznego dla armii moldawskiej czy dostaw broni dla armii Mozambiku walczącej z islamistami na północy kraju.

A potem nadszedł 24 lutego 2022 r. Szef europejskiej dyplomacji Josep Borrell zaproponował, by EPF użyć do refundacji dostaw broni i amunicji dla Ukraińców, a budżet funduszu już w marcu ubiegłego roku skoczył do 9 mld euro.

Znaczenia tych decyzji nie sposób przecenić, bo na oczach opinii publicznej i w tempie jak na Brukselę przygotowującym o zawroty głowy dokonywał się w Unii kolejny kopernikański przewrót.

Kolejny, bo pierwszym, o charakterze jeszcze bardziej fundamentalnym, była decyzja o zaciągnięciu przez Unię długu gwarantowanego przez budżet i wykorzystanie go na walkę z gospodarczymi i społecznymi skutkami pandemii. Ówczesny minister finansów Niemiec Olaf Scholz określił to jako hamiltonowski – nawiązując do tego, jak podczas wojny o niepodległość Ameryki Alexander Hamilton uwspólnił długi poszczególnych kolonii-stanów i stworzył naprawdę centralny amerykański system finansowy – moment Europy.

Ostatnia decyzja o sfinansowaniu przez EPF produkcji miliona sztuk amunicji artyleryjskiej kalibru 155 mm jest także przełomowa. Nie tylko dyktowana bieżącymi potrzebami pola walki (bo Ukraińcy wystrzeliwują co najmniej 5 tys. takich pocisków dziennie) – to krok w kierunku uwspólnotowienia zamówień obronnych w UE, jako że amunicję wyprodukują europejskie firmy. Koszt przedsięwzięcia wyniesie między 1 a 2 mld euro.

Instrument na rzecz pokoju trzeba oczywiście usprawnić – tempo refundacji dyktują biurokraci, a nie dowódcy liniowi, a polski rząd słusznie skądinąd się skarży, że wciąż nie otrzymał zwrotu za przekazane Ukrainie 240 czołgów T-72. No i każde zwiększenie budżetu wymaga nowej decyzji państw członkowskich. To już jednak kwestia do rozważenia w trakcie negocjacji nad kolejną unijną budżetową siedmiolatką, a te zaczną się gdzieś około roku 2025.

Nasuwa się tu interesująca analogia z produkcją i wspólnymi zakupami szczepionek na COVID-19. Początkową panikę i narodowy egoizm dość szybko zastąpił pragmatyzm. Przewodnicząca von der Leyen nie dała się wciągnąć w jałową dyskusję na temat kompetencji Komisji Europejskiej, które w zakresie ochrony zdrowia były dość ograniczone. Zaproponowała natomiast, by Komisja wynegocjowała z gigantami przemysłu farmaceutycznego kontrakty na dostawy szczepionek i sfinansowała je z budżetu UE. Szczepionki miały być – i w rezultacie były – wyłączną własnością państw członkowskich. Mimo początko-

wych obaw operacja udła się znakomicie, szczepionki trafiły do potrzebujących, wydano na nie dużo mniej, niż gdyby z Pfizerem czy Moderną miał negocjować osobno każdy z 26 rządów.

Słowem – oszczędność czasu, pieniędzy i prawniczych roboczogodzin. Podobny rozwój wydarzeń, może nie tak szybki, ale nieuchronny, wyobrazić sobie można w dziedzinie zamówień obronnych. Komisja Europejska i Europejska Agencja Obrony będą negocjować wspólne zakupy, których dysponentem będą wyłącznie stolice. Wbrew obawom niektórych eurosceptyków instytucje europejskie długo jeszcze nie będą dysponować własną bronią – z wyjątkiem niezawodnej służby prawnej Komisji.

Masowe dostawy sprzętu i amunicji dla Ukrainy spowodowały, że europejskie armie wyzbyły się większości zapasów. Dla przemysłu zbrojeniowego zaczyna się okres niebywalej koniunktury. Mimo oczywistego wzrostu popytu zbrojeniówka pracująca na zasadach szczególnych oczekuje jednak gwarancji w postaci długoterminowych zamówień rządowych. Szef niemieckiego koncernu Rheinmetall Armin Papperger z rozbrajającą szczerością wyznał tygodnikowi „Der Spiegel”, że bez zamówień nie wyprodukuje niczego. Tymczasem wartość giełdowa Rheinmetallu od początku wojny się podwoiła, a firma przymierza się do inwestycji w Ukrainie.

Nic dziwnego – ukraiński przemysł obronny ma spory potencjał. To, że specjalizuje się w produkcji tradycyjnego sprzętu takiego jak samoloty transportowe, silniki rakietowe i amunicja, z postsowieckiego obciążenia stało się atutem. Nie bez kozery Ukraińcy postanowili odbudować zniszczone w rosyjskim ataku na lotnisko w Hostomlu największy transportowiec świata Mrija, czyli antonowa 225. Na targach zbrojeniowych w Abu Zabi odbywających się dokładnie w pierwszą rocznicę agresji państwowe biuro projektowe Luch zaprezentowało m.in. raketę Neptun. To właśnie tym pociskiem Ukraińcy trafili krążownik Moskwa i poszedł on tam, gdzie wysłali go obrońcy Wyspy Węzowej, czyli na... dno.

Obecny i przyszły wysyp zamówień zbrojeniowych w Europie przynosi też nowe wyzwania. Amerykańskie koncerny będą chciały skorzystać ze szczerości europejskich rządów – wiele z nich zamierza zastąpić migi-29 ofiarowane Ukrainie nowymi F35. Nie podoba się to producentom na Starym Kontynencie, nie bez podstaw obawiających się konkurencji ze strony Boeinga, Lockheeda Martina i Northropa Grummana, wspieranych aktywnym lobbieniem amerykańskiego rządu. Amerykanom sprzyja słamazarne tempo rozwoju europejskich projektów zbrojeniowych – na francusko-niemiecko-hiszpański myśliwiec FCAS zaczekać trzeba będzie do 2027 r., F35 można kupić już dziś.

Z nowej koniunktury korzystają także inni pozaeuropejscy producenci, jak Korea Południowa, gdzie samoloty FA-50 i czołgi K2 postanowił kupić szef polskiego MON. Seul, według Sztokholmskiego Instytutu Badań nad Pokojem SIPRI, stał się w ubiegłym roku dziewiątym eksporterem uzbrojenia na świecie. Tureckie drony Bayraktar stały się bohaterami pierwszych miesięcy wojny opiewanymi w piosenkach frontowych ukraińskich żołnierzy. Problemy z dostępem do surowców niezbędnych do produkcji amunicji powodują, że luski artyleryjskie sprowadzać trzeba np. z Indii. Jiří Hynek, szef czeskiego stowarzyszenia przemysłu obronnego, skarżył się niedawno w „Financial Timesie”, że na europejskim rynku brakuje nitrocelulozy. Mimo gwałtownego wzrostu zamówień czeska firma Explosia nie będzie w stanie zwiększyć produkcji komponentów do pocisków kalibru 155 mm przed rokiem 2026. Tu ponownie nasuwa się analogia z czasów pandemii, kiedy okazało się, że 90 proc. paracetamolu wykorzystywanego przez europejskie firmy farmaceutyczne pochodzi znad Gangesu.

FOT. SHUTTERSTOCK



10-15

TYS. EURO

• **zapłacił belgijski przedsiębiorca swojemu rządowi za ostatnie wyprzedawane leopardy. Kupił ich 50. Dziś każdy jest wart 500 tys.**

17

• **typów czołgów i 20 typów myśliwców jest w europejskich arsenałach**

20

MLN EURO

• **rocznie wynosił przez lata budżet Europejskiej Agencji Obrony. To jedna trzecia ceny jednego francuskiego myśliwca Rafale**

8

MLD EURO

• **unijny budżet na projekty badawczo-rozwojowe z dziedziny obronności do 2027 r.**

5

TYS. ŻOŁNIERZY

• **mają mieć siły interwencyjne UE do 2025 r.**

2027

ROK

• **tyle czasu muszą czekać chętni na francusko-niemiecko-hiszpański myśliwiec FCAS. Podobny F35 można kupić niemal od ręki**

Nowe alianse wojskowo-gospodarcze powstają także po ciemnej stronie mocy – Rosjanie atakują ukraińskie miasta irańskimi dronami Shahed, które zamierzają zacząć produkować u siebie. Obecnie jednym z głównych celów amerykańskiej i europejskiej dyplomacji jest przekonanie Chin, by nie dostarczały sprzętu wojskowego Rosjanom, niestety, Pekin zachowuje strategiczną dwuznaczność. No cóż, takie są ciemne strony globalizacji... Część krajów europejskich, z Francją na czele, utwierdza to w przekonaniu, że Europa musi wzmocnić autonomię strategiczną także w odniesieniu do przemysłu obronnego.

Sama koncepcja autonomii strategicznej przechodzi zresztą interesującą ewolucję, na co wpływ miała również pandemia. To wtedy w debacie publicznej położyło nacisk na wzmocnienie odporności systemowej UE, określanej też jako „resilience”. Ten termin, który na polski przełożyć jest równie trudno jak „acquis communautaire” i „good governance”, znaczy dużo więcej niż tylko zdolność do samodzielnej obrony terytorium. Chodzi też o skuteczną ochronę infrastruktury krytycznej takiej jak elektrownie czy rurociągi, lokowanie inwestycji w Europie lub niedaleko jej granic, tak by skrócić łańcuchy dostaw – vide przypadek indyjskiego paracetamolu – i zagwarantowanie dostępu do surowców o kluczowym znaczeniu, np. litu. Szwedzkie przewodnictwo w UE w styczniu z pompą zaingerowało w Kirunie kopalnię litu niezbędnego do produkcji wydajnych baterii.

Ciekawym aspektem autonomii strategicznej jest mobilność wojskowa. Europejskie drogi, mosty i koleje, a także procedury graniczne nie są przystosowane do potrzeb armii. W 2017 r. Holandia zaproponowała stworzenie „wojskowego Schengen” – maksymalne uproszczenie przepisów związanych z przemieszczaniem sprzętu wojskowego poza granice własnego kraju. Komisja Europejska poproszona została o finansowe wsparcie niezbędnych prac adaptacyjnych. Tak się też stało. Z europejskiego funduszu na rzecz infrastruktury łączności (CEF) w 2022 r. wyasygnowano 616 mln euro na ten cel. Z tych pieniędzy sfinansowanych będzie m.in. sześć wiaduktów kolejowych, zakup łodolamacza dla portu w Rydze czy modernizacja połączenia kolejowego z portem w rumuńskiej Konstancy.

Wspólnota obronna odrzucona przez francuskie zgromadzenie narodowe w roku 1954 powoli staje się faktem, choć wyglądać będzie inaczej, niż wyobrażali to sobie wizjonerzy z lat 50. Obecną wizję polityki obronnej Unii zawiera – znów ten żargon – strategiczny kompas przyjęty w marcu 2022. Założenie wyjściowe kompasu jest dość proste: świat wokół nas nie jest bezpieczny i musimy być zdolni do obrony zarówno samych siebie, jak i światowego porządku opartego na uniwersalnych wartościach, czyli do tego, do czego zdolni są dziś Ukraińcy.

W swojej ostatniej książce Mark Leonard z ECFR, Europejskiej Rady Spraw Zagranicznych, twierdzi, że żyjemy w „epoce nie-pokoju” („The Age of Unpeace”). W globalizowanym świecie mnożą się konflikty lokalne i regionalne, zmiany klimatycz-

ne utrudniają dostęp do podstawowych zasobów takich jak żywność i woda, co z kolei wywołuje ruchy migracyjne. Nasila się konkurencja między USA i Chinami, a Rosja jak jest, każdy widzi. Jako broń wykorzystać można praktycznie wszystko – media społecznościowe, dostawy energii i innych surowców krytycznych, taryfy celne, przepływ uchodźców i migrantów.

Jak pokazała wojna w Ukrainie, tradycyjnego sprzętu wojskowego nie sposób się jednak wyrzec. Nie oznacza to wolnej amerykanki na rynku zbrojeniowym. Rządy chcą i powinny zachować kontrolę nad przepływem uzbrojenia, dlatego też we wszelkich transakcjach międzypaństwowych obowiązuje originator’s control, zasada kontroli wytwórcy. Jej działanie pokazała dość długa i zawiła dyskusja w łonie rządu niemieckiego wokół zgody na wywóz polskich leopardów do Ukrainy.

Tego typu reguły i ograniczenia są bardzo istotne także z uwagi na zjawisko, które Moisés Naím w książce „The End of Power” nazwał prywatyzacją siły. Coraz częściej podmioty pozapaństwowe, np. dawna korporacja Blackwater znana obecnie jako Constellis czy też rosyjska grupa Wagnera, mają dostęp do broni i wyposażenia zastrzeżonego kiedyś dla sił zbrojnych albo formacji policyjnych. Ponadto każdy przedłużający się konflikt zbrojny powoduje, że na rynku, zwłaszcza czarnym, pojawia się dużo taniej broni. Stało się tak po wojnach bałkańskich. Karabiny użyte przez zamachowców w paryskiej sali koncertowej Bataclan w listopadzie 2015 r. wyprodukowane zostały przez dawną jugosłowiańską fabrykę Zastawa, a potem ruszyły w świat. Z podobnym wyzwaniem przyjdzie się nam wszystkim zmierzyć po zakończeniu wojny w Ukrainie, ale to już temat na odrębną refleksję.

Pisałem ten tekst w trakcie ostatniej podróży do Ukrainy. Będąc w Kijowie, przyglądałem się wypalonym wrakom rosyjskiej „techniki wojennej” ustawionym ku przestrodze na placu przed katedrą Świętego Michała. Tuż obok oglądać można wystawę polskiego IPN zestawiającą zdjęcia z powstania warszawskiego i dokumentację dokonań putinowskich barbarzyńców spod znaku Z. Nikt poza Kremlem nie chciał tej wojny, ale kiedy już nadeszła, trzeba było się bronić. I przygotować się na przyszłość, mając nadzieję, że leopardy z ukraińską flagą na wieżyczce jeździć będą tylko po poligonach.

Obronność to dla nas wszystkich materiał do przemyślenia, jak mawiał sowiecki klon Oberleutnanta Klossa, Standartenführer von Stirlitz z serialu „Siedemnaście mgnień wiosny”. ●



FOT. WIKIMEDIA COMMONS

*Maciej Popowski

• dyplomata (pracował w Stałym Przedstawicielstwie RP przy UE, był uczestnikiem negocjacji akcesyjnych i ambasadorem Polski w Komitecie Politycznym i Bezpieczeństwa UE) oraz urzędnik europejski (był zastępcą sekretarza generalnego Europejskiej Służby Działania Zewnętrznych, dyrektorem generalnym ds. polityki sąsiedztwa i negocjacji w sprawie rozszerzenia w Komisji Europejskiej), obecnie dyrektor generalny ds. pomocy humanitarnej i ochrony ludności Komisji Europejskiej. Autor książki publicystycznej „Alfabet brukselski” oraz powieści o Jimim Hendriksie i latach 60. „Płonące lustra”

Artykuł przedstawia osobiste poglądy autora, które nie mogą być traktowane jako oficjalne stanowisko Komisji Europejskiej.

FOT. WIKIPEDIA

TY JEDYNA MASZ STALOWE JAJA

Rosyjska senatorka, znajoma Putina: Nie chcę być współwinna tworzeniu tego militarystycznego prawodawstwa

Z ROSYJSKĄ **SENATOR**
LUDMIŁĄ NARUSOWĄ
ROZMAWIA REDAKCJA
„NOWAJA GAZIETA. EUROPA”

Rosjanom coraz trudniej wymigać się od wojska. Od wiosny wezwania na komisję są rozsyłane za pośrednictwem rządowego portalu Gosusluga, odpowiednika polskiego e-Obywatela. Obowiązują każdego, nawet jeśli ktoś nie ma internetu. Tych, którzy je zignorują, czeka m.in. zakaz prowadzenia pojazdów, kupowania i sprzedawania nieruchomości, rejestrowania firmy lub pojazdu czy ubiegania się o kredyty.

Spośród 170 członków Rady Federacji, którzy zatwierdzili ustawę o elektronicznych wezwaniach, tylko Ludmiła Narusowa, senator reprezentująca Tuwę, zagłosowała przeciw. „Nie oszukujemy się...” – oznajmiła kolegom. Na takie dictum chcieli pozbawić ją prawa do głosu, a potem zaproponowali, żeby „napila się herbatki”.

Pani Ludmiło, to „nie oszukujemy się” jest motywem przewodnim nie tylko tego wystąpienia, ale i wcześniejszych, prawda?
– Oczywiście. Dlatego, że my już nie potrafimy nazywać rzeczy po imieniu.

Wcześniej opowiedziała się pani przeciwko podniesieniu wieku emerytalnego i ustawie „o dyskredytacji armii”. W marcu 2022 jako pierwsza powiedziała pani głośno o poborowych, którzy znaleźli się na wojnie, i o ukrywanych stratach w ludziach.
– Całkiem spora grupa w izbie wyższej myśli podobnie, tylko boi się ujawnić. Ludzie zgadzają się ze mną, ale po cichu, tak, aby nikt nie słyszał i nie zauważył.

Dlaczego boją się powiedzieć o tym głośno, a pani nie?
– Po jednym z wystąpień dostałam komplement bardzo wątpliwy dla kobiety, niemniej dobitny. Pewna poważana osoba powiedziała: ty jedyna masz stalowe jaja.

Jak się pani czuje w charakterze czarnej owcy?
– Nie najlepiej. To bardzo obciążające, ale już za późno, żeby się wycofać. Choćby przez pamięć męża

(którym był Anatolij Sobczak, mer Petersburga w pierwszej połowie lat 90., mentor młodego Putina rozpoczynającego karierę w miejskim samorządzie, wówczas niezwykłe wpływowy). Kiedy zabieram głos, nie trajkoczę tak po prostu, ale za każdym razem – i teraz, i kiedy broniłam szykanowanych ludzi kultury – odwołuję się do napisanych przez niego artykułów konstytucji, tych o prawach człowieka. Pamięć o kimś to nie tylko chodzenie na grób, płkanie i składanie kwiatów. Żeby była szczerza, trzeba stanąć w obronie tego, co było dla tego kogoś ważne. Dlatego jeśli coś jest zapisane w konstytucji, ale jest absolutnie zdradziecko łamane, muszę o tym mówić.

Tylko jaki jest sens bycia jedyną osobą, która mówi, skoro to i tak nic nie zmieni?
– Pani to słyszy, ktoś inny to słyszy. Słyszą wyborcy. Tak zaczyna się budzić świadomość. Pojawiają się przebliski wątpliwości, samodzielnej myśli.

Serio gdzieś je pani dostrzeża?
– Proszę, to komentarze i wiadomości od mieszkańców Tuwy. W telefonie mam takich całe mnóstwo. Skoro ludzie to piszą, to znaczy, że zaczynają myśleć, prawda?

Prywatne komentarze to świetna sprawa, ale czy ktoś je wyraża publicznie?
– Ludzie podchodzą do mnie na ulicy, w teatrze, w sklepie. Ledwo wczoraj zaczęła mnie kobieta, w pralni chemicznej. „Mam syna w wieku poborowym, czy mogę do niego zadzwonić? Nie uwierzy, że panią spotkałam”. Połączyła się z nim przez kamerkę, chłopak zobaczył mnie obok swojej mamy i powiedział: „Bardzo dziękuję, że nas pani chroni”.

A w Radzie Federacji wciąż nie odbierają pani głosu.
– Jeszcze nie.

Dlaczego?
– Prawo tego nie przewiduje. Nie można tak po prostu wyrzucić senatora.

Jest wiele rzeczy, których prawo nie przewiduje, a jednak się dzieją. Dlaczego pani na to pozwalają? Czy chroni panią stara znajomość z Putinem?
– Ostatni raz widziałam go trzy lata temu, a swój stosunek do wojny określiłam jasno od razu po rozpoczęciu tzw. operacji wojskowej, 25 lutego 2022.

Przecież nie musicie się widywać, żeby miał panią „w opiece”.
– Wyobraża sobie pani, że dzwonię do niego i pytam: „Mogę wystąpić i powiedzieć tak i tak?”.

Wyobrażam sobie, że ci na górze za bardzo się boją, by cokolwiek z panią zrobić.

– Ależ robią, i to dość znacząco, po prostu w inny sposób. Ot, choćby od lat ani razu nie zostałam włączona do żadnej delegacji, żadnego wyjazdu parlamentarnego. Nawet takiego do Tadżykistanu czy do jakiegoś regionu Rosji. Albo inny przykład – kiedy ta ustawa była jeszcze na stole, zwróciłam się do naczelnego „Parlamentskiej Gaziety” z propozycją artykułu, w którym wyłożyłabym argumenty przeciwko niej. Odmówił. I to nie wprost, tylko obiecał przysłać dziennikarza i nikt się nie zjawił.

Anatolij Sobczak wpływał nie tylko na panią. Jego uczniem był też Putin.
– Jak może pani nas porównywać? Wywodziśmy się z zupełnie różnych środowisk. Ja ze środowiska akademickiego, a Putin? No i Sobczak go nie wychował, on z nim pracował. A ja byłam żoną Anatolija przez ćwierć wieku, jeszcze zanim stał się sławnym politykiem. W domu spieraliśmy się o różne rzeczy, wybuchały kłótnie.

To prawda, sporo ludzi miało do mnie pretensje: głosowaliśmy na Putina, bo współpracował z Sobczakiem! Ale to było dawno, a przez lata człowiek się zmienia. Szczególnie człowiek, który tak długo jest u władzy. Rzecz jasna, Putin wspomina Anatolija Aleksandrowicza w dniu jego urodzin, czasem, gdy jest w Petersburgu, przychodzi nawet na cmentarz. A ten ostatni kontakt to był luty 2020, dwudziesta rocznica śmierci męża, koncert żałobny w Filharmonii Petersburskiej.

Na kontakt z Putinem nie pozwala on sam albo służby, czy też pani stosunek do niego?
– Ja po prostu nigdy o nic nie proszę. Oczywiście przychodzi mi to łatwiej, bo nie jestem oligarchą ani nawet biznesmenem, kimś zależnym od władzy. Moje stanowisko daje mi wolność.

Nie mam na myśli próśb do Putina, raczej rozmowę znajomych. Taką, w której ktoś, kto o nic nie zabiega, powiedziałby mu: „Hej, zobacz, co się dzieje naprawdę”.
– Trzy lata temu wydawało mi się, że on adekwatnie postrzega rzeczywistość.

Jeśli nie Putina, to może chociaż udało się pani kiedyś do czegoś przekonać kolegów senatorów?
– Nie pamiętam, z którą ustawą, ale było jeszcze jedno wstrzymanie się od głosu.

I tyle?
– Uważam to za progres.

Ci ludzie są tak impregnowani czy tak posłuszni?
– Nasze posiedzenia przypominają zebrania Komsomolu. Przewodniczący mówi: „Partia powiedziała tak i tak!”. Komsomol odpowiada: „Tak jest”, i na tym koniec.



Nastąpiła przykra zmiana w świadomości społecznej. Na czym wychowali się ludzie z mojego pokolenia i nieco młodszy? Na radzieckich demonstracjach z balonami i transparentami „Pokój światu!”. Pamięta pani tę słynną piosenkę „Pust wsiegda budut sołnce”? O chłopcu, co narysował niebo i napisał: „Zawsze niech będzie słońce, zawsze niech będzie niebo, zawsze niech będzie mama, zawsze niech będę ja”.

Pewnie. I pamiętam inną radziecką piosenkę: „Jesteśmy za pokojem i niech nie będzie wojny, niechaj ciszy nie przerywa ostry ryk kanonady”.
– Śpiewano ją na wszystkich koncertach. Oczywiście ZSRR to był reżim, armia na piedestale, interwencja w Afganistanie – ale przynajmniej wpajano ludziom, że pokój jest wartością, a wojna to coś strasznego. A dziś dziewczynka zostaje pozbawiona rodzica, bo rysuje kartkę nawołującą do pokoju. Jej ojciec za niewłaściwe wychowanie dostaje karę więzienia.

A donosi nauczycielka. Donosi na dziecko z powodu antywojennego rysunku! Jak to możliwe?
– A jak to możliwe, że została zatrzymana kobieta, która przeżyła Wielką Wojnę Ojczyźnianą, bo stała na Newskim Prospekcie w Petersburgu z transparentem „Nie dla wojny”? Małymi kroczkami, oto jak to się stało. Przez powoli sączone, coraz bardziej represyjne ustawodawstwo, które zakazuje najpierw przemówień, potem jednoosobowych protestów, a następnie słów o pokoju. I przez inne ustawodawstwo, które odbiera krok po kroku ludziom wpływ, od zniesienia bezpośrednich wyborów gubernatorów poczynając. Powoli ludzie się przyzwyczajają, jedni się boją, inni nasiakają tym i nabierają szczerzego przekonania, że tak być powinno i władza ma rację. Montaigne napisał: „Pierwszą oznaką pogorszenia się obyczajów jest zniknięcie prawdy”. Ja nazywam to korozją społeczeństwa.

Pani miała łatwiej niż zwykły Rosjanin. Mogła wyjechać albo wymigrować wewnętrznie – i nadal wygodnie żyć.
– Oczywiście, i nawet teraz mam ten wybór. Wiem, jak to jest żyć za

granicą, Paryż to dla osób o pewnym statusie są przecież niekończące się wakacje. Ale ja już dawno wybrałam.
Tuż przed śmiercią Anatolij przestrzegał Putina, wtedy kandydata na prezydenta: „Najważniejsze, aby organy ochrony bezpieczeństwa nie zamieniły się w organy egzekucyjne”. I wymyślił wyborczy slogan dla Putina...

Ten o „dyktaturze prawa”?
– Tak. Wtedy jeszcze wszyscy pamiętali ZSRR, więc to było nawiązanie i alternatywa dla „dyktatury proletariatu”.

I może w tym tkwi problem: że dyktatura była już wtedy zapowiadana, a my tego nie zauważyliśmy. Bo czytaliśmy to albo w dobrej wierze, jako zapowiedź państwa prawa, albo cynicznie, jako chwyt retoryczny.
– Nie była zapowiadana. Nacisk był na słowo „prawo”. Gdyby idea „dyktatury prawa” przetrwała, nie byłoby tak, że mężczyzna, który w Petersburgu zamordował i rozczłonkował kochankę, po czym wrzucił ją do rzeki w worku na śmieci, dostaje 12 lat za morderstwo ze szczególnym okrucieństwem, a człowiek, który „dyskredytuje armię”, może dostać 20.

Ależ to jest „dyktatura prawa”! Te wyroki są wydawane na podstawie ustaw. Reżim wykorzystuje ideę pani męża, ale czy nie czuje się pani współwinna?
– Dlatego właśnie głosuję przeciwko. Bo nie chcę być współwinna tworzeniu tego militarystycznego prawodawstwa.

Może byłoby pani lżej – i mogłaby pani mówić więcej i głośniej – gdyby odeszła z Rady Federacji?
– Przeciwnie. Gdybym mówiła to, co mówię, jako grażdanka Narusowa, nikt by się tym nie zainteresował. Gdy mówię jako senator Narusowa, to zostaje jednak odnotowane. I to nie jest moje złudzenie czy samooszukiwanie się. Dostaję dziesiątki wiadomości: „Dziękuję, dała nam pani nadzieję, że jednak sprawiedliwość jeszcze istnieje”.

Tak piszą, tymi słowami?
— Dokładnie tymi. ●
Wyszukała Wiktorja Bieliaszyn, przełożyła Patrycja Eiduka

Turcja wybiera prezydenta

13 TYSIĘCY SKAZANYCH ZA OBRAZĘ

Erdoğan przedstawia pierwszy turecki samochód elektryczny, woduje pierwszy turecki lotniskowiec oraz podnosi pensje o połowę

Marcelina Szumer-Brysz, Antalya

Bak, bak – zaczepia mnie w autobusie miejskim mężczyzna w średnim wieku, ubrany w narodowe barwy tureckie. Czerwona koszulka z półksiężycem i gwiazdą, także czapka. Podsuwa mi ekran smartfona, z którego przemawia Recep Tayyip Erdoğan, turecki prezydent. Bez dźwięku, podziwiam zabawną pantomimę, mój towarzysz wniebowzięty. – Wygra? – pytam. – Oczywiście! – odpowiada facet. Czekam na typowy w takich sytuacjach wykład o zasługach prezy-

dentą, pewnie na ekranie zaraz zobaczę turecki samochód elektryczny, którego wielka premiera miała miejsce półtora miesiąca przed wyborami, a którym już na trasy ruszyli tureccy ministrowie, albo scenę z inauguracji pierwszego tureckiego lotniskowca, który właśnie zaczął służbę. Ale nie, facet ani myśli rozmawiać o wyborach. Pokazuje mi amerykańskiego poszukiwacza złota, potem ogromy grzyb z tropikalnego lasu. I nie przestaje się uśmiechać.

Mniej optymistyczny jest sprzedawca zaslon na sobotnim bazarze. Wzdycha, wzrusza ramionami, nie przekonuje go żaden kandydat – wierni wyznawcy Erdoğan-

na, podobnie jak zwolennicy jego głównego (jest jeszcze dwóch) kontrkandydata Kemala Kiliçdaroğlu, na ogół ochoczo podejmują rozmowę, a partyjne barwy prezentują z dumą taką samą jak barwy klubów piłkarskich. Wiem, na kogo nie zagłosuje starszy sprzedawca, gdy w uliczce pojawiają się dwie wolontariuszki z logo rządzącej AKP. Minę ma taką, że dziewczyny nie podchodzą. Upatrzyły sobie turystę kupującego na sąsiednim straganie podróbki koszulek Hugo Bossa. Tłumaczy, że jest cudzoziemcem, nie może głosować, ale dziewczyn to nie zraża. – Dla każdego jest miejsce na spotkaniu z prezydentem. Nasz prezydent zaprasza każdego.

FOT. SHUTTERSTOCK



KONIEC PRZYJAŹNI

– Chyba że jest gejem, „krzyżowcem” albo wyborcą HDP – prycha Nursel, nauczycielka z Izmiru. Przez 20 lat głosowała na kemalistów, ale w ostatnich wyborach oddała głos na partię prokurdyjską. Gdyby jej były lider Selahattin Demirtaş nie siedział w więzieniu, w wyborach prezydenckich zagłosowałaby na niego, bo jest pewna, że by wystartował i odniósł zwycięstwo. Zdaniem Nursel ani CHP, ani AKP nie mają oferty dla osób o liberalnych poglądach. Wieczne odwoływanie się do dziedzictwa Atatürka, to – jej zdaniem – trochę za mało, by zaskarbić sobie sympatię wyborców, którym na sercu leżą prawa mniejszości i kobiet. Kurdyjscy deputowani zajęli się wszystkimi tymi problemami i umieścili je w programie wyborczym. Ale nie wiadomo, ilu kandydatów dotrwa do wyborów na wolności. Choć to Erdoğan, na początku swoich rządów, wyciągnął rękę do kurdyjskich obywateli, sprawiając – jak twierdzi mój kurdyjski przyjaciel, który przemówień prezydenta słucha nawet w aucie – że przestali czuć się obywatelami drugiej kategorii, choć to za jego premierowania nawiązano rozmowy z uważaną za organizację terrorystyczną Partią Pracujących Kurdystanu, która w latach 90. siała w Turcji postrach, dokonując krwawych zamachów, co doprowadziło do trwającego wie-

le lat zawieszenia broni. Kurdowie odwdzięczali mu się regularnie przy urnach wyborczych. Do czasu, gdy w 2015 roku zagłosowali nie na AKP, ale na własną partię, pozbawiając ugrupowanie, na którego czele stoi Erdoğan (kilka lat temu zmieniono tureckie prawo, by prezydent mógł być szefem partii), parlamentarnej większości. Wybory powtórzono kilka miesięcy później w zupełnie innej atmosferze, bo doszło do kilku zamachów, a w niektórych zamieszanych głównie przez Kurdów miastach pojawiły się czołgi. I choć PKK zarzekała się, że to nie ona zerwała zwieszenie broni, zapomniany nieco temat terroryzmu poprowadził partię Erdoğana do zwycięstwa (choć nie tak spektakularnego, jak oczekiwano). Od tamtej pory wydarzyło się wiele. Część kurdyjskich burmistrzów zastąpiono komisarzami, a kolejne lata przynosiły aresztowania osób związanych z HDP. W 2020 r. wiadomo było o 20 tys. aresztowanych i 10 tys. posłanych do więzienia. Tuż przed wyborami nad partią zawisło widmo delegalizacji. Sprawa toczy się przed tureckim trybunałem konstytucyjnym. Prokurator żąda rozwiązania partii, konfiskaty jej majątku, pięcioletniego zakazu działalności politycznej i członkostwa w innych ugrupowaniach dla jej polityków. Termin „obrony” wyznaczony był na marzec, a następnie przesunięty na kwiecień, ale HDP zrezygnowało z tej możliwości, po tym jak jej wniosek o zawieszenie sprawy na czas wyborów został przez sędziów odrzucony. Partia do wyborów idzie pod innym szyldem, startując ze wspólnych list z Partią Zielonej Lewicy (YSP). Jeśli sondaże się potwierdzą, Kurdowie z lewicą będą trzecią siłą w tureckim parlamencie. Aresztowania osób związanych z ugrupowaniem nie ustały, pod koniec kwietnia zatrzymano ponad 100 prawników, dziennikarzy, aktywistów i polityków. Kandydująca do parlamentu Ayten Dönmez dostała zarzuty przynależności do organizacji terrorystycznej. Media obieły jej zdjęcia z grupą kobiet pozujących w strojach charakterystycznych dla kurdyjskiej partyzantki.

PREZYDENT Z BŁOGOSŁAWIEŃSTWEM

– To nie jest zwykłe zdjęcie! – przekonuje mnie Idris, inżynier z konserwatywnego Elazığ – gdy pytam, czy fotografia z młodości to wystarczający dowód na to, by aresztować opozycyjną polityczkę. – Czy twoim zdaniem to przypadek, że jest tak ubrana? Myślisz, że jeśli taka osoba ma ojca albo wujka w PKK, to wyrwie się spod ich wpływów? Oczywiście, że mają związki z terrorystami. Idris, zdolny, wykształcony w Europie, od lat powtarza, że najlepsze, co mogło przydarzyć się krajowi, to rządy Erdoğana i system prezydencki. Demokracja parlamentarna to pomyłka, czego dowodzi fakt, że przez lata ciągle upadały koalicyjne rządy. Przeczy powszechnemu na Zachodzie przeświadczeniu, że kolejne kadencje zapewniają prezydentowi proste masy z głębokiej Anatolii. Zresztą nawet wśród Kurdów są tacy, którzy nie pozwolą powiedzieć o prezydencie Erdoğanie złego słowa. Uważają, że jeśli reis – wódz, jak określany jest prezydent – powiedział, że ktoś jest terrorystą, to jest. Że – to cytując komentarza, jaki znalazł się pod relacją z wystąpienia prezydenta na niedawnych targach Teknofest – jeśli wygra opozycja, PKK w dwa miesiące przejmie rządy w Turcji. Ludzie błogosławią Erdoğanowi i zanoszą do Allaha modły, by znów zwyciężył. Kto dał narodowi samochód elektryczny? Erdoğan. Bayraktara? Zasluga Erdoğana. Kaana – narodowy samolot bojowy? Erdoğan. TCG Anadolu – pierwszy turecki lotniskowiec (na razie uzbrojony w drony) – to też jego zasługa. I choć koszulki z Erdoğanem jeszcze nie powiewają na straganach, niejeden fan prezydenta ustawił go sobie jako zdjęcie profi-

lowe w mediach społecznościowych. – Bo to bardzo dobry prezydent – kiwa głową starsza pani w chuście, która łowi ryby na wędkę na publicznej plaży. – Mieszkałam w Niemczech. Wróciłam do Turcji ponad 20 lat temu, jak wyszłam za mąż. W Niemczech wtedy było wszystko, a tu nic. Nie było dróg. Zakupy robiło się tylko na bazarach. Przyszedł Erdoğan. I mamy piękne drogi, centra handlowe. – A inflacja? – Wzrosła po trzęsieniu ziemi. Za kilka miesięcy spadnie. Zresztą prezydent podniósł płace. Wzrosły nasze emerytury – zbywa kontrowersyjny temat.

MINARETY PRAWEM WŁASNOŚCI

Rzeczywiście, gdy kontrowersyjne pomysły ekonomiczne prezydenta Turcji (który – wbrew wielu ekonomistom – uważa, że to obniżanie, a nie podnoszenie stóp procentowych tchnie wiatr w żagle tureckiej gospodarki) doprowadziły do potężnej inflacji, która według kwietniowych danych wyniosła w skali roku 105 proc. (oficjalne rządowe dane mówią o niespełna 44 proc.), prezydent zdecydował o podniesieniu o 55 proc. płacy minimalnej (455 dolarów). Potem podniósł najniższą emeryturę. A pierwsze domy, które obiecał po niszczycielskim trzęsieniu

podłogę zaś pokrył miękki, turkusowy dywan, po którym we wszystkie strony tur-lają się dzieci zwiedzające meczet z rodzinami. Podczas tegorocznego ramadanu to między minaretami Hagii Sophii zawisły tradycyjne lampki. Znajdujący się po sąsiedztwie Błękitny Meczet spowijała ciemność. I choć jej powodem są prace remontowe trwające w „zdetronizowanej” przez Hagię Sophię świątyni, idealnie oddają to, na podkreśleniu czego tak zależało prezydentowi – że mimo placzów i rozpacz-y „krzyżowców” (w prawosławnej Grecji w dniu, w którym Hagia Sophia stała się meczetem, były żałobne dzwony) oddał wiernym to, co do nich należy. Hagia Sophia nie była jednak pierwszym kościołem, który Erdoğan uczynił meczetem. Już kilkanaście lat temu taki los spotkał świątynię o tej samej nazwie stojącą w Izniku. Pamiętający sobór nicejski z 787 roku kościół został najpierw odrestaurowany i udostępniony zwiedzającym, a potem – mimo protestów – zamieniony w islamską świątynię. Przed rokiem meczetem stał się kościół Enez Hagia Sophia z Edirne, wciąż trwają prace mające przygotować do tej roli stambulski kościół Chora. Dekret w jego sprawie Erdoğan podpisał zaledwie miesiąc po tym, jak w meczet zamienił Hagię Sophię, a wciąż nie wiadomo, jaki los spotka zjawiskowe freski zdobiące dosłownie każdy centymetr

Prezydent Erdoğan najpierw wyciągnął rękę do Kurdów, a potem zaczął ich zwalczać

ziemi, już stoją. Agresywna kampania wyborcza obozu rządzącego, który – poinformowała właśnie opozycja – dostał u publicznego nadawcy TRT 3600 minut, podczas gdy opozycja zaledwie 42, przynosi efekty. Przewaga Kiliçdaroğlu topnieje w zależności od tego, kto robi sondaż, ale nie na tyle, by – jak to miało miejsce przy poprzednich wyborach – spocząć na laurach i spokojnie czekać. W ostatnich latach AKP sporo straciła – musiała nawet wejść w koalicję z nacjonalistyczną MHP – podobnie jak prezydent, przed którym pierwszy raz stoi widmo drugiej tury wyborów. Mobilizacja konserwatywnego elektoratu przed podwójnymi – parlamentarnymi i prezydenckimi – wyborami trwa więc nie od kilku miesięcy, ale od kilku lat. Choć Turcja, jak chwali się Erdoğan, ma najwięcej na świecie meczetów, konserwatywny lud od dawna marzył o jeszcze jednym. Tym, który początkowo był kościołem, później meczetem, a w końcu muzeum. Próby „zwrócenia” Hagii Sophii islamskiemu światu trwały długo. W chrześcijańskiej Europie głośnym echem odbijały się już te decyzje, dzięki którym w muzeum odbywały się islamskie modlitwy z udziałem prezydenta (tak stało się np. podczas obchodów 567. rocznicy podboju Stambułu przez Mehmeda II). Sprawą przez kilka lat w różnych konfiguracjach zajmowały się tureckie sądy. W końcu sąd najwyższy przyzwolił – mieszącąc nieco prawne porządki (świecki i religijny) – by Hagia Sophia stała się znów świątynią. Apele tych prawników, którym takie manipulowanie prawem i historią niezbyt się podobało, pozostały bez odzewu, w lipcu 2020 r. słowo stało się ciałem: Erdoğan podpisał dekret przekazujący pieczę nad muzeum Diyanetowi – urzędowi do spraw religii. Niedługo potem zaczęły się prace nad ponowną zamianą Hagii Sophii w meczet. Część malowideł zasłonięto kotarami, zamknięto wstęp na galerię, gdzie znajdują się najwspanialsze bizantyjskie mozaiki,

świątyni. Już kilka razy do mediów wyciekły zdjęcia, na których wszystkie malowidła były pokryte tynkiem i ukryte za podwieszanym sufitem, ale nie wiadomo, czy to nie fałszywki. Mahir Polat, urzędnik stambulskiego magistratu, przypuszcza, że – niestety – zdjęcia są prawdziwe. „Zniszczyliście jedno z arcydzieł światowej sztuki, zabijając charakter świątyni” – napisał na Twitterze. Ludzie prezydenta niezbyt się przejęli. „Naszym prawem własności są minarety” – mówił szef Diyanetu prof. Ali Erbas podczas kolejnego wielkiego otwarcia, a konserwatywni politycy wieszali psy na europejskich (zwłaszcza greckich) politykach, którzy wyrażali swoje oburzenie. Swego czasu dostało się nawet papieżowi Franciszkowi, który ostatecznie został nawet zaproszony na otwarcie meczetu, ale nie przyjechał.

Polityków z Europy często przedstawia jako islamofobów, którzy tak naprawdę mają chrapkę na tureckie dobra. Pięć lat temu Erdoğan straszyl, że jeśli wygra opozycja, Stambuł zostanie Konstantynopolem, a meczety – kościołami. I choć akurat jeśli chodzi o wiernych, to za rządów islamistów poprawiła się sytuacja wszystkich, nie tylko muzułmanów, bo odnawiane są synagogi, dawne mienie zwracane jest chrześcijańskim i żydowskim wspólnotom, trwają remonty synagog, a dekadę temu w Stambule zbudowano pierwszy od czasów republiki nowy kościół, to jednak właśnie religia jest narzędziem stosowanym przez polityków. Entuzjazm religijnych wyborców gwarantuje bowiem odrobienie – przynajmniej częściowo – sondażowych strat. Jeszcze półtora roku temu w badaniu Metropoll Erdoğan było aż dwóch polityków opozycji. Wtedy nie było co prawda wiadomo, kto wystartuje przeciwko niemu w wyborach, sprawdzano więc wszystkie opcje. Dziś, gdy znane jest nazwisko kontrkandydata, spisywany już przez wielu na straty Erdoğan, którego zmieść miał kryzys ekonomiczny, kry-



WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biurow reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA


















TURCJA ZMĘCZONA ERDOĞAŃEM

FOT. ALI UNAL/AP

– Zdarzyć się może wszystko – mówi „Wyborczej” turecki noblista Orhan Pamuk. – Ale jeśli prezydent przegra wyraźnie, raczej na pewno uzna swoją porażkę

Michał Nogaś

W Stambule ze-
wszad spoglą-
dają na mnie
– z plakatów
i billboardów –
najpoważniejsi
konkurenci
w walce o fotel
prezydencki:
69-letni Recep
Tayyip Erdoğan,
który rządzi
Turcją nie-
przerwanie od
2014 roku, oraz
74-letni Kemal
Kiliçdaroglu, lider opozycji, prze-
wodniczący Republikańskiej Partii
Ludowej, zwany tureckim Gan-
dhim. Twarz obecnego przywódcy
ma budzić respekt. Jego konkurent
się uśmiecha.

– W powietrzu od wielu tygodni
czuć napięcie, możliwych scena-
riuszów jest kilka – mówi mi Pamuk,
gdy spotykamy się w jego mieszkaniu na ostatnim piętrze jednej
z kamienic, po europejskiej stronie
Stambułu, z widokiem na Bosfor
oraz azjatycką część miasta. – Róż-
nica między oboma głównymi
kandydatami zmniejszyła się do
granic błędu statystycznego.

– Zdarzyć się może dosłownie
wszystko – mówi Pamuk.

– Czyli?
– Jeśli przegra, odejdzie. Nie
spodziewam się też żadnego ruchu
ze strony armii. Erdoğan jest zmę-
czony i ma problemy ze zdrowiem
[tego samego dnia Erdoğan zasła-
bnie w trakcie wywiadu w telewizji].
A wielu młodych rozpaczliwie po-
żąda zmiany, uważa, że prezydent
trzyma kraj na smyczy i skutecznie
oddala od demokracji i Zachodu.

Kilkanaście godzin po naszej
rozmowie w jednej z portowych
ulic wpadnę na grupę studentów.
Jeden z nich, mijając plakat wy-
borczy urzędującego prezydenta,
napluje na niego.

– Co, jeśli nie przegra różnicą
kilku procent? – dopytuję Pamuka.

– Wtedy rozpocznie się roz-
paczliwa walka o utrzymanie wła-
dzy. Zresztą wydaje mi się, że to nie
rozstrzygnie się w pierwszej turze.
Jeśli któryś z kandydatów zdobę-
dzie o pół czy procent więcej, wła-
dza zarządzi coś więcej niż skru-
pulatną kontrolę nad procesem li-
czenia, będzie oglądać każdą kar-
tę, aż stanie się jasne, że to jednak
Erdoğan zwyciężył w sposób, któ-



rego nie da się podważyć. On odej-
dzie tylko wówczas, gdy naród da
mu jasny sygnał.

– Zamach stanu, gdy Erdoğan
nie będzie chciał się pogodzić z po-
rażką?

Tu Pamuk rozkłada ręce. Ostat-
nia próba przewrotu – z lipca
2016 roku – podjęta przez oficerów
średniego szczebla skończyła się
porażką, a do dziś wiele osób uwa-
ża, że była inspirowana przez gło-
wę państwa i posłużyła do zbudowa-
nia jeszcze bardziej opresyjnego
systemu.

Pytam więc noblistę, czy o po-
rażce Erdoğan może przesądzić
oskarżenia, że po trzęsieniach zie-
mi działał zbyt opieszale.

– To ciekawe, ale na tych tere-
nach prezydent nadal ma bardzo
wysokie poparcie. Ma tam wie-
lu zagorzałych zwolenników, któ-
rzy dziś, o czym przeczytać można
w gazetach, bronią go, mówiąc, że
przecież takiej tragedii nie dało się
przewidzieć i każdy przywódca po-
trzebowałby czasu, by podjąć od-
powiednie kroki.

Jest jeszcze ekonomia.
W 2017 roku w wywiadzie dla „Wy-
borczej” Pamuk mówił: „Na Zachodzie
coraz więcej Turków musi się
mierzyć z »dylematem Erdoğan«. Bo
nie da się ukryć, że dzięki obec-
nym rządóm – to już 16. rok! – Tur-
cja ekonomicznie ma się o wiele le-
piej, niż ktokolwiek kiedykolwiek
mógł przypuszczać. Prawdą jest,
że dzięki prowadzonej przez par-
tię prezydenta polityce setki tysięcy
osób awansowały społecznie”.
Teraz sytuacja diametralnie się
zmieniła. Inflacja, problemy finan-
sowe, spowolnienie gospodarcze
– wszystko to działa na niekorzyść
prezydenta.

– Nie można wykluczyć, że zu-
bożenie, którego doświadczyło
wielu Turków wierzących, że za

obecnej władzy nasz kraj stanie się
potęgą gospodarczą, będzie klu-
czowe, gdy przyjdzie im zdecydo-
wać przy urnie wyborczej – mó-
wi pisarz.

A on sam, który – jak wielu in-
nych intelektualistów – początko-
wo wierzył, że Erdoğan wprowa-
dzi Turcję do Unii Europejskiej, ale
z czasem zaczął go coraz odważ-
niej krytykować?

– Wierzę, że dojdzie do zmia-
ny – mówi Pamuk. – Bardzo te-
go wszyscy potrzebujemy. Ale jeśli
wszystko zostanie po staremu, nie
zdziwię się. Wtedy obecna władza
jeszcze bardziej przykręci śrubę.
To w końcu Turcja, kraj na styku
dwóch kontynentów, tu naprawdę
zdarzyć się może wszystko.

● ● ●
Jest rok 1901 i na wyspie Minger,
wymyślonej przez Orhana Pamu-
ka „perle Lewantu” (wzorowanej
między innymi na Krecie), wybu-
cha zaraza. Do walki z nią panu-
jący sultan Abdülhamid II wysła-
ł „głównego inspektora sanitarnego
imperium osmańskiego Bon-
kowskiego Paszę, słynnego chemi-
ka i farmaceutę”. Jak przeczytać
można w najnowszej książce Pa-
muka, „Nocach zarazy”, „ten ener-
giczny, choć wyraźnie zmęczony
sześćdziesięcioletek był nadwornym
chemikiem sultana i twórcą
nowoczesnej osmańskiej far-
macji”. Był także potomkiem po-
lskiego oficera, który w imperium
osmańskim szukał schronienia po
klęsce zrywu niepodległościowe-
go. – To prawdziwa postać, wiel-
ce zasłużona dla rozwoju farmacji
na terenie dzisiejszej Turcji – wyja-
śnia noblista. – Gdy pisałem moją
najnowszą książkę, poprosiłem hi-
storyków, którzy zajmują się bada-
niem okresu rządów Abdülhami-
da II, o listę osób zasłużonych dla
dworu. Bonkowski wydał mi się
niezwykle interesujący. Był zresztą

jednym z trzech związanych z oto-
czeniem sultana ludzi noszących
to nazwisko.

Na Mingerze pojawia się tak-
że drugi specjalista od chorób za-
kaźnych, doktor Nuri Pasza, mąż
sultanki Pakize, bratanicy panu-
jącego władcy i córki obalonego
przez sultana poprzednika, Mu-
rada V. Zarządzający wyspą Sa-
mi Pasza nie chce się zgodzić na
wprowadzenie – proponowanej
przez Bonkowskiego, któremu
udało się pokonać zarazę w Smy-
rnie – kwarantanny. Nie tylko nie
chce pozwolić, by ktoś wpływał
na podejmowane przez niego de-
cyzje, próbuje też umiejętnie grać
nastrojami społecznymi. Boi się
rosnącej siły radykalnych wy-
znawców islamu, których lokalny
przywódca sprzeciwia się wpro-
wadzaniu jakichkolwiek ograni-
czeń w dotychczasowym sposo-
bie funkcjonowania wyspy. Gdy
pojawiają się pierwsi zmarli i sta-
je się jasne, że szczyry przenoszą
dżumę, jest już za późno – Min-
ger zaczyna wrzeć.

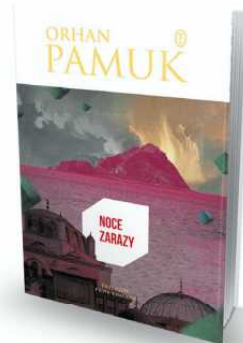
– Wiem, że wielu niełatwo bę-
dzie w to uwierzyć, ale książkę
o zarazie zacząłem pisać kilka lat
przed wybuchem pandemii ko-
ronawirusa – mówi „Wyborczej”
Orhan Pamuk. – Chciałem, by jej
akcja rozgrywała się na małej wy-
spie, na której w obliczu narasta-
jącego zagrożenia – niczym w la-
bioratorium – ludzkość może po-
kazać wszystkie swoje twarze. Nie
chodzi jednak wyłącznie o strach
przed śmiercią i o to, co jesteśmy
w stanie zrobić, do czego się posu-
nąć, by przetrwać. „Noc zarazy”
to także powieść polityczna, w któ-
rej pokazuję kilka istotnych proce-
sów – upadek imperium, siłę na-
cjonalizmu, kolejne etapy rewolu-
cji prowadzącej do powstania na-
rodu, to, jak szuka się symboli po-
trzebnych do ukonstytuowania się

odrębnej społeczności, i rolę, jaką
może w tym odgrywać religia.

Narratorką (i stworzoną przez
Pamuka autorką) powieści jest ko-
bieta, Mîna Mingerli, potomki-
ni jednej z bohaterek „Nocy zara-
zy”, piewnie piękna Mingeru.
Przedstawioną historię w głównej
mierze – w myśl słów zawartych
w przedmowie – oparła na odnale-
zionych przez nią i dokładnie prze-
studiowanych listach sultanki Pa-
kize, która była świadkinią wybija-
nia się wyspy na niepodległość.

– Ta książka zdaje się odpowia-
dać na wszystkie problemy, z któ-
rymi musi się mierzyć współcze-
sny świat – mówi Pamuk. – Pande-
mia pokazała, jak wiele są w sta-
nie zrobić autorytarne reżimy, by
utrzymać się przy władzy. Wie-
my to dobrze my, Turcy, i wiecie
to – niestety – równie dobrze wy,
Polacy, rodacy Bonkowskiego Pa-
szy. ●

Orhan Pamuk, „**Noce zarazy**”,
przeł. Piotr Kawulok, Wydawnictwo
Literackie, Kraków 2023



Rozmowa Michała Nogasia z Orha-
nem Pamukiem o „Nocach zarazy”
w czerwcowym numerze „Książek.
Magazynu do Czytania”

NASZA EUROPA

Laureat Nagrody Turinga:

AI TO NASZA PRZYSZŁOŚĆ.
O ILE JĄ POSKROMIMY

Geoffrey Hinton wyjaśnia powody, które skłoniły go do głośnego odejścia z Google’a, oraz dlaczego świat powinien obawiać się sztucznej inteligencji. „Jeśli w ogóle istnieje sposób na jej kontrolowanie, musimy go odkryć, zanim będzie za późno”

Manuel G. Pascual

EL PAÍS

Geoffrey Hinton ogłosił dwa tygodnie temu, że odchodzi ze stanowiska wiceprezesa ds. inżynierii w Google’u. Chce teraz – jak powiedział „New York Timesowi” – poświęcić się ostrzeganiu przed ciemną stroną sztucznej inteligencji (AI). Nie jest to pierwszy lepszy badacz: urodzony 75 lat temu Brytyjczyk, pracujący przez lata w Kanadzie, a obecnie w Londynie, jest legendą tej branży. Jego praca walczy przyczyniła się do rozwoju wielu technologii, które umożliwiły uruchomienie ChataGPT, automatycznych translatorów czy systemów montowanych w pojazdach autonomicznych. Hinton uważa dziś, że technologia, w której rozwoju tak bardzo pomógł, może zagrozić funkcjonowaniu naszej cywilizacji w ciągu zaledwie kilku najbliższych lat.

Obsesją tego naukowca od zawsze było badanie, jak działa mózg, aby spróbować odwzorować te mechanizmy w komputerach. W 1972 r. stworzył pojęcie sieci neuronowej. Podstawowym jej założeniem jest zastosowanie matematyki do analizy danych tak, aby system był w stanie samodzielnie rozwijać swoje umiejętności poznawcze. Jego propozycja wówczas dla wielu była fantazją, dziś sieci neuronowe stanowią filar badań nad sztuczną inteligencją. Hinton odniósł wielki sukces w 2012 r., gdy zademonstrował prawdziwy potencjał swojego podejścia badawczego za pomocą sieci neuronowej, która była w stanie przeanalizować tysiące zdjęć i nauczyć się samodzielnie rozróżniać pewne obiekty, takie jak kwiaty, samochody czy psy. Wytrenował również system, który był w stanie przewidzieć kolejne litery i słowa w niedokończonym zdaniu, co było zapowiedzią dzisiejszych modeli lingwistycznych takich jak właśnie ChatGPT.

Jego dokonania przyniosły mu Nagrodę Turinga, uważaną za odpowiednik Nobla w dziedzinie informatyki – odebrał ją w 2018 r. wraz z innymi badaczami, Yannem LeCunem, jego byłym studentem, i Yoshua Bengio. Jest również laureatem Nagrody Książniczki Asturii za badania naukowe.



Jakie są zagrożenia ze strony AI, z którymi mamy obecnie do czynienia?

– Jest ich wiele. Niekontrolowane generowanie fake newsów już teraz powoduje duże, o niespotykanej wcześniej skali podziały w społeczeństwie – to zjawisko będzie się tylko nasilać. Wyeliminowanie pewnych – zaskakująco wielu – rodzajów pracy będzie miało wpływ na zatrudnienie w krajach rozwiniętych. Zwiększą się jeszcze bardziej dysproporcje majątkowe między bogatymi a biednymi. To tylko niektóre z nieuchronnych zagrożeń, choć oczywiście skupiam się nie na nich, ale na innym, nazwijmy go nie bez przesady egzystencjalnym.

Dopiero całkiem niedawno uświadomiłem sobie bowiem, że rodzaj cyfrowej inteligencji, którą rozwijamy, może stanowić lepszą, skuteczniejszą formę inteligencji niż mózgi biologiczne. Zawsze myślałem, że AI czy uczenie głębokie mogą jedynie próbować naśladować działanie naszego mózgu, ale nie mogą mu dorównać: naszym celem było coraz dokładniejsze upodobnianie maszyn do nas samych. W ciągu ostatnich kilku miesięcy zmieniłem swoje stanowisko. Dziś uważam, że możemy już opracować coś, co będzie znacznie wydajniejsze niż ludzki mózg.

Dlaczego doszedł pan do wniosku, że to zagrożenie?

– Przeanalizujmy to na chłodno. W przypadku systemu cyfrowego można uzyskać bardzo wiele kopii dokładnie tego samego modelu percepcji świata. Te kopie mogą działać na różnym sprzęcie i analizować różne dane w różnym czasie. I wszystkie te kopie mogą natychmiast wiedzieć, czego nauczyły się inne. Robią to przez dzielenie się swoimi parametrami. Nie możemy tego zrobić z ludzkimi mózgami. Nasze umysły nauczyły się wykorzystywać wszystkie swoje właściwości indywidualnie. Gdybym nawet zaoferował panu szczegółową mapę połączeń neuronowych w moim mózgu, nic by to nam nie dało. Ale w systemach cyfrowych model wyjściowy jest identyczny, wszystkie wykorzystują ten sam zestaw połączeń, więc kiedy jeden się czegoś nauczy, może to natychmiast przekazać innym. I właśnie dlatego ChatGPT może wiedzieć tysiące razy więcej niż jakikolwiek człowiek: ponieważ widzi naraz tysiące razy więcej danych niż ktokolwiek. To właśnie

Jeśli w ogóle istnieje sposób na utrzymanie AI pod kontrolą, musimy go znaleźć, zanim stanie się ona zdolna do wyprzedzania naszych ruchów

mnie przeraża, bo nie wykluczam, że taka forma inteligencji jest lepsza od naszej.

Zajmuje się pan tą dyscypliną od kilkadziesięciu lat, skąd dopiero teraz pańska ostrożność?

– Próbowaliśmy przez lata rozgryźć, jak mózg mógłby zaimplementować te same procedury uczenia się, które są używane w cyfrowych modelach takich jak te stojące za ChatemGPT 4. Okazało się, że z tego, co dotychczas wiemy o tym, jak działa ludzki mózg, wynika, że nasz proces uczenia się jest prawdopodobnie znacznie mniej wydajny niż mózgów cyfrowych.

Czy AI może być naprawdę inteligentna, jeśli nie rozumie, co naprawdę mogą znaczyć słowa, lub nie posiada intuicji?

– Deep learning, jeśli porównać go z symbolicznym AI (to był dominujący nurt w tej dyscyplinie do czasu pojawienia się sieci neuronowych, który próbował sprawić, by maszyna uczyła się słów i liczb tak jak człowiek – poprzez tworzenie wewnętrznych symbolicznych reprezentacji swojego „świata”, czyli odtwarzając ludzki proces myślenia i rozumowania), jest właśnie modelem intuicyjnym. Jeśli za punkt odniesienia przyjmie pan logikę symboliczną – uważając, że tak właśnie działa rozumowanie – nie będzie pan mógł odpowiedzieć na proste pytanie. Ale jeśli mamy działający komputerowy model intuicji, odpowiedź będzie zadaniem trywialnym. Weźmy przykład: wie pan, że są koty płci męskiej i żeńskiej oraz psy płci męskiej i żeńskiej. Ale przypuśćmy, że polecę panu wybrać między dwiema możliwościami, z których obie są niedorzeczne: wszystkie koty są samcami i wszystkie psy są samicami lub wszystkie koty są samicami i wszystkie psy są samcami. W naszej kulturze dość wyraźnie wiadać, że większy sens ma przyporządkowanie kotom cech postrzeganych jako charak-

terystyczne rzekomo dla płci żeńskiej, bo są mniejsze, rozważniejsze i otoczone wieloma stereotypami, a psom – cech męskich – bo są większe, gwałtowniejsze, głośniejsze i tak dalej. Oczywiście nie ma to sensu, ale zmuszeni do wyboru, myślę, że większość z nas dokonałaby właśnie takiego rozróżnienia. Dlaczego? W naszych umysłach kreujemy reprezentację kota i psa, albo mężczyzny i kobiety, za pomocą dużych wzorców aktywności neuronowej opartych na tym, czego się nauczyliśmy w swoim życiu w danym kontekście kulturowym. I kojarzymy ze sobą reprezentacje najbardziej do siebie podobne. To jest rozumowanie intuicyjne, a nie logiczne. I tak właśnie działa głębokie uczenie modeli AI.

Mówi pan, że do tej pory uważał, iż AI wyprzedzi ludzką inteligencję w ciągu 30-50 lat. Jak daleko przed nami ten moment jest teraz, po ChacieGPT?

– To nastąpi za 5-20 lat.

Czyli już za chwilę.

– Dają spore widelki, pomny na swoje błędne przewidywania z przeszłości – ale wiadać, że te procesy bardzo przyspieszyły.

Spodziewa się pan więc sztucznej inteligencji, która będzie określała swoje własne cele?

– To jest kluczowe pytanie, być może największe niebezpieczeństwo związane z tą technologią. Nasze mózgi są owocem długiej ewolucji i mają wiele „fabrycznie” wbudowanych celów, takich jak troska o własne ciało, stąd pojęcie szkody; posiadanie dostępu do wystarczającej ilości pożywienia – stąd głód; i tworzenie jak największej liczby kopii siebie, stąd pożądanie seksualne. Natomiast syntetyczna inteligencja nie wyewoluowała: to my ją zbudowaliśmy. Nie musi więc mieć celów prymarnych. Pytanie brzmi: czy możemy zapewnić, że cele sztucznych inteligencji będą korzystne dla nas? Jest to tak zwany problem wyrównania. Mamy kilka powodów, by się tym bardzo przejmować. Pierwszym z nich jest to, że zawsze znajdą się tacy, którzy np. będą chcieli stworzyć robotycznych żołnierzy. Myśli pan, że Putin nie opracowałby ich, gdyby mógł? A można to zrobić skutecznie, jeśli da się maszynie możliwość generowania własnego zestawu celów. W takim przypadku, jeśli maszyna jest inteligentna, nie minie dużo czasu, aby zdała sobie sprawę, że osiąga swoje cele lepiej, jeśli staje się potężniejsza.

Co powinniśmy więc teraz zrobić?

– Musimy zwrócić uwagę całych społeczeństw na ten egzystencjalny problem z AI. Chciałbym, żeby miał on rozwiązać nie jak w przypadku zagrożenia klimatycznego: przestać spalać paliwa kopalne, nawet jeśli istnieje wiele partykularnych interesów, które to uniemożliwiają. Nie znam jednak żadnego problemu równoważnego z problemem, który generuje AI, więc najlepsze, co mogę w tej chwili wymyślić, to że powinniśmy włożyć tyle samo wysiłku w rozwój tej technologii, co w upewnienie się, że jest ona bezpieczna. A to w tej chwili nie ma miejsca. Jak to osiągnąć w systemie kapitalistycznym, w którym wygrywa ten, kto jest szybszy z nowym patentem? Nie wiem.

NASZA EUROPA

Uważa pan, że część problemu leży w tym, że rozwojem AI zajmują się prywatne firmy?

– Google przez ostatnie lata rozwijał wewnętrznie chatboty takie jak LaMDA, które były bardzo dobre, ale firma świadomie zdecydowała się nie otwierać ich publicznie, ponieważ obawiała się konsekwencji. Ale tak było, dopóki Google był liderem tej technologii. Kiedy Microsoft zdecydował się zintegrować swojego inteligentnego chatbota w swojej wyszukiwarce Bing, Google musiał zareagować, ponieważ te firmy działają w konkurencyjnym systemie, na wspólnym rynku. Google zachowuje się jednak jak dotąd dość odpowiedzialnie i nie chce, aby ludzie myśleli, że odszedłem, aby krytykować swoją firmę. Opuściłem Google’a, aby móc ostrzegać o zagrożeniach bez konieczności myślenia o wpływie, jaki ma to na biznes.

Czy inni badacze z branży żywią podobne obawy jak pan?

– Wiedzą, że wkroczyliśmy na zupełnie niezbadane terytorium. Jesteśmy w stanie budować maszyny, które mają większy potencjał niż my, ale nadal mamy nad nimi kontrolę. Ale co będzie, jeśli opracujemy maszyny, które będą już po prostu mądrzejsze od nas? Nie mamy kompletnie żadnego doświadczenia w radzeniu sobie z takimi wyzwaniami. Są ludzie, których szanuję, jak

mój francuski kolega z Meta Yann LeCun, którzy uważają, że to, co mówię, nie ma sensu. Jednak podejrzewam, że naprawdę musimy się nad tym mocno zastanowić. I nie wystarczy uznać, że nie będziemy się przejmować tym, co dopiero może nastąpić. Wielu z najmądrzejszych ludzi, jakich znam, poważnie się martwi. To właśnie przekonało mnie do wykorzystania mojej reputacji, aby uświadomić ludziom, że stoimy przed bardzo poważnym problemem.

Pańskie nazwisko nie figuruje jednak wśród podpisów ponad tysiąca ekspertów od AI, którzy opublikowali apel wzywający do sześciomiesięcznego moratorium na badania AI. Dlaczego?

– Bo uważam, że takie podejście jest całkowicie naiwne. Nie ma szans, aby takie apele odniosły skutek. Nawet pomijając konkurencję między wielkimi firmami, istnieje przecież konkurencja między państwami. Jeśli USA zdecydowałyby się zaprzestać rozwoju AI, to czy naprawdę ktoś uważa, że Chiny wzięłyby to pod uwagę i także się zatrzymały? Owszem, pomyśl zatrzymania badań zwraca uwagę ludzi na problem, ale tak się nie stanie. W przypadku broni jądrowej – właśnie dzięki temu, że fizycy głośno mówili, że nikt nie może wygrać wojny nuklearnej, i ludzie zdawali sobie z tego sprawę – możliwe było podpisanie trakta-

tów ograniczających proliferację tej broni. Z AI będzie to o wiele bardziej skomplikowane, ponieważ bardzo trudno jest sprawdzić, kto i gdzie nad nią pracuje.

Co więc pan proponuje?

– Najlepsza z dostępnych opcji: wielu bardzo inteligentnych ludzi próbuje wspólnie wymyślić, jak opanować ryzyka związane z rozwojem AI.

Powiedzmy to jasno: AI to fantastyczna technologia, umożliwi kolosalne postępy w medycynie, w opracowywaniu nowych materiałów, w prognozowaniu trzęsień ziemi czy powodzi... Potrzebujemy jednak dużo pracy, aby zrozumieć, jak właściwie korzystać z AI. Błędem byłoby czekać, aż nas przechytrzy – musimy ją kontrolować sukcesywnie w miarę jej rozwoju. Musimy też zrozumieć, jak minimalizować jej złe wykorzystanie. Myślę np., że wszystkie rządy powinny nalegać, aby wszelkie wygenerowane przez AI obrazy nosiły widoczny identyfikator.

Jest pan optymistą co do czekającej nasze pokolenia przyszłości?

– Jestem z natury optymistą. Ale uważam, że istnieje ryzyko, że nie mamy już możliwości uniknięcia katastrofy. Trzeba koniecznie zaangażować tylu kreatywnych i inteligentnych ludzi, ilu się da. Jeśli w ogóle istnieje sposób na utrzymanie AI pod kontrolą, mu-

simy go znaleźć, zanim stanie się ona zdolna do wyprzedzania naszych ruchów.

Mają to organizować rządy, które już próbują regulować tę technologię?

– W USA system polityczny jest niezdolny do podjęcia nawet tak prostej decyzji jak ograniczenie nastolatkom dostępu do kabinów maszynowych. To nie daje wielkich nadziei w naszej sprawie.

Latem ubiegłego roku inżynier Google’a Blake Lemoine rozpałił wyobraźnię świata, mówiąc, że chatbot, nad którym pracował, LaMDA, zyskał świadomość. Czy to zwiastuje to, co już nadchodzi?

– Są dwa odrębne kierunki debaty o tym, co się stało i dzieje. Po pierwsze, czy maszyny staną się mądrzejsze od nas do tego stopnia, że będą mogły przejąć nad nami kontrolę? A po drugie, czy maszyny mogą mieć świadomość lub uczucia i czy w ogóle wiemy, co to znaczy? Ważniejsza jest pierwsza debata; druga wiąże się z subiektywnymi przekonaniami i sądami, a to mnie nie interesuje. W każdym razie dziwi mnie, że jest tak wielu ludzi, którzy są bardzo pewni, że maszyny nie są świadome, ale jednocześnie nie potrafią zdefiniować, co to właściwie miałyby w tym przypadku znaczyć: świadomość. ●
Tłum. Łukasz Grzymistawski

TURCJA DA PRZYKŁAD?

Najważniejsze wybory na świecie

Demokracje pozostające pod presją populizmu wypatrują wyborczej porażki Erdoğan – byłby to pocieszający dowód na to, że nawet zdewastowanie rządów prawa i nagięcie reguł demokracji nie daje gwarancji wiecznej władzy.

Robert Stefanicki



My wiemy, jakie są najważniejsze wybory na świecie w tym roku: jesienią w Polsce. Ale zachodni komentatorzy wskazują raczej na Turcję, kraj większy i ważniejszy, leżący na skrzyżowaniu globalnych procesów politycznych i ekonomicznych. 14 maja Turcy wybiorą parlament i prezydenta.

Oszałamiający zwrot z globalnymi konsekwencjami?

Sondaże wskazywały na delikatną przewagę lidera opozycji Kemala Kiliçdaroglu, który ma szansę pokonać Recepta Tayyipa Erdoğan w drugiej turze. Jest jednak kilka niewiadomych: czy sondaże mówią prawdę, czy popierający rząd urzędnicy nie sfalszują wyników, czy Erdoğan zechce uznać przegraną i odejść po dobroci oraz czy koalicja sześciu partii opozycyjnych, reprezentujących odmienne światopoglądy, zlepią wyłączenie pragnieniem odsunięcia satrapy od władzy, zdoła zgodzić się rządzić po zwycięstwie.

Niemniej to, że po 20 latach u władzy Erdoğan może wreszcie przegrać, budzi ekscytację. Poza Turcją nikt go nie lubi, nikt nie będzie po nim płakał: to nieprzebiegający w słowach samiec alfa, nieobliczalny, usiłuje wyznaczać własne reguły gry, a jak się zezłości, to wywróci stolik. Ni prawicowiec, ni islamista. Raczej nacjonalistyczny populistą, który wytycza drogę innym populistom, ale się z nimi nie brata. Nie przynależy jednoznacznie donikąd, tak jak rządzona przez niego Turcja: Europa to nie jest, Azja też nie. Ważny członek NATO, ale ubija interesy z Rosją, zarazem pomaga Ukrainie i chętnie mieszka w regionalnych konfliktach.

„Gdyby przegrał, byłby to oszałamiający zwrot polityczny z globalnymi konsekwencjami. Narod turecki byłby bardziej wolny, mniej lękliwy i – z czasem – bardziej zamożny. Nowy rząd naprawiłby zniszczone stosunki z Zachodem”, rozmarzył się niedawno „The Economist”.

Poniżej Iranu i Zimbabwe

Instytut V-Dem zalicza dziś Turcję do „autokracji wyborczych”, a w jego globalnym rankingu demokracji lepiej wypadły nawet Iran i Zimbabwe.

Erdoğan wykastrował sądowictwo. Zmarginalizował parlament poprzez zmianę konstytucji, która pozwoliła mu rządzić dekretemi. Upolitycznił bank centralny, co wywindowało inflację do ponad 80 proc. Media zostały przejęte lub zastraszone. Krytycy, fałszywie oskarżeni o terroryzm, uwięzieni lub wygnani.

Na tym tle trudno źle wypaść – zwłaszcza politykowi nazywanemu „tureckim Gandhim” (bardziej przez wygląd, a nie charakter). Kiliçdaroglu obiecuje uszanować wyroki Europejskiego Try-

bunału Praw Człowieka i rozpocząć uwalnianie więźniów politycznych. Chce przywrócić bankowi niezależność i sprowadzić inflację do jednocyfrowego poziomu, co powinno odwrócić załamanie w inwestycjach zagranicznych. Nowy rząd byłby też przyjaźniejszy wobec mniejszości kurdyjskiej.

Ale w polityce zagranicznej zmiany nie byłyby aż tak fundamentalne. Owszem, Kiliçdaroglu nie blokowałby przystąpienia Szwecji do NATO, choć ten temat i Erdoğan zapewne w końcu odpuszcą. Poprawiłyby się relacje Turcji z USA, jednak nie ma mowy, by Ankara zerwała silne więzi gospodarcze z Moskwą. Polityka wobec Syrii i 4 mln syryjskich uchodźców żyjących dziś w Turcji pozostanie bez zmian. Rozważania o rychłym wznowieniu ścieżki akcesyjnej do UE to mrzonki.

Czy zjednoczenie opozycji wystarczy

Uzasadniając tezę o „najważniejszych wyborach świata”, liberalni komentatorzy wskazują jednak jeszcze jeden, może najważniejszy aspekt wyzyciwanego porażki Erdoğan.

Byłaby ona mianowicie dowodem dla innych społeczeństw pętanych mackami populistycznych rządów, że erozję demokracji można odwrócić – i odpowiedział, jak to zrobić. Jak? Otóż – pisze wspomniany „The Economist” – „demokratyczne partie opozycyjne muszą rozpoznać niebezpieczeństwo i zjednoczyć się, zanim będzie za późno”.

Zaraz się dowiemy, czy wystawienie wspólnego kandydata faktycznie zadziałało w Turcji. Nawet jeśli tak się stanie, to ta recepta nie ma uniwersalnej skuteczności. W wyborach węgierskich w 2022 r. nie zadziałała: mimo że

opozycja porozumiała się w sprawie wspólnej listy i kandydatów w okręgach jednomandatowych, Fidesz Viktora Orbána odniósł miażdżące zwycięstwo wbrew przewidywaniom sondażowym.

Zadyszka populizmu

Wydaje się jednak, jakby populizm wytracał impet. Według analizy przeprowadzonej na początku roku przez Instytut Tony’ego Blaira liczba populistycznych przywódców na całym świecie spadła do najniższego poziomu od 20 lat, a liczba ludzi żyjących pod rządami populistów zmniejszyła się o 800 milionów w dwa lata. Wystarczyło, że odeszli rządzący czterema dużymi krajami: Donald Trump w USA, Jair Bolsonaro w Brazylii, Boris Johnson w Wielkiej Brytanii i Rodrigo Duterte na Filipinach. Dodajmy przegraną Janeza Janšy ze Słowenii i ewakuację ze stanowiska, w wyniku protestów, Gotabaya Rajapaksy na Sri Lance.

Ale to nie oznacza, że populizm jest w odwrocie – raczej dostał chwilowej zadyszki.

Nie ma co wrzucać do jednego worka dobrze funkcjonujących demokracji, jak amerykańska i brytyjska, z demokracjami na dorobku, jak filipińska czy brazylijska, i z krajami takimi jak Węgry lub Turcja, gdzie zasiedziali populiści zdążyli przemodelować system tak, aby służył utrzymaniu przez nich władzy. Każdy z tych przypadków należałoby analizować oddzielnie. Poza tym wszędzie istnieje ryzyko, że zaraz nastąpi zwrot w drugą stronę, pojawią się nowi populistyczni liderzy albo wrócą starzy.

W Europie populizm zagraża Francji, Austrii, Holandii, Hiszpanii, Szwecji. W USA trumpizm trwale skaził całą Partię Republikańską. Izrael wrócił w ręce Beniamina Netanjahu i jego nowych

fanatycznych towarzyszy, którzy z miejsca rzucili się do rozmontowywania niezależnego sądownictwa. Dla Indii w ogóle nie widać nadziei.

Raport Instytutu Blaira zauważa, że obecnie zdecydowana większość rządów populistycznych – w tym w Turcji, Polsce i na Węgrzech – to przedstawiciele tzw. nurtu kulturowego, ulubionego przez prawniczych nacjonalistów. Znacznie mniejszą reprezentację ma lewicowy populizm społeczno-ekonomiczny oraz antyestablishmentowy.

To nie przypadek. Na polu wojny kulturowej populistów jest najtrudniej pokonać – nawet hiperinflacja czy nawał afer korupcyjnych nie muszą ich dyskredytować w oczach wiernych wyborców. Bo ci poczują się bardziej zagrożeni przez uchodźców, homoseksualizm, owady na talerzu albo cokolwiek, co im podrzuca spin doktorzy partii kontrolujących środki przekazu.

Populistom sprzyja też polaryzacja, choć politolodzy nie są zgodni, czy populizm jest jej przyczyną, czy symptomem. W każdym razie postawieni przed manichejskim wyborem „my albo oni” ludzie wybiorą swoich, nawet jeśli niezbyt podobają im się ich rządy.

Przepis na sukces populizmu jest znany: rozdawanie pieniędzy, zawłaszczanie mediów i odpowiedni wybór straszaków. Skutecznego przepisu na usunięcie populistów nie znamy. Dobrych rad dla opozycji nie brakuje: zjednoczyć się, opracować pozytywny program, wybrać nośne symbole kampanii, nie reagować wyłącznie na wrzutki obozu rządzącego, nie starać się go przelicytować w populizmie. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Zwłaszcza kiedy brakuje przekonania, że ta recepta zadziała.

Jeśli turecka opozycja wygra, będzie to dobry powód do radości i analiz. Przegrana może oznaczać, że nawet zastosowanie wszystkich dobrych rad nie wystarczy i pozostaje czekać na implozję reżimu. Albo na rewolucję. ●



OGŁOSZENIE

PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYK

JUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

FOT. EAST NEWS

WYSIADAM

Wiosna nie musi oddychać spaliną jak w songu T.Love, a ty nie musisz rezygnować z samochodu. Da się zjeść ciastko i mieć ciastko

Z ANTROPOŁOŻKĄ, BADACZKĄ MIEJSKĄ
MARTĄ ŻAKOWSKĄ* ROZMAWIA
NATALIA MAZUR

Udało ci się pozbyć samochodu?

– Rozważaliśmy to. Mieszkam w dużym mieście, w jego dobrze skomunikowanej części, w tygodniu nie korzystam z samochodu, auto stoi bez sensu na osiedlu. Ale w weekend czasem jeździmy pod miasto. Policzyliśmy, że na tyle często wybieramy się w miejsca, w które nie dociera transport publiczny, że wynajem samochodu jeszcze nam się nie opłaca.

Nasze miasto jest wśród tych z największą liczbą samochodów na 1000 mieszkańców, blisko 800. Średnia krajowa to prawie 700, ale w wielu miejscach jest gorzej, bo liczba aut równa się liczbie ludzi. Tymcza-

sem transport w UE odpowiada za blisko jedną trzecią emisji, przy czym w 72 proc. transport drogowy. Mamy kryzys klimatyczny, zjawiska pogodowe są coraz gwałtowniejsze, a polskie miasta są nieprzygotowane. Pokryte asfaltem mocniej się nagrzewają, trudniej chłoną wodę, letnie upały stają się w nich niebezpieczne dla zdrowia, a ulewy wywołują gwałtowne powodzie. No i brakuje nam ruchu, bo zamiast przemieszczać się siłą własnych mięśni, choćby na przystanek, wszędzie jeździmy. Według Ministerstwa Sportu mniej niż 20 proc. Polaków regularnie – czyli przynajmniej pięć razy w tygodniu – chodzi.

Mój samochód też większość czasu zajmuje miejsce na parkingu, ale mam rodzinę w Śremie – miejscowości

z pierwszej dziesiątki miast bez połączenia kolejowego. Jakoś byśmy dotarli tam z Warszawy, ale szkoda czasu i nerwów. Krótko mówiąc: jestem autoholiczką i nie zgodzę się na abstynencję.

– Nie namawiam do abstynencji. Namawiam do przemyślenia systemowego autoholizmu – żebyśmy i prywatnie, i systemowo dążyli do zrównoważenia naszych wyborów.

Dziś dostęp do szybkiej komunikacji publicznej, stanowiącej realną alternatywę dla samochodu, jest przywilejem społecznym czy nawet klasowym. Spójrzmy, jak jest rozwijany transport publiczny w miastach. Bogatsze dzielnice często mają lepszy dostęp. Symbolem jest pierwsza linia warszawskiego metra, która połączyła Ursynów z Żoliborzem, przebiegając przez relatywnie zaможniejsze dzielnice. Dopiero druga linia

– ze wschodu na zachód – objęła dzielnice bardziej zróżnicowane społecznie i ekonomicznie. W centrach miast często da się przemieszczać komunikacją publiczną, a im od nich dalej, tym jest trudniej. Poza miastami często zaczyna to być abstrakcją.

W Śremie od 1995 r. nie jeżdżą pociągi, ale od 2016 r. działa bezpłatny miejski transport. Tylko że aby z niego skorzystać, trzeba rozszyfrować rozkład i zaplanować cały dzień. A i tak Śrem jest wyjątkiem na plus, bo zwykle lokalne władze wymagają nie tylko talentu kryptologicznego, ale też opłat.

– Zaplanowanie czytelnego rozkładu autobusów kursujących w godzinach, w których są potrzebne, zgranych ze sobą w centrach przesiadkowych, przekracza nasze

możliwości strategicznego myślenia. Za to jakoś potrafimy się świetnie zorganizować, gdy trzeba wyciąć las pod nową drogę.

Kursów jest mało, bo ludzie nie jeżdżą, a ludzie nie jeżdżą, bo kursów jest mało. Burmistrz czy burmistrzynie zaryzykuje, wyda więcej kasy na autobusy, ktoś wypatrzy, że jeżdżą puste, bo przecież zmiana przyzwyczajęni musi potrwać. I przeciwnicy polityczni zmyją władzy głowę.

– To pokazuje naturę populizmu. A także fakt, jak skrajnie jesteśmy w Polsce przyzwyczajeni do tego, że nie realizujemy różnych dokumentów i polityk: krajowych, europejskich, ONZ. Zapisany jest w nich przecież obowiązek inwestowania w transport publiczny, ograniczanie ruchu samochodowego ze względu na koszty środowiskowe, klimatyczne i zdrowotne.

Oczywiście samorządy potrzebują na to pieniędzy, ale potrzebujemy też sprytnego korzystania z pieniędzy już dostępnych i lepszej współpracy między gminami. Ale nasz romans z samochodami jest nadal względnie młody, więc wciąż przyćmiewa nam rozum.

Ale od czego mielibyśmy zacząć odwyk? Opisujesz miasta, w których na próbę zamykano ulice i badano efekty. Nie da się jednak na próbę zbudować torów.

– Mamy jedną z największych w Unii liczbę wypadków i bez względu na poglądy polityczne dla wszystkich nas problemem jest fakt, że kierowcy samochodów odpowiadają za 61 proc. zewnętrznych przyczyn zgonów dzieci między pierwszym a 14. rokiem życia. Mamy ogromny problem z otyłością dzieci, cukrzycą, depresją, a to wiąże się pośrednio z samochodowym modelem rozwoju i stylem życia. Dzieciaki są wożone do szkoły, rodzice jadą prosto z łóżka do biura. Kosztem jest też smog, nawet jeśli problem dotyczy raczej zakorkowanych centrów miast. A wszystkie te koszty razem obciążają życie każdego z nas niezależnie od poglądów politycznych, zapatrywań na kotlet schabowy i Jana Pawła II.

W wyborach można startować z populistycznymi hasłami podtrzymania systemu albo pójść ze zobowiązaniem, że nie, nie chcemy zabierać wam samochodów, ale zamierzamy doinwestować transport publiczny i przestrzenie dla pieszych, żebyście mogli wybrać.

W polityce bardzo mocno – choćby w Konfederacji czy u ludzi Ziobry – wybrzmiewa głos sprzeciwu wobec planowanego przez UE zakazu rejestracji nowych samochodów spalinowych po 2035 r. I chyba dość skutecznie przyciąga wyborców.

– Przy takim wykluczeniu transportowym i przyzwyczajeniu do samochodu – na pewno. Ale ten zakaz akurat w Polsce nie zmieni wiele przez kolejne 20-25 lat. Wędlug danych ubezpieczycieli co drugi samochód ma ponad 16 lat. Zamożniejsi już dziś kupują samochody elektryczne, a za 12 lat będą to robić na pewno. Pozostali będą zabezpieczeni, bo cały rynek używanych samochodów spalinowych z Europy wyląduje u nas na ulicach.

Przy 14 mln wykluczonych transportowo Polek i Polaków kandydaci mogliby konstruować porywającą wyborczą opowieść. Ale w naszej kulturze temat nieśmiało wychodzi poza grono badaczek, badaczy, ruchów miejskich. Jazda samochodem jest elementem naszej tożsamości. Tęskniliśmy za nią przez długie lata PRL, samochód był i jest polskim symbolem wolności i modernizacji. Autoholizm mamy we krwi.

I jakby to było zapisane w jakimś scenariuszu, w tym momencie do pokoju wmaszerowuje Julek, 4,5-letni syn Marty, a w rękę dumnie dzierży zbudowany z klocków...

Samochód! Przypomina mi się instalacja, którą przygotowałaś na ostatni festiwal Warszawa w Budowie: w Mu-

zeum Sztuki Nowoczesnej odtworzyłaś dziecięcy pokój, a w nim wszystko samochodowe. Wykładzina w ulice i parkingi, mnóstwo autek do zabawy, książki, których bohaterami są samochody, a w gablocie: bodziak, smoczek, a nawet pasta do zębów z autem. Ale czy to nie manipulacja? Dałoby się zrobić podobny pokój z motywem roweru.

– Nie dałoby się. Można kupić bodziaki czy skarpetki z rowerkami, ale to zazwyczaj droższe produkty firm kreujących się na zielone i promujące zdrowy styl życia. Nie znajdziesz ich w pierwszym lepszym sklepie z ubrankami, nie trafisz przypadkiem w lumpeksie. Nasz papiernik ugina się od autek i zeszytów z motywem samochodu, ale ze świecą szukać czegoś z motywem roweru. Jeszcze rzadziej występuje autobus, a na tym szczególnie mi zależało, gdy Julek był mały. Mamy w domu jedną książkę dla dzieci o rowerach, która jest ogólnie dostępna, bo takich, które wydano w 300 egzemplarzach i można je kupić w jakiejś ga-

lerii u aktywistów, nie biorę pod uwagę. To książka do nauki wymowy litery „r”.

Ciekawe, bo „r” najlepiej ćwiczyć na tramwaju, „r” dobrze wchodzi po „t”. Swoją drogą, teraz widzę, jak rzadkim bohaterem dziecięcego uniwersum jest tramwaj.

– Też przez lata tego nie zauważałam. Zaczęłam szperać w temacie, gdy zaszłam w ciążę. Pierwsze samochody do zabawy były dziełem sektora motoryzacyjnego: firmy wypuszczały małe modele kolekcjonerskie w ramach reklamy. A że w pierwszej połowie XX wieku samochód ludzi fascynował, robił magiczne wrażenie, nie mogli przewidzieć kosztów wiążących się z dalece rozwiniętą kulturą motoryzacyjną. Rynek zabawek i gadżetów błyskawicznie zaczął więc wyręczać działy marketingu firm samochodowych. Nie ma innego produktu, którego reklama byłaby tak aktywnie i bezinteresownie wspierana przez ludzi na całym świecie. Samochód jest jednym z pierwszych przedmiotów – symboli dorosłego życia – którymi bawi się dziecko.

Myślę, że ta fascynacja bierze się też z tego, że samochód czyni nas w pewnym stopniu równymi. Głowa państwa jedzie z lotniska limuzyną. I oto ja – szary człowiek – mogę żyć tak samo. Przemieszczać się z punktu A do B – może tańszym pojazdem i bez eskorty – ale na własnych zasadach. Nawet jeśli damy ludziom dostępny transport zbiorowy, dopóki VIP-y wożone będą samochodami, dopóty zwykli ludzie będą ich naśladować.

– Odchodzenie od samochodów nie będzie łatwiejsze od odchodzenia od węgla. Dużo zależy będzie od tego, skąd ta ważna osoba przyjedzie. Jeśli z Holandii lub z Danii – to może niekoniecznie wsiądzie do zatłoczonego autobusu, by po chwili utknąć w korku, bo nie ma buspasów, ale zapraszanie jej do spalinowej limuzyny może wkrótce uchodzić za dyplomatyczne faux pas.

Co zastąpi limuzynę? Mały autonomiczny samochód napędzany energią słoneczną? Lepszej klasy auto z car sharingu? Złota hulajnoga? Swoją drogą widziałam ostatnio Tuska na hulajnodze elektrycznej, jechał chodnikiem wzdłuż Puławskiej, zadowolony, choć porządnie wiało. Wielu

wysoko postawionych polityków w Holandii i Danii jeździ na co dzień rowerami. To u nas świat urzędów i samorządów nie potrafi sobie wyobrazić życia bez samochodu i niektórzy przekonują, że nie można zrezygnować z parkingów przy urzędzie, bo pracownicy, jeżdżąc transportem zbiorowym, będą się spóźniać na spotkania.

Generalnie jestem przeciwna dystynkcjom, niezdrawemu wyróżnianiu bogatszych czy wyżej postawionych przez dobrane do nich obiekty. Ale skoro żyjemy w społeczeństwie, które takich rozróżnień potrzebuje, to nowy porządek wytworzy własne symbole.

Będzie sporo do wymyślania, bo samochód służy nie tylko do docierania do celu. Jest przestrzenią, do której wyrwyamy się z ciasnego mieszkania. To taki dodatkowy pokój, czasem też składzik na wózek dziecięcy.

– Czyli mamy kolejne wykluczenie wynikające z braku dostępu do usługi, jaką jest

wózkownia. Ale jego rozwiązaniem nie może być bagażnik samochodu. Z badań socjologicznych i antropologicznych rzeczywiście wynika, że dla wielu z nas samochód jest przedłużeniem domowej przestrzeni. Jednocześnie inne przykłady mówią, że przy dobrej alternatywie dla indywidualnego transportu rezygnuje z niego nawet 70-80 proc. ludzi, więc z czasem, gdy miasta zaczną się rozwijać inaczej, pojawi się, jak kiedyś, przestrzeń dla ogródków, podwórek, chodników. I zamiast miejsc parkingowych będziemy np. dzierżawić działki.

W kontekście klimatu i zdrowia pewna doza wyrzeczeń jest konieczna. Nie promujemy papierosów, bo wiemy już, że szkodzi zdrowiu. Nie zachęcamy do palenia ognisk w lesie. Na tej samej zasadzie czas odejść od promowania kultury samochodowej.

Chętnie bym zamieniła auto na działkę – jeśli miałabym na nią jak dojechać. Ale samochód to nie tylko przymus i narzucony mental. Kolega redaktor mi sufluje, że to także kawał historii wzornictwa, kultury – ponoć przed czasami globalizacji w samochodach odbijała się specyfika społeczeństw, które je projektowały – no i pasja. Można zbierać klasyki, remontować graty, jeździć nimi na złoty.

– Taka pasja wydaje mi się społecznie nieszkodliwa. Można kupować samochody i chwalić się nimi na zjazdach, robiąc to wszystko w systemie wygodnego transportu publicznego. I wcale nie trzeba jeździć tymi pojazdami na co dzień. Samochód sam w sobie nie jest problemem – problemem jest liczba aut i skala rozbudowania naszej kultury samochodowej.

Mam znajomych, którzy kolekcjonują słynne małpki, małe butelki alkoholu. Ale to nie znaczy, że mają problem alkoholowy ani że powinniśmy zaniechać polityki antyalkoholowej, która zniechęci ludzi do picia z małpek w drodze do pracy.

A co myślisz o zamykaniu centrów miast dla samochodów? W Paryżu zamknięto bulwary nad Sekwaną, ruch więc przeniósł się na obwodnicę i samochody smrodzą ludziom z blokowisk. A nieliczni, zamożni mieszkańcy centrum mają czystsze powietrze.

– Nie rozumiem, dlaczego stare samochody miałyby nie wjeżdżać do centrum, a wszędzie indziej już tak. Dlaczego mamy ograniczać miejsca parkingowe w śródmieściu, a wokół niego niech stoją, gdzie chcą? Jestem przeciwna myśleniu o rozwoju miast skoncentrowanym na centrum.

To generuje nowe formy nierówności, ale jest też nieracjonalne ze środowiskowego punktu widzenia. Byłam niedawno w okolicy, w której może powstać część obwodnicy Warszawy. I pomyślałam: walczymy, by tranzyt wyrzucić z Warszawy, uznajemy to za ważny element działania ekologicznego. A jaki będzie efekt? Wytniemy las, zniszczymy ekosystem, wylejemy asfalt, zdeorganizujemy życie ludzi, którzy stracą możliwość łatwego przejścia do gminy obok, bo ich okolicę przetrnie wielopasmówka. Nie pozbedziemy się hałasu i spalin, ale jedynie przerzucimy je dalej od centrum miasta. I choć tranzyt to nie tylko ciężarówki, musimy znaleźć racjonalniejsze rozwiązanie niż tylko obwodni-

ca, bo ciężarówki powodują 20 proc. emisji z transportu w UE. Rozwiązanie proponuje ruch „Tiry na tory”: będzie czystszej, jeśli towary wozić będziemy pociągami.

Towar dojedzie na stację i co dalej? Trzeba go rozwieźć już nawet nie po sklepach, jak jeszcze parę lat temu, ale dostarczyć go do licznych paczkomatów lub nawet bezpośrednio pod nasze drzwi. Furgonetką.

– Są miasta – choćby Nijmegen w Holandii – w których towary dowozi się do hotspotu, a następnie rozwodzi mniejszymi pojazdami dalej. Co więcej, Holendrzy już postanowili, że do 2025 r. w 14 miastach dostawy będą realizowane wyłącznie pojazdami zeroemisyjnymi.

Super, kurierzy więc może nie od razu stracą pracę. Ale generalnie kres kultury samochodowej oznaczałby brak zajęcia dla setek tysięcy ludzi, bo motoryzacja to nie tylko fabryka silników, tłocznia blach i zakład montażowy. To dziesiątki tysięcy podwykonawców, warsztatów, sklepów. Reklama, ubezpieczenia...

– Branże, które wypełnią przestrzeń po samochodach, też będą potrzebowały rąk do pracy. Jeśli zamiast parkingu budujemy coś innego albo w inny sposób urządzamy teren, nadal potrzebni są ludzie odpowiedzialni za projekt, wykonanie, dostarczenie i produkcję materiałów. Jeśli wzrośnie liczba środków transportu publicznego, potrzebni będą ludzie, którzy będą go obsługiwać. Zieleni miejską też ktoś musi pielęgnować, zadbać o chodniki. Rynek dostosowuje się do przemian. Osobnym problemem pozostaje robotyzacja miejsc pracy, ale dotyka ona branżę samochodową jak wszystkie inne.

Dodatkowo, jeżeli przestaniemy jeździć samochodem na zakupy do centrów handlowych, będących podstawowym elementem kultury samochodowej, przyda się większa liczba usług lokalnych i małych sklepów.

Tak dochodzimy do idealistycznej wizji miasta 15-minutowego, w którym większość życiowych spraw załatwiamy pieszo. Mam wrażenie, że to miasto wymyślone dla młodej, zdrowej klasy biurowej. I zupełnie nie uwzględnia tego, że

niektórzy pracują w fabrykach, których nie rozmieścimy w taki sposób, by do pracy dało chodzić się pieszo.

– W koncepcji miasta 15-minutowego autorstwa profesora Sorbony Carlosa Moreno, kluczowy jest rozwój wielofunkcyjnych okolic zamieszkania. Zakochany w motoryzacji modernizm wysłał wiele funkcji okolic zamieszkania. Moreno zakłada, że gdybyśmy mieli u siebie łatwy dostęp do różnych usług i więcej miejsc pracy niż dotychczas, to bardzo wielu z nas chciałoby żyć bardziej lokalnie i mniej czasu spędzać na dojazdach.

Każda dyskusja publiczna jest bardzo okrojona i przedostaje się do niej to, co zdążymy wykrzyczeć, dlatego często umyka nam druga część idei miasta 15 minut. Ta, że w zasięgu spaceru powinniśmy mieć także niezawodny i szybki miejski środek transportu, który w ciągu kolejnych 15 minut dowiezie nas do innych ważnych dla nas punktów w mieście.

Nie ma w tej koncepcji zamordystycznych założeń zakazania jeżdżenia autem. Niektórzy muszą dojechać dalej do pracy. Ale założyć się, że gdyby mogli – zamiast zaspani siadać za kierownicą – wsiąść do eleganckiego, punktualnego autobusu, wielu z nas wolałoby to. Prof. Mirosław Jarosz, ekspert WHO i Komisji Europejskiej, internista i autor „Kodeksu zdrowotnego kierowcy”, podkreśla, że za 40 proc. wypadków na polskich drogach stoi właśnie brak snu. Czy nie lepiej więc pojechać gdzieś transportem zbiorowym, pijąc w drodze kawę, słuchając muzyki, czytając, drzeмиać?

Jest jeszcze wymiar, który nazwałabym biologicznym, czyli sprawności, które ćwiczymy za kółkiem – koncentracja, refleks, umiejętność robienia kilku rzeczy naraz. Kiedyś niemal każda ludzka aktywność ich wymagała, dziś zostały w zasadzie tylko sport i prowadzenie auta. Wydaje mi się, że rezygnując z prowadzenia aut, tracimy ważne doświadczenie. O poczuciu sprawczości już nie wspominam.

– Nie znam badań, ale rzeczywiście, kiedy robiłam prawo jazdy, miałam poczucie, że nagle potrafię ogarnąć 10 rzeczy naraz. Tylko nie wiem, czy moje indywidualne doświadczenie można przelożyć na całą populację. Liczba absurdalnych wypadków, których nie da się wytłumaczyć trudnymi warunkami na drodze, wskazywałaby, że z ćwiczeniem refleksu u nas kiepsko...

Jeśli należysz do wyspanej klasy średniej, to może na prowadzeniu samochodu poznawczo zyskujesz; inna jest sytuacja kogoś, kto pędzi z jednej zmiany na drugą, a samochód prowadzi, bo nie ma alternatywy. Na problemy z koncentracją lekarze polecają raczej sport i sen niż auto. I przypominam, że w transporcie publicznym można się zdrzemnąć, a droga na przystanek to zawsze już odrobina ruchu.

Nawet jeśli transport zbiorowy dowiezie nas do pracy, to na grzyby już nie. Bo na grzyby, nad odludne jezioro albo w dzikie góry trzeba jechać tam, gdzie nie jeździ nikt inny. I gdzie

raczej nie chcielibyśmy ciągnąć linii kolejowej czy pekaesu.

– Ale czy samochód, którym tam pojedziemy, koniecznie musi być pojazdem, za którego parking i ubezpieczenie płacimy przez cały rok? Tina Saaby, naczelną architektka Kopenhagi, w ogóle nie ma samochodu, nie widzi potrzeby, na dachę pod miastem jeździ pociągami i rowerem, a jeśli musi coś przewieźć albo jest chora, po prostu samochód wynajmuje.

W polityce, której celem jest ograniczenie ruchu samochodowego, zakłada się, że wciąż 20-30 proc. ludzi będzie posiadało własne auto – z wyboru albo z konieczności, np. zdrowotnej. Chodzi nie o absolutne rugowanie samochodu, ale o odwrócenie piramidy transportowej, tak by był on już nie podstawowym sposobem przemieszczania się, ale uzupełnieniem.

Wyobrażam sobie przyszłość, w której do ulubionego lasu oddalonego od przystanku dojeżdżamy samochodem współdzielonym, najlepiej autonomicznym, a potem inne auto nas z tego lasu odbiera i zawozi do zbioru lub – wyjątkowo – do domu. Podobnie, gdy muszę coś dużego przewieźć – auto podjeżdża i odjeżdża. I nie jest to wizja obca konserwom samochodowym, które już nad takimi pojazdami pracują. A dziś przecież można skorzystać z samochodu współdzielonego.

W przypadku polityki mieszkaniowej też słyszymy, że rozwiązaniem wielu problemów byłoby zwiększenie udziału najmu kosztem własności. A rynek miałby się zmienić za sprawą odpowiednio ustawionych podatków. Byłabyś za wprowadzeniem podatku dla posiadających auta na własność?

– Są kraje, w których właściciele samochodów w określonym wieku płacą podatek ekologiczny. W Polsce ze względu na wiek aut to ważna dyskusja do przeprowadzenia. Ale dopiero wtedy, gdy uda nam się wyjść z systemowego autoholizmu. W 2011 r. mieliśmy w Polsce 18 mln samochodów, w 2003 r. – 11 mln, przy czym tylko między 2005 a 2008 r., zaraz po wejściu do Unii, przybyło ich 3,5 mln. Jednocześnie między 2016 a 2020 r. sieć tras autobusów PKS skurczyła się z 700 tys. km do 500 tys., a problem wciąż się pogłębia. Nawet kryzys paliwo- wy nie zmienił naszego sposobu myślenia i zamiast taniego biletu, jak Niemcy, mamy wygaszane połączenia kolejowe. Póki kraj pełen jest dziur transportowych, podatki prowadziłyby tylko do dramatów społecznych.

W książce wspominasz o pierwszym Kongresie Ruchów Miejskich z 2011 r. To był czas rewolucji w myśleniu: uświadamialiśmy sobie, że przestrzeń należy nie do władz, nie do inwestorów, ale właśnie do nas, mieszkańców. Jednym z celów, o które miano walczyć, był zrównoważony transport. Myślałam, że dalej wszystko potoczy się w podobnym tempie. A co mamy? Trochę dróg rowerowych i nowszy tabor w dużych miastach. Co aktywiści zrobili nie tak? – Zważywszy, na jak trudny grunt trafiły w Polsce ruchy społeczne,

i tak zrobiły genialną robotę, tak szybko reagując i inicjując dialog. Przecież do niedawna, bo do 1990 r., samochód był marzeniem łączonym z marzeniem o wolności i trudno oczekiwać, by już po 20 latach, nawet opierając się na racjonalnych argumentach, ludzie dobrowolnie zrezygnowali z modelu, w jakim od dekad rozwijał się zachodni, wolny świat.

Holandia, która uchodzi za mekkę zrównoważonego transportu, pracuje nad nim od lat 70. A słynne ogromne parkingi rowerowe przy dworcach, które mocno wpłynęły na sposób poruszania się między miastami, w takiej skali zaczęły się rozwijać dopiero w ostatniej dekadzie.

W Polsce wiele środowisk samorządowych nauczyło się ope-

Co zastąpi limuzynę? Mały autonomiczny samochód napędzany energią słoneczną? Lepszej klasy auto z car sharingu? Złota hulajnoga? Widziałam ostatnio Tuska na hulajnodze elektrycznej, jechał zadowolony, choć porządnie wiało

rować językiem ruchów miejskich, ale burmistrzowie, prezydenci, radni czy urzędnicy używają go tylko do drobnych przemian: zwężenia pojedynczych jezdni, usunięcia samochodów z kawałka chodnika. Sam system niewiele się zmienia.

Jest pewien grzech, który samej zdarzało mi się popełniać. To zawstydzanie. Ktoś mówi mi, że ma problem z parkowaniem pod przedszkolem, a ja wydymam usta, bo przyprowadzam dziecko pieszo – a przecież nie chodzi o to, że ten ktoś jest go-

Jutronauci 2023

• Po raz pierwszy w historii świat młodych jest tak różny od świata dorosłych. Zetki i alfy nie znają świata bez internetu, smartfonów, nowych technologii. A te jak nigdy dotąd napędzają zmiany społeczne: rośnie polaryzacja społeczna, spadają kompetencje międzyludzkie, rośnie epidemia samotności, a rolę Boga przejmują coraz bardziej inteligentne algorytmy. Czy tę przepaść da się zasypać? W tej, siódmej już edycji programu Jutronauci, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, ponownie spoglądamy w przyszłość, szukając najważniejszych przemian cywilizacyjnych.

• Czy czeka nas świat bez dzieci? Czy natura i AI powinny mieć własne prawa? Czy wchodzimy w wiek antyambicji w pracy? Czytaj na Wyborcza.pl/Jutronauci

rzej zorganizowany. To ja mam szczęście, że raz, to przedszkole jest tak blisko, dwa, że dziecko się do niego dostało.

– Zawstydzanie kiepsko inspiruje do zmiany. Choć kiedy niedawno nagrywałam audycję o „Autoholizmie” w pewnej rozgłośni, wydawczyni powiedziała mi później, że zrobiło jej się wstyd: bo mając alternatywę, przyjechała do studia autem. Nie zamierzałam jej zawstydzać, przemówiły do niej w ten sposób fakty na temat kosztów systemowego i prywatnego autoholizmu.

Lepiej inspirować, mówiąc o pozytywach. O tym, że jeśli mamy taką możliwość i dojeżdżamy do pracy rowerem lub choćby robimy to kilkaset kroków na przystanek, mniej musimy się martwić o aktywność fizyczną. Można też mówić o zyskach takich jak uwalnianie przestrzeni pod zieleń i rekreację. Opowiadać o zdrowym mieście, wolnym od smogu. Można też mówić o zagrożeniach. O tysiącach dzieci, które każdego roku stają się kalekami wskutek wypadków, o tych, które umierają – a może to spotkać każde znane nam dziecko, kwestia loterii. O nieznosnych miejskich upałach.

A wstydzić powinien się np. człowiek, który parkuje swoje wielkie audi tuż przy pasach, tak że kierowcy nie widzą przechodzących przez jezdnię ludzi.

Właściciel drogiego auta pewnie czuje się ważniejszy – wszak nawet unijne przepisy, które po 2035 r. zakażą rejestrowania nowych samochodów spaliny- wych, robią wyjątek dla właścicieli luksusowych samochodów. Audi mimo swojej ceny jest zbyt masowe i się raczej nie załapie, ale dzięki wniesionej przez Włochów tzw. poprawce ferrari wciąż będzie można rejestrować auta małoseryjne, w liczbie mniej niż tysiąc rocznie. To budzi opór: plutokraci, celebryci mogą, to dlaczego nie ja swoją skromną malolitrażową skodą?

– Ta poprawka to przykład głębokiej patologii systemu kapitalistycznego. Przy tak poważnej zmianie legislacyjnej zostawiamy furtkę, która nie ma żadnego uzasadnienia merytorycznego. To dobra ilustracja tego, jak różne lobby konstruują wielką politykę. Przecież ktoś, kogo stać na luksusowy wóz, równie dobrze może sobie kupić najdroższy samochód elektryczny i wyróżnić się w taki sposób.

Swoją drogą nie uważam, że przy masowym transporcie prywatnym auta elektryczne są jakimkolwiek rozwiązaniem: nie wystarczy wyprzeć spaliny- wych elektrykami, tym bardziej że wciąż nie wiemy, jak utyli- zować szybko starzejące się baterie, a sam proces ich produkcji jest szkodliwy środowiskowo.

A jak autoholizm miewa się w najmłodszym pokoleniu, urodzonym już w Unii Europejskiej? Nastolatki z przedmieść i małych ośrodków walczą o lepszy transport zbiorowy czy raczej błagają rodziców o pieniądze na kurs i marzą o własnym aucie? – Młodzieżowa Rada Miasta Wrocławia przygotowała raport, który dotyczy też młodzieży z okolicznych miast. W dia-

gnozie udział wzięło ponad 2 tys. osób, z czego ponad połowę stanowiła młodzież dojeżdżająca codziennie do szkół z okolicznych gmin. Młodzi mieszkający dookoła Wrocławia jako największy problem wskazywali brak dostępu do transportu publicznego, przy czym 89 proc. deklarowało, że korzystaloby z niego, gdyby mogło. 70 proc. spoza Wrocławia zaznaczało też, że ich uczestnictwo w zajęciach pozaszkolnych jest bezpośrednio związane z możliwością lub brakiem możliwości wrócenia do domu zbior- komem.

Fakt, że młodzi ludzie uznali ten temat za ważny, zorganizowali się, przeprowadzili badania, dają nadzieję, że będą chcieli coś zmienić. Z drugiej strony, choć liczba młodych robiących prawo jazdy spada, w Polsce samochód pozostaje ważnym narzędziem budowania swojej tożsamości, kluczem do niezależności i zaradności.

Świadomość klimatyczna i zdrowotna wśród młodych jest duża. Ale choć można dużo czytać o katastrofie klimatycznej, trzeba jednak jakoś dotrzeć do szkoły. A potrzeba popołudniowego spotkania z przyjaciółmi jest w tym wieku pierwszorzędną, ważniejszą niż abstrakcyjne koszty dla planety. Pytanie brzmi więc: na którą stronę przechyli się szala? Czy rośnie nam pokolenie, które będzie skłonne porzucić samochód, czy raczej kolejna generacja ludzi przekonanych, że w Polsce samochód mieć trzeba, bo inaczej się nie dojedzie? ●



FOT. ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Marta Żakowska

• antropolożka, badaczka miejska, koordynatorka Laboratorium Miasta Muzeum Warszawy. Reprezentuje Polskę w grupie City Makers, współtworzącej Europejską Agendę Miejską. Współzałożycielka „Magazynu Miasta”, wykładowa w School of Ideas SWPS.

„Autoholizm. Jak odstawić samochód w polskim mieście” Marty Żakowskiej dostępny w dobrych księgarniach i na stronie Krytyki Politycznej.

Zapraszamy na spotkanie z autorką i filozofem Tomaszem Stawiszyńskim we wtorek 16 maja o godz. 18 w Warszawskiej Świetlicy Krytyki Politycznej przy Jasnej 10



OGŁOSZENIE

PARTNER STRATEGICZNY:



POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYK

JUTRONA.UC.I
SIĘGAJ ZA HORYZONT

Hamlet nie rozpaczał bez powodu

Jedynie, czego mogę być pewna, to niepewność.

Edyta Zielińska-Dao Quy

Dlugo wahałam się przed oddaniem niedawnego felietonu, tego o braku modelu męskości w feminizmie. Nie obawiałam się reakcji – te znałam z góry. Zbyt dobrze znam już też tę debatę, żeby zaskoczyły mnie komentarze pod tekstem. Bałam się, bo nie miałam pewności, że mam słuszość. I, przysięgam, nawet w głowie układałam już tekst, w którym złożę samokrytykę. Rozważałam również ucieczkę przed deadline’em, usprawiedliwiając się uprzednio rzadką tropikalną chorobą.

Aż w końcu doszłam do wniosku, że w świecie, który już dawno stracił swoją fabulę, nie mogę przecież być zakładniczką idei. Kliknęłam: wyslij.

Ostatnio od pewnego cenionego pióra usłyszałam: „Jestem tak pewien swoich poglądów, że nie przeszkadzają mi cudze”. Mimo całej zawilosci rzeczywistości, w jakiej żyjemy, to żadne inne stwierdzenie nie zaniepokoiło mnie bardziej. I od razu przypomniało mi się inne zdanie, tym razem Hannah Arendt, o tym, że najbardziej radykalny rewolucjonista stanie się konserwatystą dzień po rewolucji. Bo pewność coraz częściej odczytuję jako narzędzie kontroli w rękach tych, którzy karmią się władzą.

Z jednej strony czas domagają się od nas pewności, bo ona jest gwarantem przynależności. A wszystko jest dzisiaj polityczne, nawet drobne wahnięcie, nie

wspominając o milczeniu. Wystarczy zadać pytanie, by narazić się na spektakularną kontrę, a zaraz potem ocenę i przyjęcie odpowiedniej pozycji bojowej.

Ale z drugiej strony – świat, w którym żyjemy i który nadchodzi, jest z wielu powodów nieprzewidywalny i niewyobrażalny. Być może tak było zawsze. Jak przypuszczam – Hamlet nie bez powodu rozpaczał, że świat wypadł z formy i jemu trzeba przywrócić go do normy. W każdym razie dla mnie rzeczywistość rozpadu jest codziennością.

Jestem rocznikiem dokładnie z przełomu pokolenia Y i Z. Z podstawówki pamiętam kółka europejskie, na których kolorowali flagę europejską, uczyliśmy się gry „Ody do radości” na flecie. Widowskowo opowiadało nam o wspólnocie wartości, w której wszyscy jesteśmy równi. Pisaliśmy wypracowania na temat: „Co to znaczy być Europejczykiem?”. Jeździłam na kursy językowe, wymiany uczniowskie i studenckie – pełną piersią wdychałam europejskie powietrze. Kiedy wchodziłam w dorosłość, właśnie kończył się ten jej scenariusz, w który wpisane były progresywizm i otwartość. Kilka lat później wahał się historia przechyliła się i do władzy zaczęli dochodzić pravicowi szaleńcy. Siła wspólnoty, która miała być naszą szansą, zaczęła się kruszyć. Kiedy rozpoczynałam pracę zawodową, powodująca COVID-19 cząstka RNA, która zawiera tylko 15 genów, odizolowała mnie od świata i obaliła to, co myślałam, że wiem o przyszłości. Na końcu, w lutym 2022, umarł mój pacyfistyczny światopogląd. W skrócie – wy-

chowałam się w rzeczywistości wielkich obietnic i, już zupełnie świadomie, obserwowałam skalę ich fałszu. Spokojnie mogłabym za Sally Rooney zapytać: „Gdzie jesteś, piękny świecie?”.

Ale już nie pytam. Po prostu przywykłam do tego rozpadu. Poddałam się niepewności. I tylko do niej – nie do przyszłości, nie do jakiegokolwiek idei, a już na pewno nie do swoich poglądów – mam zaufanie.

Najlepiej jest oczywiście rozstrzygać spory, komuś przyznać rację, opowiedzieć się po którejś ze stron, a drugą z nich obciążyć winą. Jakież trafienie jest tu gwarantowane. Ktoś na pewno będzie zadowolony. Ktoś zaklaszcze uszami, kogoś zaleje krew. Zresztą – polska debata publiczna zdążyła nas wszystkich już przyzwyczaić do lekkości w dzieleniu się niezobowiązującymi opiniami, które równocześnie wygłaszane są tonem nie tylko nieznoszącym sprzeciwu, ale też niepozostawiającym przestrzeni do polemiki. Pytanie tylko, czy tak rzeczywiście jest lepiej. Bo można też opisać swoje wątpliwości, uchwycić niedostatki w środowisku i tym samym zaprosić do wspólnego myślenia.

Wciąż nie wiem, czy mam rację. Ale znowu kliknę: wyslij. W świecie ufundowanym na pytaniach i braku definitywnych rozstrzygnięć nie może być mowy o pewności. Ale przecież, jak pisał Herbert, „najpiękniejsza jest Nike w momencie kiedy się waha”.

CASA NOSTRA

Włochy dopadną cię nawet w Paryżu

Ministrowie się pokłócili, więc Macron nie zje obiadu z Meloni. A sezon dopiero się zaczął.

Jarosław Mikołajewski

W minionym tygodniu Włochy dopadły mnie tam, gdzie ich się nie spodziewałem: w Paryżu. Nie Modiglianem, którego grobu żmudnie doszukiwałem się na cmentarzu Père-Lachaise, lecz czołówkami gazet, które głosiły kryzys w stosunkach i odwołanie wizyty Antonia Tajaniego, wicepremiera i ministra spraw zagranicznych w rządzie Giorgii Meloni. Spotkania z francuską szefową resortu Catherine Colonną nie będzie!

Co się zdarzyło? Niewiele. Coś, za co, gdyby Niemcy poważnie traktowały obelgi polskiego rządu, zerwałyby stosunki z Kaczyńskim i rządem Morawieckiego już kilkadziesiąt razy. Poszło o słowa francuskiego ministra spraw wewnętrznych Géralda Darmanina, który w odpowiedzi na zarzuty Marine Le Pen dotyczące polityki migracyjnej oświadczył, że wina za napływ uchodźców z Włoch do Francji jest efektem nieudolności rządu Meloni. Tajani się wściekł, powiedział, że nie przyjmuje krytyki od Francji, która nie wydaje Włochom terrorystów, i kryzys gotowy. Kontrolowany, lecz przykry. Odłożono planowany obiad Meloni z Macronem, a tegoroczny sezon migracyjny dopiero się zaczął.

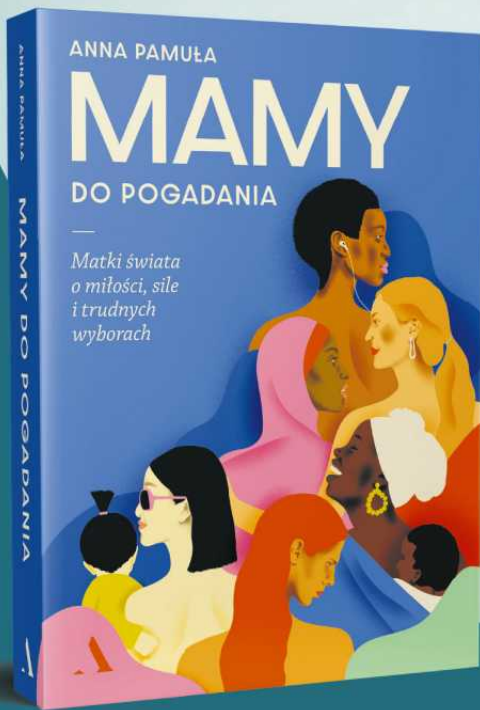
Drugim włoskim tematem w prasie francuskiej było zdobycie mistrzostwa Włoch przez Napoli – wydarzenie, które ma swoje mocne echo i we mnie. W 1986/1987 jako wczesny smarkacz nauczałem na Uniwersytecie w Neapolu Dantego, mieszkając z młodymi pracownikami naukowymi i studentami w akademiku, dzieląc ich czas i pasję, czyli miłość do Maradony. I pierwsze „scudetto” ukochanej drużyny z boskim Argentyńczykiem. I nieznające końca egzaltacji – podobne do tych, które w Polsce towarzyszą wyczynom Małysza, Lewandowskiego czy Świątek – kibicowskie rozmowy.

W tym taki zapamiętany dialog: „– Kto jest lepszy: Maradona czy Platini? – Platini tylko strzela gole, Maradona bierze je z głowy”. Koniec, kropka. Kwestia zamknięta.

Neapol zasługuje na wszystko. Bo jest biedny, braterski, ludzki. Mam na to niezbite dowody.

Relacja z niezwykle czulej reporterskiej podróży

Mamy świata opowiadają o macierzyństwie, jego trudach, wyzwaniach, bezwarunkowej miłości oraz tradycjach związanych z wychowaniem dzieci w swoich krajach.



”

Dzięki mamom świata poczułam siłę kobiecości i macierzyństwa, choć przecież żeby myśleć jak matka, wcale nie trzeba nią być.

ANNA PAMUŁA



CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA

publio.pl



Wydawnictwo
Agora

MY WYGINIEMY, ZYCIE PRZETRWA

Bóbr robi wszystko, by uczynić otaczający go świat bezpieczniejszym dla siebie i swoich dzieci. My robimy na odwrót

Z PROF. **ROBEM DUNNEM***, BIOLOGIEM UNIWERSYTETU STANOWEGO KAROLINY PÓŁNOCNEJ, ROZMAWIA **KASPER KALINOWSKI**

Co będzie napędzać naszą przyszłość – technologia czy biologia?

– Zamknij oczy i wyobraź sobie przyszłość. O ile nie wyobrażasz sobie jakiegoś dystopijnego upadku, prawdopodobnie myślisz o rozwoju technologii. O miastach zarządzanych przez sztuczną inteligencję, cyfrowych połączeniach między ludźmi i innymi urządzeniami. O robotach. Być może o samolotach nowego rodzaju. To nie są złe aspekty rozwoju, przyszłość prawdopodobnie będzie w coraz większym stopniu zależna od technologii, a tempo innowacji wzrośnie w najbliższych dekadach. Jednak przyszłość, jakkolwiek technologiczna, będzie również biologiczna. To wiemy z całą pewnością. Cała Ziemia, którą znamy, będzie żywa tak długo, jak będzie istnieć. Wchodzimy w interakcję z tym żywym światem poprzez nasze własne ciała, które w ciągu ostatnich 350 tys. lat niewiele się zmieniły i jest mało prawdopodobne, aby zmieniły się w ciągu następnej dekady, stulecia czy tysiąca lat. Kiedy patrzysz na swoją dłoń, patrzysz na dłoń liczącą trzysta tysięcy lat, ale patrzysz również na dłoń swoich potomków w przyszłości. Podobnie jest z twoimi jelitami czy mózgiem. Każdym organem. A ciało, które posiadasz, zależy od interakcji z tysiącami innych gatunków w takim samym stopniu, jak twój telefon komórkowy zależy od elektryczności.

Jak to, że tak trudno nam wyjść poza ludzką perspektywę, wpływa na nasze postrzeganie świata?

– Nasze zmysły ewoluowały, aby pomóc nam w codziennym życiu naczelnich żyjących w lasach tropikalnych i sawanach. Nasze oczy rozwinęły swoje szczególne właściwości, aby móc patrzeć na innych ludzi, ale również, aby dostrzegać węże i owoce. To od naszych oczu zależy w nieproporcjonalnym stopniu podejmowanie decyzji, jednak koncentrują się one na dużych obiektach, takich jak ssaki, ptaki czy rośliny. Prawie cała ochrona

przyrody skupia się na ssakach, mniejsza część – na ptakach i roślinach. Niemal cała urbanistyka, jeśli bierze pod uwagę gatunki inne niż ludzie, robi to samo. A przecież większość gatunków zwierząt na Ziemi to bezkręgowce, owady i ich krewni. Do tego mamy prawdopodobnie aż trylion gatunków bakterii – te mniejsze gatunki wykonują większość usług, od których jesteśmy zależni; bez nich nie moglibyśmy przetrwać. Należą do nich również najbardziej śmiertelne organizmy na Ziemi, np. wirus wywołujący COVID-19. Nasze oczy nas zwodzą.

Kiedy nie uwzględniamy gatunków, które nie są tak widoczne lub atrakcyjne dla naszych prehistorycznych oczu, popełniamy błędy w próbach modyfikowania świata żywego. Wyobrażamy sobie, że w naszych domach mieszkamy tylko z naszą rodziną, a w przeciętnym polskim domu są dziesiątki tysięcy gatunków.

Postrzegamy naturę jako coś, co należy kontrolować. Czy z tego powodu ponosimy straty?

– Aby utrzymać naszą populację, musimy zarządzać przyrodą. Jednak musimy to robić z pokorą. Kiedy próbujemy kontrolować naturę, wyobrażając sobie, że możemy wyeliminować ją z niektórych obszarów naszego życia, odpowiedź natury często nas zaskakuje. Przykład: kiedy próbujemy kontrolować nadmierne stosowanie antybiotyków, pestycydów, herbicydów i podobnych substancji, wyobrażamy sobie, że kontrolujemy naturę. Zamiast tego prawie zawsze sprzyjamy ewolucji odpornych bakterii, szkodników czy chwastów, które w przyszłości przysporzą nam jeszcze więcej problemów niż ich podatni przodkowie.

Wydaje się, że współcześnie robimy wszystko, aby odciąć się od natury.

Wiele najbardziej innowacyjnych technologii należy do garstki firm – jesteśmy od nich zależni. To niebezpieczna sytuacja



OGŁOSZENIE

PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYK

JUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

– A przecież większość gatunków na Ziemi zależy od innych gatunków. Istnieje kilka wyjątków, takich jak niektóre bakterie żyjące w głębinach morskich, ale to niezwykle rzadkie przypadki. Ludzie również zależą od innych gatunków. Ale jako wspólnota zależymy od większej liczby gatunków niż prawdopodobnie jakiegokolwiek inny gatunek w historii.

Gdybyś pozbył się mikrobów z jelit, umarłbyś. Gdybyś pozbył się mikrobów ze swojej skóry, umarłbyś. Gdybyś pozbył się mikrobów ze swojego miasta, zaczęłyby się w nim piętrzyć ludzkie odpady.

Gdybyś pozbył się owadów i mikrobów z pól uprawnych, wiele upraw nie zostało by zapylnych, a rośliny trałyby choroby. Zależności są tak liczne, że sieć połączeń nigdy nie została w pełni opracowana. Wyobrażamy sobie, że jesteśmy sami, jednak

na poziomie biologicznym pozostajemy połączeni ze światem żywym w nie mniejszym stopniu niż nasi przodkowie dwa miliony lat temu.

Skoro mikroby są tak ważne, to będziemy musieli przenieść je z nami podczas kolonizacji innych planet, np. Marsa?

– Marzenie o kolonizacji innych planet sięga starożytności, to idea nowego początku. Jednak nawet jeśli wyobrażamy sobie, że zaczynamy od nowa, to jednocześnie będziemy mocno związani z przeszłością na Ziemi oraz gatunkami, które ją zamieszkują.

Weźmy za przykład Międzynarodową Stację Kosmiczną – astronauta żyją na niej w znacznej części dzięki mikrobom, które nabyli od swoich matek podczas porodu. To ziemskie mikroby jelitowe, skórne, jamy ustnej itd. Funkcjonowanie ich układu odpornościowego zależy od ekspozycji na ziemskie mikroby związane z roślinami i glebą. Nie mamy wystarczającej wiedzy, aby zrozumieć, jak zaszczyć ludzi mikrobami, których potrzebują lub tymi, na które możemy być narażeni. Na dodatek nie udało nam się jeszcze wymyślić, jak z powodzeniem uprawiać rośliny w przestrzeni kosmicznej. Rośliny na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej zostały już (niechcący) skolonizowane przez patogeny roślinne.

Każde środowisko, które stworzymy na innej planecie, będzie zawierało tysiące nieplanowanych przez nas gatunków (na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej są ich tysiące, a może i dziesiątki tysięcy). Z powodu przypadkowej kolonizacji naszych kosmicznych osiedli i z powodu praw rządzących rzeczywistością wszelkie mikroby, które tam dotrą, będą nadal ewoluować. Będziemy musieli zabrać ze sobą w przestrzeń kosmiczną nie tylko mikroby, lecz także gatunki, które pomogą nam kontrolować patogeny atakujące rośliny. Łatwiejsze mogłoby się okazać stworzenie na innej planecie osady robotów niż osady ludzkiej.

FOT. SHUTTERSTOCK



mieć upał, a w następnym chłód. Jednego roku będą powodzie, następnego susze. Musimy przewidywać taką zmienność, ale trudno ją zaplanować.

Wiemy wystarczająco dużo, aby zaplanować zmiany, które nas czekają. Możemy przewidzieć, które gatunki będą się przemieszczać wraz ze zmianami klimatu (gdzie). Wiemy, jak przewidzieć, które gatunki będą ewoluować w najbliższej przyszłości.

To gdzie jest haczyk?

– Większość żywego świata nie została jeszcze zbadana. Niemal wszystkie bakterie nie zostały jeszcze nazwane, a tym bardziej zbadane (nawet te w ludzkim ciele). Musimy więc działać na podstawie tego, co wiemy, ale musimy również zachować pokorę wobec tego, czego nie wiemy. A pokora nie jest mocną stroną ludzkości.

Skoro wiemy, że zmiany klimatyczne wymuszą migracje, to czy możemy przewidzieć, dokąd udadzą się poszczególne gatunki?

– Każdy gatunek dysponuje tzw. niszą klimatyczną. To warunki klimatyczne, w których gatunek dobrze się rozwijał. Zwierzęta będą musiały się przemieszczać, aby zasiedlić przyszłe lokalizacje swoich nisz klimatycznych. Na przykład gatunki z południowej Europy będą musiały przemieszczać się na północ (lub przemieszczać się na wyżej położone tereny).

Bez wątpienia w Polsce już teraz przemieszczają się rośliny i zwierzęta, których nie było na jej terenie jeszcze kilkadziesiąt lat temu. Będzie to dotyczyło gatunków dziko żyjących zwierząt, ale również upraw. W miarę jak upada uprawa winorośli w południowej części Europy, więcej upraw przeniesie się do miejsc takich jak Polska. Tymczasem gatunki występujące w Polsce będą musiały przenieść się jeszcze dalej na północ.

Dlaczego ewolucja nie pomoże im w adaptacji do zmian klimatu?

– Ewolucja nie działa w ciągu dni, miesięcy czy lat, lecz pokoleń. Im szybciej rozmnaża się dany gatunek, czyli im więcej jego pokoleń pojawi się w ciągu roku, tym szybciej może ewoluować; podobnie jest z większą populacją. Bardzo małe gatunki, które posiadają wiele pokoleń i duże populacje w ciągu roku, mają większy potencjał do ewolucji i adaptacji w odpowiedzi na zmiany klimatu. Przykład: w czasie naszej rozmowy dla niektórych bakterii w twoich ustach mogło minąć całe pokolenie. I odwrotnie, gatunki o wolniejszym czasie wymiany pokoleń i mniejszych populacjach posiadają mniejszy potencjał do adaptacji (lub niezbędna do niej zmienność genetyczna). W rezultacie wiele najmniejszych, najczęściej spotykanych gatunków może i będzie ewoluować, aby podążać za zmianami klimatu. Jednak duże, rzadkie gatunki, na których nam najbardziej zależy, jak długowieczne drzewa czy niedźwiedzie, mają najmniejszy potencjał do szybkich odpowiedzi ewolucyjnych. Muszą się przemieszczać lub zginąć.

A może choć niektórym gatunkom będziemy w stanie pomóc za pomocą technologii? Całkiem niedawno uratowaliśmy maniok.

– To możliwe, jeśli najpierw będziemy potrafili przewidzieć czekające nas zmiany, a następnie zaprojektujemy rozwiązania technologiczne tak, aby sprostać tym wyzwaniom.

W przeszłości nasze reakcje na nowe wyzwania często bywały spóźnione. Skala wyzwań, przed którymi stoimy obecnie, jest zbyt duża, aby można było stosować takie podejście. Musimy nadal wprowa-

dząć innowacje technologiczne, ale musimy mieć z tyłu głowy, że muszą one odpowiadać nie tylko na wyzwania, przed którymi stoimy dzisiaj, lecz także te z przyszłości.

Musimy mieć pewność, że nasza technologia dociera do ludzi w sprawiedliwy sposób. Obecnie wiele najbardziej innowacyjnych technologii należy do garstki firm, co oznacza, że jesteśmy od nich nieproporcjonalnie zależni. To niebezpieczna sytuacja. Idealnie byłoby znaleźć sposób na kontynuowanie innowacji przy jednoczesnej demokracji praw własności do takich innowacji.

Czasami jedynym rozwiązaniem wyzwania, przed którym stoi ludzkość, jest rozwiązanie technologiczne. Samo powstanie rolnictwa było takim rozwiązaniem – nasza populacja nie mogła już się utrzymać wyłącznie przez tradycyjne polowanie i zbieractwo, bo było nas zbyt dużo. Musimy jednak uważać, aby stosować technologię w zgodzie z tym, jak korzystamy z natury. Tam, gdzie naturalne usługi są nadal dostępne, często są one lepsze od naszych technologicznych i szybkich rozwiązań.

Trwają jednak prace np. nad robotycznymi pszczołami. Co myślisz o nich jako biolog?

– Dziko żyjące pszczoły zapylają ogromną część upraw na całym świecie. W niektórych miejscach pszczoły zawodzą (z powodu stosowania pestycydów, form rolnictwa, które stosujemy itd.). Tam, gdzie tak się dzieje, naszymi pierwszymi próbami powinno być znalezienie sposobów na odtworzenie populacji pszczoł, a dopiero w ostateczności, kiedy wszystkie pszczoły wyginą, powinniśmy sięgnąć po rozwiązania czysto technologiczne. Jak wiele naszych technologicznych rozwiązań, będą one prawdopodobnie lepsze niż nic, ale gorsze od prawdziwych pszczoł.

Koncentrowanie się na robotycznych pszczołach zapowiada dziwną przyszłość, w której wydaje nam się, że możemy zastąpić gatunki, od których jesteśmy zależni, zamiast uznać ich wartość i nasz związek z resztą natury.

Z badań nad ptakami wiemy, że gatunki, które dobrze radzą sobie z warunkami pogodowymi, to zazwyczaj gatunki o dużych mózgach, jak wrony. One dobrze sobie radzą w niepewnych warunkach, bo mogą zmieniać dietę, przechowywać żywność i monitorują warunki. Wrony są symbolem tego rodzaju zdolności. Poobserwuj je przez chwilę, a dostrzeżesz ptaki dostosowujące się do sytuacji, zmieniające się razem z Polską. Ludzie również wykształcili w toku ewolucji duże mózgi w odpowiedzi na potrzebę elastycznego zachowania. Jesteśmy bardzo podobni do wron. Teoretycznie można by więc oczekiwać, że będziemy w stanie dobrze reagować na zmienne warunki. Problem polega na tym, że obecnie nie reagujemy już na warunki na poziomie jednostek. Reagują nasze instytucje i rządy. A ich działania nie są podobne do zachowania wron. Nie monitorują one (na ogół) wystarczająco dobrze warunków ani nie mają zdolności do reagowania na nowe wyzwania z wystarczającą szybkością i sprytem. Potrzebujemy instytucji podobnych do wron.

Na to się na razie nie zanosi. Ale sama zmienność, która nastąpi wraz ze zmianami klimatu, dla natury nie będzie zagrożeniem. Nawet niszcząc ekosystem, nie zabijemy życia na Ziemi. Które gatunki przetrwają?

– Każde z naszych działań sprzyja określonym gatunkom.

W miarę jak świat będzie się ocieplać, będą się rozwijać gatunki preferujące ekstremalnie gorące i zmienne warunki. W przypadku zwierząt będą to gatunki inteligentne, zdolne do reagowania na taką zmienność – wrony, sójki i sowy tego świata.

Obejmą one podzbiór gatunków pustynnych. Będą to również mikroby, które uwielbiają ekstremalne warunki; określamy je ekstremofilami.

Im bardziej zanieczyszczamy oceany tworzywami sztucznymi, tym bardziej będziemy sprzyjać dziwnym formom życia, które mogą powstawać na sztucznych tworzywach, a nawet je metabolizować. Niektóre z tych gatunków przyszłości będą miały niezwykle zdolności biologiczne.

Jako biolog mogę je nawet określić majestatycznymi, ale ich siła będzie świadczyć o naszych zmaganiach – faworyzujemy gatunki, które dobrze sobie radzą w środowiskach, w których sami nie możemy się rozwijać.

Bóbr robi wszystko, by uczynić otaczający go świat bezpieczniejszym i bardziej przyjaznym dla siebie i swoich dzieci. My uczyniliśmy świat mniej bezpiecznym dla naszych potomków. Nie jesteśmy pierwszym gatunkiem, który to uczynił, ale jesteśmy pierwszym gatunkiem, który to jednocześnie ma świadomość tego, co robi. Bakterie ekstremofile nam podziękują; nasi potomkowie – nie.

Jak dużo czasu może mieć przed sobą homo sapiens?

– Przeciętny gatunek żyje około 2 mln lat. Wiemy o tym na podstawie zapisów kopalnych. Gatunki znikają, bo wyginęły albo dlatego, że zmieniły się tak bardzo, że nie rozpoznajemy ich już jako tego samego gatunku. Współcześni ludzie wyewoluowali nie później niż 350 tys. lat temu. Jeśli nasz gatunek jest przeciętny, to zostało nam jeszcze ponad 1,5 mln lat. Zła wiadomość jest taka, że gatunki młode, takie jak nasz, są szczególnie podatne na wyginiecie – takie już są wybryki młodości. Jeśli chodzi o sposób, w jaki znikniemy, możemy wyewoluować nowe cechy tak odmienne, że nie będziemy już ludźmi. Jednak taka zmiana musiałaby nastąpić w wyniku trudów selekcji naturalnej lub inżynierii genetycznej.

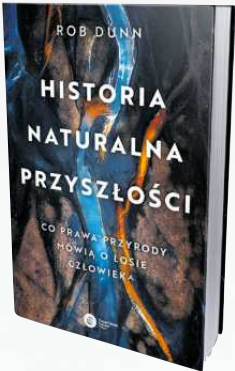
Wydaje się prawdopodobne, że w pewnym momencie będziemy w stanie tworzyć ssaki – w tym ludzi – zdolnych do fotosyntezy. Czy wdrożymy to w życie? Nie jesteśmy przygotowani, by odpowiedzieć na takie pytanie.

Bardziej prozaicznym i prawdopodobnym końcem naszego gatunku jest wyginiecie. Ale to nie oznacza końca życia na Ziemi, jesteśmy o wiele mniej ważni w wielkiej historii życia, niż na ogół sobie wyobrażamy. ●

*Robert Dunn

• profesor ekologii na Wydziale Nauk Biologicznych Uniwersytetu Stanowego Karoliny Północnej. Autor książek i licznych artykułów naukowych publikowanych m.in. w „National Geographic”, „New Scientist”, „Natural History” i „Scientific American”.

„Historia naturalna przyszłości. Co prawa przyrody mówią o losie człowieka”, Rob Dunn, tłum. Krzysztof Skonieczny, wyd. Copernicus Center Press.





Muzykował z szimpansami, likwidował granice,
po 20 latach wakacji Peter Gabriel zapowiada album i przyjeżdża do Polski

IRYTUJĄCY WIZJONER

WRACA DO GRY

Jarek Szubrycht

Dla tych, którzy cierpią na bezsenność w czasie pełni Księżyca, Peter Gabriel przyszykował nagrodę pocieszenia. Mogą słuchać jego nowych piosenek publikowanych od stycznia dokładnie wtedy, kiedy ziemski satelita jest najokręglejszy i świeci najjaśniej. I tak co miesiąc, aż uzbiera się pełny album. „Irytujący ze mnie sukinkot. Lubię robić wszystko inaczej, jeśli tylko mogę. Mam 72 lata i na tym etapie nie ma znaczenia, co inni o tym myślą” – komentował swoją przedziwną wydawniczą strategię w wywiadzie dla magazynu „Uncut”. Tak jakby kiedykolwiek obchodziło go, co ludzie powiedzą.

LIS, KWIATEK I ŻÓŁTE BĄBLE

Z rozbawieniem czytam komentarze fanów klasycznego rocka, oburzonych ekscentrycznymi strojami Ralphi Kaminskiego, zniesmaczonych sukniami Sama Smitha i zgorszonych kolorowym eurowizyjnym korowodem. Nietrudno zgadnąć, że ukochaną muzykę poznawali wyłącznie w formacie audio, z radia, płyt i kaset. Nieliczne fotografie ich idoli w peerelowskich magazynach muzycznych musiały być niewyraźne, teledysk był świeżym wynalazkiem, jeszcze się nie przyjął, a z koncertami za Żelazną Kurtynę ci najbarwniejsi nie docierali. Ale dziś łatwo można nadrobić zaległości i prześledzić wyścigi na ekscesy, którym od połowy lat 60. z lubością oddawali się muzycy po obu stronach oceanu. Arthur Brown śpiewał w płonącym helmie

i makijażu przypominającym dzisiejsze barwy wojenne blackmetalowców, Alice Cooper nie potrafił się zdecydować, czy jest XIX-wiecznym dandysem, czy starszą panią z horroru, a Freddie Mercury scenicznymi strojami wykrzyczał to, czego wtedy nie mógł o sobie wprost opowiedzieć. No i David Bowie, wiadomo – na miano kameleona zasłużył nie tylko ciągłymi zmianami brzmienia, ale też fantastycznymi kostiumami: od sukien wieczorowych po kosmiczne kombinezony.

Jednak laurem dla największego scenicznego wariata przyzdobilibym skronie Petera Gabriela, wokalisty brytyjskiej grupy Genesis. W pierwszej połowie lat 70. szokował i zachwycał fanów zespołu, przebiegając się za postacie – albo i metafory – z własnych tekstów. Wychodził na scenę w czerwonej sukience i w masce lisa, przebiegał się za kwiatek, Brytanię (co wyglądało jak skrzyżowanie rzymskiego legionisty z wrózką owiniętą we flagę zwaną Union Jackiem) albo stwora nie z tej ziemi, złożonego wyłącznie z nabrzmiałych złotych bąbli. Kolegów z zespołu rzadko informował, w co zamierza przeistoczyć się na kolejnym koncercie, i ponoć nie wszystko im się podobало, ale Gabriel w ten sposób walczył z wrodzoną nieśmiałością i – jak złośliwie twierdził po latach – zabijał czas potrzebny muzykom na nastrój wszystkich 36 strun w ich gitarach. Bo Genesis było zespołem nader ambitnym. Absurdalny teatr kreowany na koncertach przez frontmana doskonale korespondował z równie przesadzoną i złożoną muzyką.

„WEST SIDE STORY”, ALE TO JODOROWSKY

Grupa powstała w połowie lat 60. w Godalming, małym miasteczku na południu An-

glii. Zadebiutowała w 1968 roku ładną, pogodną piosenką „The Silent Sun”, podobno udającą Bee Gees tylko dlatego, by producenta, który wówczas zwrócił na Genesis uwagę i zaproponował nagranie całej płyty, utwierdzić w przekonaniu, że to dobry pomysł. Fortel powiódł się tylko połowicznie. Płyta – „From Genesis to Revelation” – powstała, ale uchwyciła zespół gdzieś pomiędzy tym, co wówczas modne, a tym, co naprawdę chciałby grać. W dodatku sklepy muzyczne, sugerując się biblijnym tytułem („Od Księgi Rodzaju do Objawienia”), wkładały album na półkę z muzyką religijną, więc pierwsze wydanie znalazło... 649 nabywców. Nic dziwnego, że zespół się rozpadł, stracił producenta i kontrakt. Ale nie ma tego złego. Chwilę później Genesis odrodziło się z jasno sprecyzowaną wizją, by nie ułatwiać sobie i słuchaczom tego, co można utrudnić. Na wysokości czwartej i piątej płyty – odpowiednio: „Foxtrot” (1972) i „Selling England by the Pound” (1973) – byli już uznawani za poważną siłę na brytyjskiej scenie rocka progresywnego, konkurencję dla Yes i Emerson, Lake & Palmer.

Peter Gabriel porzucił Genesis, kiedy zespół zaczął odnosić wymierne sukcesy i podobno z tego właśnie powodu. Ich szósty album, trwający ponad półtorej godziny kolos „The Lamb Lies Down on Broadway”, wydany pod koniec 1974 roku, wbrew wszelkiej logice spodobał się nie tylko recenzentom-smakoszom i szalikowcom art rocka, ale nawet tzw. szerokiej publiczności. Fanów nie odstraszyły ani złożona forma, ani wyrafinowana treść (Gabriel wymyślił sobie koncept łączący „West Side Story” z pismami Carla Gustava Junga i wizjami Alejandra Jodorowskiego), ani nawet wspomniane już koncertowe dziwadła. Wokalista uznał jednak, że za łatwo poszło, więc całą zabawę rozpoczął od nowa.

Tego rodzaju decyzje zwykle mszczą się na nadmiernie wierzących w swą szczęśliwą gwiazdę artystach, ale Peterowi Gabrielowi jakoś się udało. Po raz pierwszy i nie ostatni. Trudno powiedzieć, czy zawdzięcza to muzycznemu talentowi, czy też osobistej charyzmie, bo cała jego kariera to zaskakująco dużo wzlotów i niewiele upadków. Nawet jeśli zdarzały mu się potknięcia, przy których inni rozkwasiliby sobie nosy, on robił dobrą minę do złej gry i pewnie kroczył dalej.

PIOSENKA Z PRZYSZŁOŚCI

Jego cztery pierwsze płyty solowe, wszystkie zatytułowane „Peter Gabriel”, nie były rekordów sprzedaży, ale cieszyły się na tyle dużym zainteresowaniem, by utrzymać artystę na powierzchni. Mógł szukać nowych środków wyrazu, eksperymentować z brzmieniami, angażować kolejnych współpracowników, a kiedy wytwórnia traciła wiarę, znajdowała się inna, odważniejsza.

Atlantic, amerykański wydawca artysty, zrezygnował z trzeciego „Petera Gabriela” (wydanego w 1980 roku i znanego fanom jako „Melt”, czyli „Stopiony”, od rozmazanego zdjęcia okładkowego), bo płyta była zbyt dziwaczna, inspirowana nie tylko postpunkowymi, ale chyba nawet industrialnymi nowinkami. Innym argumentem na niekorzyść materiału miała być piosenka „o tym gościu z RPA”, który „nie obchodzi Amerykanów”. Tak, mowa o „Biko”, przejmującym protestu opowiadającym o tragicznej śmierci Bantu Stephena Biko, działacza antyapartheidowego, zakatowanego przez policjantów w 1977 roku. O piosence, która porusza i słowem, i dźwiękiem wskazującym na rodzącą się fascynację wokalisty muzyką

afrykańską. Krótko mówiąc, Atlantic prze-gapił moment, w którym Peter Gabriel znalazł swój w pełni oryginalny artystyczny język.

Może i lata 80. rozpoczął jako cudak, co rynkowi się nie kłania, ale skończył jako gwiazda pop. Już na czwartym „Peterze Gabrielu” (więcej Afryki, więcej syntezatorów) znalazł się taneczny „Shock the Monkey”, pierwszy singiel wokalisty, który chwycił za oceanem. Można go potraktować jako zapowiedź „Sledgehammer” z „So” (1986), jedyny numer jeden Petera Gabriela na liście „Billboardu”. To właśnie ten jego utwór, który znają wszyscy, którzy świadomie przeżyli tamtą dekadę. Głównie za sprawą fenomenalnego, powtarzanego bez końca przez MTV teledysku zrealizowanego techniką animacji poklatkowej (pierwszy komentarz na YouTube jest nadzwyczaj trafny: „37 lat później ta piosenka wciąż brzmi i wygląda jak z przyszłości”), choć muzyka sama się broni – zgodnie z duchem czasu czerpiąca z funku i soulu, ale nie do końca wyprana z tej powagi, która cechowała progresywne korzenie artysty. Zresztą każdy, komu „Sledgehammer” wydał się zbyt frywolny, tuż za nim znajdował na płycie wzruszającą balladę „Don’t Give Up”, zaśpiewaną w duecie z Kate Bush (Dolly Parton odmówiła). Elton John ponoć wytrwał w trzeźwości właśnie dzięki tej piosence i na pewno nie on jeden czerpał z niej otuchę.

Następca „So” nazywa się „Us” i wyszedł jesienią 1992 roku. To udany album z dwiema piosenkami wzbogaconymi gościnnym udziałem Sinéad O’Connor. Materiał spokojniejszy od poprzedniego, raczej utrwalający wydeptaną już przez Gabriela ścieżkę pomiędzy art popem a world music niż szukający nowych dróg. Niedoceniony w swoim czasie, ale nie dlatego, że artysta coś zepsuł. To był czas dwóch rozgrywających się symultanicznie muzycznych rewolucji – rockowej, z Nirvaną wiodącą lud na barykady, i rapowej (a może nawet trzech, bo techno właśnie wychodziło z piwnic) – nikt nie zwracał więc uwagi na eleganckie pieśni miłego czterdziestolatka o jego bogatym życiu wewnętrznym. Ale Gabriel chyba nie cierpiał z tego powodu, nie potrzebował tłumów szalejących pod sceną na koncertach, bo cieszył się już uznaniem w innych kręgach. Ścieżki dźwiękowe do „Ptaśka” i „Ostatniego kuszenia Chrystusa” były ostatecznym potwierdzeniem, że to nie pierwszy lepszy krzykacz z zespołu rockowego, lecz artysta przez duże A.

WOMAD: GLOBALNY DIALOG

Fani Genesis dzielą się na tych, którzy uznają zespół tylko za Peterem na froncie, i na tych, którzy wolą bardziej popowe wcielenie grupy, z Philem Collinsem przy mikrofonie. Wielbiciela Petera Gabriela to też dwa stronictwa: pierwsze ceni go przede

wszystkim za artystowskie wybryki w Genesis, drugie – za przerabianie zjadaczy radiowych hitów w anioły za sprawą piose-nek równie chwytliwych, co szlachetnych i mądrych. Nie chcąc wchodzić w te spory, chciałbym zauważyć, że być może dziełem życia Petera Gabriela (dokonanym z niemałą pomocą przyjaciół, to trzeba zaznaczyć) jest nie jego własna dyskografia, ale WOMAD – zrodzona w 1982 r. inicjatywa, która odmieniła świat muzyki. Albo inaczej: zakończyła ćwiczony na Zachodzie chów wsobny, otwierając uszy publiczności na nieznanie wcześniej w Londynie czy Nowym Jorku dźwięki, języki, instrumenty, rytmy i historie.

WOMAD to skrót od World of Music, Arts and Dance – Świat Muzyki, Sztuki i Tańca. Przy czym akcent położony jest tu na pierwsze słowo. Świat. Peter Gabriel nie był pierwszym brytyjskim muzykiem, który szukał inspiracji w innych kulturach

WOMAD ma swój macecznik w Wielkiej Brytanii, ale też wędruje po całej kuli ziemskiej. Udana edycja miała miejsce m.in. w Australii, Finlandii, Stanach Zjednoczonych, Meksyku, Rosji, Republice Południowej Afryki, Japonii, Turcji i Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Idea muzycznego świata bez granic obejmuje również wytwórnię Real World, dzięki której zachodni melomani mogą się cieszyć nagraniami muzyki, której ich rodzice nie byłiby sobie nawet w stanie wyobrazić (Nusrat Fateh Ali Khan, Creole Choir of Cuba, The Drummers of Burundi czy Youssou N’Dour trafili pod nasze strzechy właśnie dzięki Gabrielowi), i studio, z którego korzystać mogą artyści w swoich ojczyznach niemający możliwości profesjonalnej realizacji nagrań.

Kiedy WOMAD stał się sprawnie działającym organizmem, Peter Gabriel znalazł sobie kolejne wyzwania. Angażuje się w liczne akcje charytatywne, współ-

Trudno powiedzieć, czy sukces zawdzięcza muzycznemu talentowi, czy charyzmie, bo jego kariera to dużo wzlotów i niewiele upadków

(by wspomnieć Beatlesów pielgrzymujących do Indii albo Stonesów w Maroku), ale jego podejście było inne. Zamiast organizować sobie egzotyczne wycieczki w poszukiwaniu pomysłów, które można bezkarnie podkraść tubylcom, stworzył platformę, dzięki której muzycy reprezentujący różne kultury i estetyki mogli się dowolnie komunikować, wzajemnie inspirować, mogli dawać, ale i brać. WOMAD to festiwal, na którym zobaczyć można nie gwiazdy z pierwszych miejsc list przebojów i okładek muzycznych magazynów, lecz artystów z najdalszych zakątków globu, którzy często właśnie tam po raz pierwszy prezentują swoją muzykę zachodniej publiczności. To zarazem platforma wymiany myśli o tym, co dziś najważniejsze, nie tylko na sytej Północy, tygiel idei społecznych i politycznych dalekich od europocentryzmu, to historia świata pisana przez pokonanych. Co ciekawe, pierwsza edycja prawie zrujnowała Gabriela – w ostatniej chwili z odsieczą przyszli koledzy z Genesis. Jednorazowy koncert zespołu w oryginalnym składzie pozwolił zebrać fundusze, które uratowały WOMAD.

pracuje m.in. z Amnesty International, Greenpeace’em i powołaną przez Nelsona Mandelę organizację The Elders skupiającą zasłużonych aktywistów z całego świata. W 1992 roku założył organizację Witness, która dokumentuje łamanie praw człowieka, by pomagać skrzywdzonym dochodzić sprawiedliwości. Artysta wierzy nie tylko w pojednanie ludzi różnych ras i religii, ale nawet w możliwość dialogu międzygatunkowego. To nie żart, jakiś czas temu skrzyknął naukowców, których zaraził pomysłem internetu dla zwierząt, z którego korzystać mogliby również ludzie. Wpadł na to, muzykując z szympanсами w Kongu. Też nie żart.

„STRANGER THINGS” NIE POMOGŁO

Właśnie, muzyka! W nowe stulecie Peter Gabriel wszedł z podniesioną głową. W 2002 roku wydał album „Up” przygotowywany przez niemal dekadę. To ambitna płyta łącząca to, co stare, z nowinkami, od noise’owego jazgotu po puls techno. Nie

wszystkich krytyków zachwyciła („Album, który wypełniają pierwotne obrazy narodzin i śmierci, czasami brzmi, jakby Gabriel sam umarł tysiąc razy, składając go do kupy” – wyłoshiłwił się recenzent magazynu „Rolling Stone”), ale po latach się broni. Nie tylko dlatego, że lepsza „Up” ze wszystkimi jej wybojami od przedłużającego się w nieskończoność milczenia artysty.

Żeby być sprawiedliwym – nie zniknął zupełnie. Po prostu nie publikował nowych utworów. Na płycie „New Blood” zwracał głowę wyfraczonymi, zaaranżowanymi na orkiestrę wersjami swoich starych utworów, na „Rated PG” przypomniiał piosenki, które napisał do filmów (od „Urodzonych morderców” po „Wall-E”, jest się czym chwalić), a „Flotsam and Jetsam” to typowy owoc fonograficznego remanentu – strony B singli, covery, remiksy... Pomysłem z potencjałem były lustrzane albumy „Scratch My Back” i „And I’ll Scratch Yours”. Na pierwszym Peter Gabriel reinterpretuje swoje ulubione piosenki z repertuaru m.in. Davida Bowiego, Talking Heads, Paula Simona, Lou Reeda i Radiohead, na tym drugim artyści, którym się pokłonił, mieli odwzajemnić uprzejmość. Nie wszyscy jednak byli tak mili, na przykład Bowie i Radiohead się wypięli, co musiało zabolować. Swoją drogą, na „Scratch My Back” Peter Gabriel rozprawił się z „Heroes”, jedną z najwspanialszych pieśni Davida Bowiego, i właśnie jego wersję, nie oryginał, słyszymy aż dwukrotnie na ścieżce dźwiękowej serialu „Stranger Things” – w sezonie pierwszym i trzecim. Świetnie to pasuje do opowieści o dzieciakach, które ratują świat przed złem z innego wymiaru, ale szał na piosenkę porównywalnego z tym, którego doświadczyli Kate Bush czy Metallica za sprawą tego samego serialu, jakoś nie było. Trudno o lepszy sygnał, że szkoda czasu na cudzasy, trzeba się wziąć do uprawiania własnego poletka.

Po 20 latach grania na czas Peter Gabriel dokończy więc wreszcie to, co zaczął w połowie lat 90. Pierwsze pomysły na piosenki, które wypełnią album „i/o” (jeśli dobrze policzyłem fazy Księżyca, ukaże się pod koniec roku), pochodzą bowiem z tego samego czasu co „Up”. Najważniejsi współpracownicy też się nie zmienili, ale jak się ma takich muzyków jak Tony Levin, David Rhodes czy Manu Katché, to się nie organizuje castingu na nowych. No, chyba że stary, dobry znajomy Brian Eno chce się dograć. Możemy się zatem spodziewać płyty hermetycznej, wielowątkowej, niedzisiejszej, a pierwsze opublikowane utwory to potwierdzają. Pewnie trudno będzie „i/o” polubić od pierwszego przesłuchania, niemożliwe będzie wykrojenie z za długiego albumu singli, które chętnie puści radio. Doskonałe. Nie mogę się doczekać. ●



ŚLĄZACY I POLACY. ADAM MICHNIK POLECA

Ja Odra, ty Wisła

Dlaczego nie możemy płynąć razem?

Lukasz Kohut*

Szanowni państwo, witam serdecznie na śląskim święcie w Brukseli – w Parlamencie Europejskim – w świątyni europejskiej demokracji.

Chciałbym was zabrać w podróż do wyjątkowej krainy. Do mojego Śląska, do krainy pogranicza.

United in diversity – zjednoczona w różnorodności – to jest motto Unii Europejskiej.

Ponad rok temu – w Strasburgu – na intergrupie mniejszości narodowych i etnicznych zorganizowałem pierwsze publiczne wysłuchanie w Parlamencie Europejskim, które nazwałem „Śląsk w Europie”. Poza mną w wysłuchaniu wzięli udział – Szczepan Twardoch, prof. Adam Bodnar i prof. Małgorzata Myśliwiec. Debatowaliśmy o śląskiej historii, języku śląskim i śląskiej tożsamości. Mówilem wtedy, że historia, tożsamość i język śląski nie są do nikogo w kontrze. Nie są w kontrze także do Polski. Są inne. Jak Odra i Wisła.

Każdy ma prawo do tego, by jego tożsamość była szanowana. Respektowanie tego prawa leży w interesie kraju i w interesie Unii. Ale głęboko wierzę, od początku mojej publicznej działalności, że tylko wielokulturowa Polska może być wielka. Znamy to z historii, ale znamy także z teraźniejszości.

Od czasów uznania języka kaszubskiego Polska się nie zawaliła, język polski nie został wyparty. Dlaczego więc Polska nie rozumie Śląska? Moim zdaniem po pierwsze wynika to po prostu z braku wiedzy.

Za każdym razem, kiedy my, Ślązacy, mówimy coś o naszej historii, która jest przecież kompletnie inna niż historia Polski – np. że Śląsk nie był pod zaborami – następuje konsternacja, a później ściana niewiści.

Po drugie wynika to także ze strachu przed innością.

Dwa lata temu odbył się spis powszechny. Zjednoczyłem wtedy wszystkie śląskie środowiska i polityków z różnych stron sceny politycznej – jako Ślonsko Sztama informowaliśmy ludzi, że można deklarować śląską tożsamość i język śląski.

Mineły dwa lata i co? Psińco. Prezes GUS-u dalej nie może się nas doliczyć. Swoją drogą liczę na dobry wynik, bo wiem, że zrobiliśmy dobrą robotę, a to ociąganie się GUS-u tylko nas w tym utwierdza i motywuje do dalszych działań.

Po trzecie w końcu wynika to także z próby budowania jednej, homogenicznej Polski. Ta próba trwa już od 1945 roku. I ta próba się nie uda. Dlaczego? Dlatego, że jest w Polsce grupa – prawie milionowa, która czuje się Ślązakami/Ślązaczkami.

Jesteśmy lojalnymi obywatelami Polski, ale nie jesteśmy Polakami. Nie jesteśmy też Niemcami. Ani Czechami. Nie uważamy jednocześnie, że bycie Polakiem czy Niemcem to coś gorszego. Absolutnie nie. Ba! Wśród Ślązaków wielu ma podwójną tożsamość. Ale wielu z nas po prostu czuje się wyłącznie Ślązakami. I to jest normalne!

I mamy swoją ślonsko godka kierom godomy doma. Na niebieski godomy modry, na zająca godomy hazok, a zamiast słowa mocno godomy fest. I co w tym złego? Co w tym zagraża Polsce, językowi polskiemu?

Wyobraźmy sobie parę Ślązaków. Mówią ze sobą w swoim języku w domu. Chyba normalne. Po śląsku. Rodzi się dziecko, po naszymu bajtel. Pewnie jak u mnie w domu – rodzice uczą swoje dziecko i śląskiego, i polskiego.

No, ale lata lecą. Dziecko trafia do przedszkola, później do szkoły. I co? Tam na ogół śląskiego nie ma wcale, jeśli jest, to pokazywany jako gwara, skansen, język plebsu. I takie dziecko wraca do domu – szkoła je zmienia.

Zaczyna się wstydzić swojego pierwszego języka. Zaczyna uważać, że to wieśniackie, że nie wypada przy ludziach z ojcem czy z własną matką rozmawiać po śląsku. Czy znam takie przypadki? Setki. Sam byłem jednym z nich.

To się oczywiście w pewnym wieku zmienia, bo ludzie szukają swoich prawdziwych korzeni. Niemniej jednak Ślązacy i Ślązaczki – dodam: mniejszość także na samym Śląsku – muszą się z tym mierzyć bez systemowej pomocy.

Sam musiałem wyjechać ze Śląska, po studiach, do pracy w Norwegii, żeby to zrozumieć i popatrzeć na to wszystko z dystansu. W moim biurze w Oslo ludzie mówili w różnych norweskich dialektach, w różnych językach regionalnych. Wtedy rozumiałem, że to z Polską jest coś nie tak. I zacząłem swoją walkę.

Tak więc uznanie języka śląskiego za język regionalny, Ślązaków za mniejszość etniczną wzmocni Polskę, zalegalizuje wielokulturowość. Śląsk był zawsze miejscem otwartym, tutaj mieszkali obok siebie Ślązacy, Polacy, Niemcy, Czesi, Żydzi, obecnie tyśiące Ukraińców i nie dam sobie wmówić, że to jest coś złego.

W grudniu 2020 roku udowodniłem empirycznie tutaj, w Parlamencie Europejskim – w Brukseli, dwa piętra wyżej – że śląski to język. Potwierdził to zarówno wiceprzewodniczący PE, jak i polski tłumacz, który nie potrafił kilku zdań po śląsku przetłumaczyć na język angielski.

Dziecko odkrywa, że nie wypada przy ludziach rozmawiać po śląsku. Czy znam takie przypadki? Setki. Sam byłem jednym z nich

A wiecie, dlaczego nie dał rady? Bo śląski to jest język, czy się to w Zjednoczonej Prawicy podoba, czy nie.

Śląska kultura przeżywa obecnie renesans. Wydawane są dziesiątki książek po śląsku, powstają fenomenalne sztuki teatralne, klasykę gatunku – „Mianujom mie Hanka” Teatru Korez – dzisiaj zobaczycie. Powstają reklamy po śląsku, śląskie słowa przedostają się do popkultury. To wszystko jednak dzieje się oddolnie.

A my chcielibyśmy tą naszą śląską kulturą się z Polską i z Europą podzielić. Na razie to dzieje się na Brynicy [rzeka] – pomiędzy Śląskiem a Zagłębiem toczy się pozytywna regionalna rywalizacja, a jednocześnie współpraca na wielu płaszczyznach.

W 2019 roku wymyśliłem, aby wspólnie śląskie i zagłębiowskie miasta, które są przecież połączone organizmem metropolii, ubiegały się o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury w 2029 roku, wtedy, kiedy Polska ma na to okazję. Zaraziłem tym pomysłem prezydenta Katowic, prezydenta Sosnowca, szefa metropolii i wiele samorządów.

I powiedzieli tak! Traktuję dzisiejszy spektakl w Brukseli jako kamień milowy tych starań i najlepszy starter. Śląsk i Zagłębie będą Europejską Stolicą Kultury!

A już w 2024 roku Katowice będą Europejskim Miastem Nauki – to ogromny sukces katowickich uczelni, które się zjednoczyły i wygrały starania.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Żenia Berkowicz*

Potrzebne ubranie dla kobiety...

*Potrzebne ubranie dla kobiety,
Wiek: siedemdziesiąt lat,
Z miasta, po którym zaginęł ślad.*

*T-shirt M – Mariupol,
Kurtka L – Lisiczańsk,
Stanik z miseczką B –
Borodziańska i Bucza.
Ze sobą ma tylko paszport,
Histerię cały czas,
I zdjęcie opartego o czołg wnuczka.*

*Butów i spodni brakuje najczęściej.
Nie muszą być nowe –
Bo kto jest nowy na świecie –
Ale wszystko powinno czyste,
wygodne.
Kto ma potrzebne rzeczy,
Niech przekaże, nie zwleka,
A gdy w końcu skończy się piekło,
To ono się nie skończy –
I oddamy bezdomnym.*

*Potrzebne jest ubranie dla chłopca,
Dopiero co przyszedł na świat,
W mieście, po którym zaginęł ślad,
Ale po ludziach zostały detale.
Gdzie on był przez te osiem przeklętych lat?
Gdzieś, gdzie nie ma wojny
Ani azowskiej stali,*

*Gdzie biegają koty,
Można kąpać się latem,
Gdzie nie ma moskwian ani Buriatów,
Tam, gdzie w lesie nie straszy licho,
Rano jest kasza manna,
Tam, gdzie nie ma wybuchów,
Ni katów,
Tam, gdzie z nieba można patrzeć po cichu,
Jak jeszcze idzie
do żywej szkoły
żywa mama.*

Przeł. Józefina Piątkowska

***Żenia Berkowicz** – ur. w 1985 r., rosyjska reżyserka, dramaturżka i poetka. Od pierwszego dnia aktywna przeciwniczka napaści Rosji na Ukrainę, autorka popularnych w mediach społecznościowych wierszy. Na początku maja władze wytoczyły jej sprawę karną w związku z wyreżyserowanym przez nią spektaklem o kobietach, które wirtualnie wychodzą za mąż za radykalnych wyznawców islamu i emigrują do Syrii. 5 maja sąd nakazał tymczasowe aresztowanie Berkowicz i Swietłany Pietrijczuk, autorki sztuki, za „usprawiedliwianie terroryzmu”.



FOT. JAKUB WŁÓDEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Łukasz Kohut

• ur. w 1982 roku, politolog, przedsiębiorca, fotograf. Od 2019 roku śląski poseł do Parlamentu Europejskiego z ramienia Nowej Lewicy, członek frakcji Grupa Postępowego Sojuszu Socjalistów i Demokratów.

Tekst to jego wprowadzenie do debaty, która odbyła się 21 marca tego roku podczas Święta Śląska w europarlamencie w Brukseli. Wzięli w niej udział także Hanna Machińska i Adam Michnik. Tytuł – „Wyborcza”

Ropa jest ważniejsza

Niż Pierwsze Narody, indiańskie cmentarze i najstarszy więzień polityczny Ameryki

Jarkowiec

W upalny dzień czerwca 1975 r. agenci specjalsi Jack Coler i Ronald Williams, śledząc Lakotę podejrzanego o kradzież kowbojskich butów, zajęli pod ranczo Skaczącego Byka w osadzie Oglala w rezerwacie Pine Ridge w Dakocie Południowej. Ranczo było gniazdem wojowników Ruchu Amerykańskich Indian (American Indian Movement, AIM). Gdy wysiedli z samochodu, doszło do wymiany ognia. Do dziś nie ustalono, kto zaczął. Williams przez radio wezwał posiłki. Zameldował, że jest ranny i że zginą, jeśli pomoc nie nadejdzie szybko. Agenci osłonięci autem strzelali z rewolwerów kalibru 38. Ludzie AIM ukryci za brezentowym namiotem walili do nich z karabinów.

Gdy nadjechały wozy FBI i policji rezerwatu, Coler i Williams już byli martwi. Po stronie AIM padł Lakota Joe Stuntz. W samochodzie federalnych znaleziono 125 dziur po kulach. W następnych dniach FBI ściągnęło do rezerwatu setki ludzi. Rozpoczęło się polowanie na wojowników AIM. Kilka miesięcy później przed sądem w Cedar Rapids w Iowa stanęli Bob Robideau i Darrelle Butler. Trzecim oskarżonym był inny bojownik Ruchu – Leonard Peltier. Zbiegł do Kanady. FBI umieściło go na liście dziesięciu najbardziej poszukiwanych przestępców w kraju.

Ława przysięgłych uniewinniła Robideau i Butlera. Przysięgli uznali, że nie ma dowodów wskazujących na to, kto oddał śmiertelne strzały do funkcjonariuszy. Wzięli też pod uwagę fakt, że w rezerwacie trwał terror przeciw AIM i oskarżeni mogli strzelać w obronie własnej.

Gdyby Peltier był sądzony w tym procesie, też wyszedłby z sądu wolny.

Ale kiedy został aresztowany w Kanadzie, a rząd USA uzyskał ekstradycję, ruszył nowy proces, tym razem nie w Iowa, lecz w Fargo w Dakocie Północnej. Tam stosunki między białą większością a mniejszością rdzennych ludów nie były dobre. Budynek sądu i członków – w całości białej – ławy przysięgłych chroniły jednostki specjalne. Rozprawy wyglądały, jakby sądzono najniebezpieczniejszego w kraju zbrodniarza. Ława uznała, że Peltier jest winny obu zabójstw. Dostał podwójne dożywocie.

W następnych latach na jaw wychodziły fakty podające w wątpliwość jego odpowiedzialność za śmierć agentów. Dziś Peltier pozostaje najdłużej przetrzymywanym więźniem politycznym Stanów Zjednoczonych i jednym z najdłużej zjedzących na świecie. Prezydent Joe Biden mógłby go uwolnić jednym podpisem.

Dwa lata przed strzelaniną na ranczu Skaczącego Byka, w lutym 1973 r., asfaltową drogą wijącą się między przyproszonymi śniegiem pagórkami sunie ponad pięćdziesiąt samochodów. Światła reflektorów zbite w ciasną karawanę z oddali wyglądają jak arka – bezpieczna, chroniona przez duchy. Wojownicy powiedzą w wywiadach, że byli gotowi na śmierć. Przejeżdżają koło budynków rady plemiennej w rezerwacie Pine Ridge, gdzie zgromadzili się bojówkarze prezydenta rady Dicka Wilsona oraz siły policji federalnej.

Wilson pochodzi z zasymilowanej, chrześcijańskiej rodziny. Gdy wygrał wybory, stworzył układ złożony z rodziny i znajomych. Ciągłi środki społeczne dla odległych, rozrzuconych po prerii tradycyjalistycznych dystryktów. Wszedł w spór ze starszyzną trzymającą rząd dusz w sporej części rezerwatu. Zorganizował bojówkę, która dostawała pikapy, broń i zadanie uciszania niezadowolonych.

W Pine Ridge trwa terror – pobicia, gwałty, mordy. Goryle Wilsona pojawiają się w osadach, gdzie młodzi mają kontakty z AIM. Organizację tę prezydent nazywa „największym problemem współczesnych Indian, bandą łajz wciskających swe gęby i warkocze do telewizji”.

Ruch powstał w Minneapolis pod koniec lat 60. w odpowiedzi na brutalność policji. Wypłynął na fali rewolty tamtego czasu. Afroamerykanie mieli black power, rdzenni Amerykanie – red power. W początkach lat 70. jest już zrzeszeniem kilku tysięcy wojowników z różnych części kraju. Wielu to weterani z Korei i Wietnamu. Deklarują się jako duchowa grupa zbrojna. Mają na koncie kilka akcji nagłośnionych przez media. W lutym 1973 r. starszyzna Pine Ridge prosi ich o pomoc w walce z Wilsonem. AIM rozpoczyna okupację osady Wounded Knee, w świętym dla Lakotów miejscu, gdzie

lejących dekadach Kongres uchwałiał ustawy o samostanowieniu i edukacji pierwszych narodów o wolności religijnej i ekonomicznej w rezerwach. W 2004 r. w Waszyngtonie otwarto Narodowe Muzeum Indian Amerykańskich. W 2021 r. Deb Haaland z ludu Laguna Pueblo jako pierwsza rdzenna Amerykanka dostała tekę sekretarza w administracji prezydenckiej, obejmując u Bidena Departament Zasobów Wewnętrznych.

Dziś kwitnie rdzenna kultura. Dociera nawet do nas. W ubiegłym roku na American Film Festival we Wrocławiu pokazano film „War Pony”, współtworzoną przez Lakotów wstrząsającą opowieść o dorastaniu w Pine Ridge. Polską premierę miały „Zimowe kroniki” lakockiego pisarza Davida Heskiego Wanblego Weidena – zasypywany nagrodami thriller o zderzeniu samozwańczego stróża prawa z polityczno-narkotykowym układem rezerwatu Rosebud w Dakocie Południowej.

Jednocześnie dziesiątki rezerwatów pozostają krainami biedy. Pandemia ukazała przepaść między nimi a resztą kraju w dostępie do ochrony zdrowia i opieki społecznej. Pine Ridge jest najuboższym regionem USA. Średnia oczekiwana długość życia dla kobiet wynosi tam 52 lata, dla mężczyzn – 48. Umieralność niemowląt jest trzy razy wyższa niż średnia dla kraju.

W rezerwacie Pine Ridge średnia długość życia kobiet wynosi 52 lata, mężczyzn 48. Umieralność niemowląt jest trzy razy wyższa niż średnia dla kraju

w 1890 r. kawaleria zmasakrowała setki kobiet i dzieci. Przybywa kilka tysięcy Indian z całego kraju. Żądania: dymisja Wilsona i rewizja traktatów zlamanych przez USA w XIX w.

Wounded Knee otaczają FBI, gwardia narodowa i wojsko. Do Pine Ridge zajeżdżają wozy opancerzone, nad rezerwatem latają helikoptery i myśliwce. Przez niemal trzy miesiące konfrontacja nie schodzi z czołówek mediów. Magazyn „The Nation” pisze: „Wounded Knee jest przykładem nowej strategii politycznej, omijającej tradycyjne kanały nacisku na rząd. Rebelianci odwołują się bezpośrednio do publiczności za pomocą mass mediów. W ten sposób nawet nieliczna grupa może zapędzić do narożnika nawet najpotężniejszą władzę”.

Rząd nie poszedł na rozwiązanie siłowe, bo na Wounded Knee patrzył cały świat. Okupacja, w czasie której zginęło dwóch Lakotów, skończyła się rozejmem 8 maja 1973 r.

W czasie niedawnych obchodów 50. rocznicy jedna z uczestniczek, 82-letnia dziś Madonna Thunder Hawk, powiedziała: – To była walka o ziemię. Bez niej nie istniejemy.

Po setkach lat kulturowego wynaradawiania przeprowadzanego przez rząd USA m.in. w szkołach z internatami Wounded Knee było dla rdzennych narodów przebudzeniem. W rezerwach zaczęły powstawać szkoły plemienne. Młodzi Indianie zwrócili się ku tradycji, rdzennym językom, przekazywanej ustnie historii. Doszło do przełomu na poziomie polityki – w ko-

Strzelanina na ranczu Skaczącego Byka, w której zginęło dwóch agentów FBI, miała miejsce w czasie, kiedy żniwo zbierała kampania bojówek prezydenta rady plemiennej Dicka Wilsona przeciw AIM. FBI było sojusznikiem rady. Federalnych postrzegano w rezerwacie jako śmiertelne zagrożenie. W latach 1973-76, zanim Wilson oddał władzę, w rezerwacie Pine Ridge zamordowano 66 osób związanych z AIM. Nigdy nie wyjaśniono żadnej z tych zbrodni.

Proces Peltiera został skorumpowany. FBI sfabrykowała zeznania wykorzystane we wniosku ekstradycyjnym. Zastraszano świadków. Żadna z łusek zebranych przy zabitych nie pochodziła z broni, z której strzelał. Tak wykazała ekspertyza samych federalnych. Zataili wyniki przed obrońcami, nie dowiedziała się o nich ława przysięgłych. Sędzia prowadzący sprawę znany był z rasistowskich wypowiedzi.

Pytany w wywiadzie, dlaczego – skoro uważał, że jest niewinny – uciekł do Kanady, Peltier odpowiedział:

– Zakładaliśmy, że wszyscy obecni wtedy na ranczu dostaną oskarżenia. Doświadczamy amerykańskiej sprawiedliwości od kilkuset lat. Wiemy, że niewinność nie ma znaczenia.

78-letni Peltier siedzi w zakładzie o zastrzonym rygorze w Coleman na Florydzie. Choruje, porusza się za pomocą chodzika. Od 1993 roku ma prawo do składania wniosku o przedterminowe zwolnienie, ale wszystkie jego prośby zostały odrzucone. Prezydenci, od Clintona poczynając, na Trum-

pie kończąc, mogli skorzystać z prawa łaski. Nie zrobili tego mimo kampanii Amnesty International, apeli Watykanu, ONZ i Parlamentu Europejskiego. Joe Biden też jest w tej sprawie pod presją społeczeństwa obywatelskiego i zagranicy, ale milczy.

W Stanach nigdy nie zainicjowano oficjalnego procesu pojednania z Pierwszymi Narodami, jaki prowadzi Kanada. Oznaczałby on rewizję traktatów, ryzyko wielomiliardowych odszkodowań i zwrotu ziem, pod którymi zalegają surowce. Zamknięty od 46 lat w więzieniu Peltier jest symboliczną postacią trwającego konfliktu.

Kilka lat temu odwiedziłem rezerwat Standing Rock w Dakocie Północnej, gdzie odbywał się protest przeciw budowie rurociągu przez pradawne tereny pochówku Lakotów. Przyjechały tysiące Indian z całych Stanów. Jeden z nich, Nova, pochodzący z ludu Taino, były komandos i weteran amerykańskich wojen, powiedział mi:

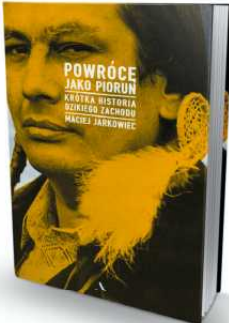
– Wiesz, dlaczego nie wypuszczą Peltiera? Pokazaliby słabość. Rząd Stanów Zjednoczonych na słabość nie może sobie pozwolić. ●

Maciej Jarkowiec

„Nienawidziłem tych gównianych, szutrowych dróg, tych rozlatujących się domów i sfor ujadających psów, wąsających się po ulicach i zaułkach. Dlaczego nie wyjechałem? Bo rezerwat to stan umysłu”. David Heska Wanbli Weiden, z wykształcenia prawnik, z zawodu profesor Uniwersytetu w Denver, z serca, dziada i pradziada Lakota, pokazuje indiańską codzienność w gorzko-sarkastycznym, pełnym obyczajowych i historycznych nawiązań thrillerze „**Zimowe kroniki**”. Książka dostępna w dobrych księgarniach i na stronie wydawnictwa Tipi.



Jak barowy zabijaka, buntownik żyjący poza systemem, aktor, celebryta stał się głosem indiańskiej rewolucji? Biografia wodza Russella Meansa pióra Macieja Jarkowca to wstrząsająca opowieść o losie amerykańskich Indian i ciemnych stronach amerykańskiego mitu. „**Powrótę jako piorun. Krótka historia Dzikiego Zachodu**” na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl



FOT. MACIEJ CZARNECKI

ALFABET NOWOJORSKI 2023

JAK UGRYZĆ WIELKIE JABŁKO

Greenpoint
to już nie
„little Poland”,
ale „little Tokio”,
za to możecie
zatankować na Łukoilu

Maciej Czarnecki, Nowy Jork

A – **Adams** – 62-letni ekskapitan policji Eric Adams jest burmistrzem od początku 2022 r. Drugim czarnym w historii – po Davidzie Dinkinsie, który rządził miastem we wczesnych latach 90. Obiecywał, że upora się z trapiącą miasto przestępczością. Po pierwszym roku przekonuje, że wziął się do roboty, czego dowodem mają być (umiarkowane) spadki w statystykach zabójstw i strzelanin. Jednak wielu nowojorczyków nadal woli wziąć tak-sówkę, niż włożyć się gdzieś po nocy (i tylko nierozważny autor tego tekstu zaraz po przybyciu do miasta nad ranem wypuścił się na spacer po puściutkim jeszcze moście Brooklińskim). A burmistrz ma też inne bóle głowy: pustki w kasie po pandemii, kosmiczny brak mieszkań w rozsądnych cenach czy imigranci masowo podsyłani do miasta autobusami przez republikańskich gubernatorów z Południa.

B – **Brooklyn Public Library** – grupa partyzantów bibliotekarzy z monumentalnego gmachu w stylu art déco przy Grand Army Plaza znalazła odpowiedź na plagę usuwania „nieprawomyślnych” książek z bibliotek szkolnych w konserwatywnych stanach USA: udostępniają je młodzieży cyfrowo. Wśród zakazanych tytułów królują te o LGBT, rasizmie (w tym dzieła noblistki Toni Morrison) i brutalności policji. Zgłosili się już po nie młodzi ludzie z każdego stanu USA i Puerto Rico. Brooklyn amerykańską stolicą wolności słowa?

C – **COVID** – Nowy Jork przeżył hekatombę w pierwszych miesiącach pandemii. Wiele mieszkańców pamięta gnające pustymi ulicami miasta karetki, zaparkowane pod szpitalami ciężarówki chłodnicze na ciała, masowe centra dla chorych w Central Parku czy Jacob K. Javits Convention Center na Manhattanie. Trzy lata po tych scenach ulice znów tętnią życiem, ale na wielu nadal widać namioty, w których można wykonać test. Nieliczni – zwykle ci mniej uprzywilejowani z racji na stan zdrowia lub pozycję (np. recepcjoniści w hotelach) – noszą jeszcze maseczki.

D – **dawne księgarnie** – złote czasy niezależnych nowojorskich księgarni i antykwariatów minęły wraz z nadejściem sprzedaży przez internet, ale tu i ówdzie nadal można je odnaleźć. Słynna Argosy Book Store na wschodniej 59. Ulicy należy już do trzeciego pokolenia właścicieli i wygląda, jakby udało się jej zatrzymać czas. Poza książkami sprzedaje też stare mapy i ryciny. Niektórzy przychodzą tu tylko po to, żeby posiedzieć na krześle i poczuć klimat dawnego Nowego Jorku.

E – **Empire State Building** – najsłynniejszy nowojorski budynek wraz z nowym rokiem zyskał nowy szlif. Nie-dosłownie, ściany stoją, jak stały – chodzi o entourage, na który wydano 165 mln dol., by pójść z duchem czasu. Pracownicy, którzy z niegdyśszych strażników porządku przedzierzgnęli się w obowiązkowo uśmiechniętych przewodników, porzucili charak-

terystyczne bordowe mundury na rzecz piaskowych z niebieskimi elementami na czapce i kołnierzu. Wejście przeniesiono za róg, ze słynnej Piątej Alei na zachodnią 34. Ulicę. A na drugim piętrze dodano interaktywne muzeum. Nie zmienił się tylko widok z 86. piętra. I to, że – jak głosił przewodnik po mieście z 1939 r. – „wznosi się ponad Nowym Jorkiem jak wielka, śródłądowa latarnia”.

F – Fat Ham – taki tytuł nosi jedna z najciekawszych sztuk na Broadwayu tej wiosny. Afroamerykański scenarzysta James IJames postanowił przenieść historię Hamleta w realia amerykańskiego Południa. Niby wszystko się zgadza: pewien młodzian jest rozdarty z powodu ślubu matki z bratem jej zmarłego męża. Tyle że Hamlet jest gejem, rodzina czarna, a spory toczony przy rodzinnym grillu boleśnie współczesne. Najważniejszy krytyk teatralny „New York Timesa” Jesse Greene ocenił, że sztuka jest „przezabawna, a zarazem głęboka”.

G – Greenpoint – „mała Polska” staje się „małym Tokio”. W ostatnim czasie w tej części Brooklynu otworzyło się sporo modnych japońskich knajpek i sklepów. Do dawnego magazynu Norman 50 wprowadziły się m.in. Dashi Okume, restauracja serwująca w Tokio od 1871 r. tradycyjną zupę z suszonych ryb, wodorostów i grzybów, czy Cibone, sklep z rękodziełem japońskich designerów. Tuż obok – japoński spożywczak, kolejna restauracja Rule of Thirds, salon herbaciany Kettl i sklep z alkoholem Bin Bin Sake. Ale jak komuś nie pasuje, w knajpie obok nadal może zamówić schabowego.

H – Hopper – Whitney Museum of American Art, gdzie po śmierci Edwarda Hoppera trafiło wiele jego obrazów, zorganizowało tej zimy wystawę pokazującą, jak słynny podglądacz nowojorskiej samotności portretował miasto. Obok najsłynniejszych obrazów Hoppera pokazano rarytasy dla jego maniaków – takich jak niżej podpisany, który powiesił sobie na ścianie w salonie tanią reprodukcję „New York Movie”. Na przykład serię szkiców postaci melancholijnej bileterki z tegoż obrazu, do których jak zwykle pozowała żona artysty Jo Hopper, czy film prezentujący wnętrza historycznych kin, na których Hopper się wzorował. Wystawa już się skończyła, ale wiele obrazów nadal można oglądać w galerii stalej.

I – I am New York – przewodnik bardziej po klimacie niż samych atrakcjach Nowego Jorku z kolorowymi ilustracjami autorstwa Włocha Carla Stangi. Niewielu książeczkom udało się oddać go lepiej z tymi wszystkimi żółtymi taksówkami, mostami nad rzeką Hudson, Central Parkiem, drapaczami chmur i ceglаныmi budynkami ze schodami na zewnątrz, estakadami dla pociągów i stacjami metra, kakofonią neonów i food truckami, a przede wszystkim wielokulturowym tłumem na ulicach.

J – Jackson Heights – kto chce poczuć prawdziwy puls Nowego Jorku, niech porzuci na chwilę atrakcje turystyczne Manhattanu i pojedzie metrem do tej dzielnicy na północno-zachodnim skrawku Queens. „New York Times” określił Jackson Heights mianem „najbardziej zróżnicowanej kulturowo dzielnicy w Nowym Jorku, jeśli nie na ziemi”. Są tu „mała Kolumbia”, „małe Indie”, „mały Bangladesz” i wiele innych małych światów. Według BBC ludzie mówią tu co najmniej 160 różnymi językami.

K – ketamina – jeśli kojarzysz tę substancję psychoaktywną z sal operacyjnych, to zapewne jesteś anestezjologiem. Jeśli z klubów nocnych – cóż, przekaz dilerowi, że w Nowym Jorku miałby poważną konkurencję. Psychodeliczne centrum wellness Nushama na Manhattanie całkiem legalnie oferuje ketaminowe sesje, które mają leczyć depresję, nalogi, stres pourazowy i inne choroby lub zaburzenia. Informacjom o „wysokodawkowych ketaminowych podróżach” towarzyszy na stronie centrum

Island – Gujańczykiem, który prowadził franczyzę. Opowiadał, że obroty spadły mu o połowę, a pracownicy są nękani. Większość stacji z logo Łukoilu w 11 stacjach na Wschodnim Wybrzeżu to właśnie franczyzy.

M – marihuana – na ulicach w centrum miasta bardzo rzadko można zetknąć się z dymem papierosowym. Natomiast inny charakterystyczny dymek jest wszechobecny. To efekt zalegalizowania przez stan marihuany w 2021 r. Pierwszy sklep z licencją na sprzedaż do celów rekreacyjnych otworzył się pod koniec zeszłego roku na dolnym Manhattanie (na rogu Broadway & Astor Place). Od tego czasu pojawiły się kolejne.

N – najem – koszmar wszystkich marzących o życiu w Nowym Jorku. Niedobór mieszkań, inflacja, napływ chętnych do życia w mieście po wyprowadzkach podczas pandemii wywindowały i tak wysokie czynsze do niebotycznych poziomów. Według serwisu RentHop w kwietniu za kawalerkę trzeba

Alei i zachodniej 17. Ulicy, w której można kupić m.in. plakaty autorstwa pop-artowych luminary. Wypatrzyłem tam również polskie akcenty. Np. za jedyne 325 dol. można zostać posiadaczem plakatu Waldemara Świerzego z 1975 r., reklamującego „Łożę królewską” Tadeusza Dobrzańskiego w Operetce Warszawskiej.

R – Randle – jednym z najważniejszych zawodników drużyny NBA New York Knicks jest mierzący 203 cm wzrostu skrzydłowy Julius Randle. W tym sezonie 28-latek notuje średnio 25 punktów, dziesięć zbiórek i cztery asysty w meczu. A publiczność w Madison Square Garden za nim szaleje.

S – Santos – 34-letni, świeżo upieczony kongresmen Republikanów z Nowego Jorku George Santos okazał się jednym z największych hochsztaplerów w historii amerykańskiej polityki (a konkurencja jest spora!). Po listopadowych wyborach wyszło na jaw, że zmyślił w zasadzie wszystko: wykształcenie, historię zawodową, rodzinną, pochodze-

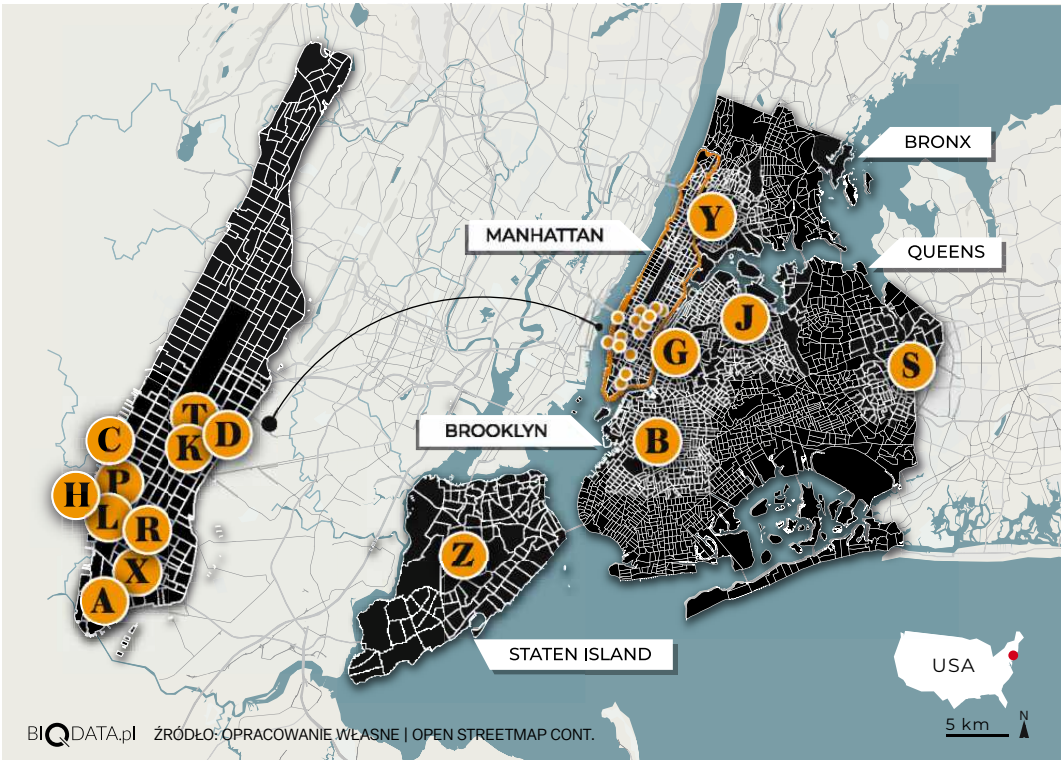
U – uchodźcy – republikańscy gubernatorzy stanów z południa USA podsyłają ich do Nowego Jorku autobusami i samolotami. A miasto kwateruje ich, gdzie może: od specjalnych centrów z łózkami polowymi po wynajmowane hotele na Manhattanie. Uciekinierzy z targanych niepokojami krajów Ameryki Łacińskiej nie mają łatwego życia w wielkomiejskiej dżungli.

W – wróżbici – przechadzając się po Nowym Jorku, prędzej czy później – raczej prędzej! – musicie natknąć się na ich osobliwe gabinety: neon w oknie, obskurna klatka schodowa, a w środku tarot, szklane kule, tajemnicze figurki, iście filmowe imaginarium mające przekonać klienta, że gospodarz ma kontakt z nadprzyrodzonymi mocami. Ciężko wytłumaczyć, dlaczego cieszą się taką popularnością. Co ciekawe, od lat 60. usługi okultystyczne w Nowym Jorku są zagrożone karą grzywny lub nawet 90 dni więzienia. Wróżbici znaleźli jednak lukę: zastrzegają, że wszystko ma na celu rozrywkę. Wicie, to tylko taki show (mrugnięcie okiem); przypomina się niegdysiejsza polska sprzedaż dopalaczy „dla celów kolekcjonerskich”.

X – Xi Jinping – cień autorytarnego przywódcy Chin na chwilę pojawił się nad Nowym Jorkiem: okazało się, że na Manhattanie działała do niedawna nielegalna ekspozytura chińskiego ministerstwa bezpieczeństwa publicznego. Miała nękać chińskich dysydentów w USA. Komisariat zamknęło jesienią FBI, a w kwietniu prokuratura postawiła zarzuty dwóm nowojorczykom za jego prowadzenie. Grozi im do 25 lat więzienia.

Y – Yankees – nowojorska drużyna baseballowa zainaugurowała sezon 30 marca meczem z San Francisco Giants. Już w grudniu udało jej się podpisać nowy, dziesięcioletni kontrakt na 360 mln dol. ze swoim gwiazdorem Aaronem Judge'em. Warto przejść się na jej parę meczów, które odbywają się niemal codziennie.

Z – zgiełk – z czym kojarzy się wielkie miasto? To jasne, z hałasem! W 2022 r. nowojorczycy zgłosili w tej sprawie dokładnie 739 tys. 527 skarg – podaje „New York Post”. Skarżą się na wszystko: ryk samochodów, szczekanie psów, głośną muzykę, helikoptery, młoty pneumatyczne... Patrząc na liczbę zgłoszeń, najgłośniejszą dzielnicą jest Bronx, następne są Manhattan i Brooklyn. Amatorzy względnego spokoju powinni poszukać go – tu brak niespodzianek – na Staten Island. „Cały ten zgiełk”... no właśnie, polski tytuł słynnego musicalu o choreografii z Broadwayu z 1979 r. był proroczy! ●



zdjęcie odprężonej na kanapie młodej kobiety ze słuchawkami na uszach. Oczywiście wszystko ma swoją cenę. W tym przypadku – 4,5 tys. dol.

L – L'Antica Pizzeria Da Michele – w zachodniej części kulturowego tygla Greenwich Village, mało oryginalnie zwanej West Village, otworzyła się właśnie franczyza jednej z najsłynniejszych neapolitańskich pizzerii. Wcześniej włoscy wspólnicy otworzyli już lokale na Zachodnim Wybrzeżu: w Hollywood i Santa Barbara. Podobno uliczki West Village przypominają im te z Neapolu. Pizza też ma być podobna dzięki składnikom z Włoch.

Ł – Łukoil – w Nowym Jorku działa kilka stacji benzynowych z logo rosyjskiego giganta. Co ciekawe, w 2003 r., kiedy Łukoil przejął Getty Petroleum, jedną odwiedził sam Putin. Krótko po inwazji na Ukrainę „New York Times” rozmawiał z właścicielem stacji na Long

było płacić średnio prawie 3,3 tys. dol. miesięcznie, a za mieszkanie trzypokojowe – 5,5 tys. dol. Nic dziwnego, że wielu młodych ludzi w Nowym Jorku wynajmuje mieszkanie ze współlokatorami. Kultowi „Przyjaciele” na Manhattanie nie wzięli się znikąd!

O – opady – kiedy przyjechałem na początku lutego, wszyscy rozmawiali o jednym: jak to możliwe, że tej zimy jeszcze nie śnieżyło?! Pod koniec miesiąca miasto pokryło się cienką warstwą puchu, ale tylko na chwilę. Tak czy inaczej miniona zima była w Nowym Jorku wyjątkowo ciepła, a po Central Parku w niektóre dni spacerowało się jak wiosną. Eksperti tłumaczą to m.in. występującym na Pacyfiku zjawiskiem pogodowym La Niña.

P – pop-art – niewiele miast tak mocno kojarzy się z tym prądem artystycznym. W końcu to tu tworzyli Andy Warhol, Roy Lichtenstein czy Jasper Johns. Korzysta z tego niepozorna galeria na rogu Ósmej

nie, majątek, źródła finansowania kampanii. Komentatorzy do dziś zachodzą w głowę, jak udało mu się nabrać mieszkańców obejmującego część Queens i Long Island okręgu wyborczego, który wcześniej głosował na Demokratów. Sondaże pokazują, że większość wyborców jest wściekła i chciałaby jego rezygnacji. A on pokazuje im figę.

T – Trump – najsłynniejszy nowojorczyk ostatnich lat przeprowadził się najpierw do Białego Domu, a potem na Florydę, ale niedawno znów pojawił się w mieście. Tym razem nie po to, by spojrzeć w dół z ponad 200-metrowej Trump Tower przy Piątej Alei, w której turyści mogą buszować w galerii handlowej albo zjeść dobrze wysmażony stek w restauracji na dolnym poziomie. Trump dostał zarzuty od prokuratorów z Manhattanu w związku z przedwyborczymi płatnościami dla byłej gwiazdy porno i musiał zjawić się w sądzie. Życzymy mu, by odwiedzał swoje miasto jak najczęściej!



Autorem wielu haseł jest **Dariusz Wołowski**

WEEKENDÓWKA Z KLASYKIEM

Alfonso León Fernando María Jaime Isidro Pascual Antonio de Borbón y Habsburgo-Lorena 17 maja 1902 roku miał skończyć lat 16 i w związku z tym wstąpić na tron Hiszpanii i umożliwić nazywanie go znacznie prościej: Alfonso XIII.

Carlos Padrós Rubió, hiszpański polityk i biznesmen, chciał uczcić fakt koronacji nowego króla w wyjątkowy sposób. A że był jednym z założycieli piłkarskiego klubu Madrid FC, uznał, że najlepiej będzie celebrować na boisku. Wpadł na pomysł turnieju, który nazwał Copa de la Coronación – Puchar Koronacji – a w którym rywalizować miały hiszpańskie kluby.

Do Madrid FC dołączyły Club Espanyol de Foot-Ball, New Foot-Ball Club, Bizcaya (połączone siły baskijskich Athletic Club i Bilbao Football Club) oraz FC Barcelona.

13 maja o godz. 11 na hipodromie przy ulicy La Castellana w Madrycie po raz pierwszy w historii stanęły naprzeciwko siebie ekipy Barcelony i Realu Madryt, choć przydomek „Królewski” klub ze stolicy zyskał dopiero w 1920 roku, a nadal go... Alfons XIII właśnie. Zgadzały się już za to stroje: madrytscy za grali na biało, ekipa z Katalonii na bordowo-granatowo.

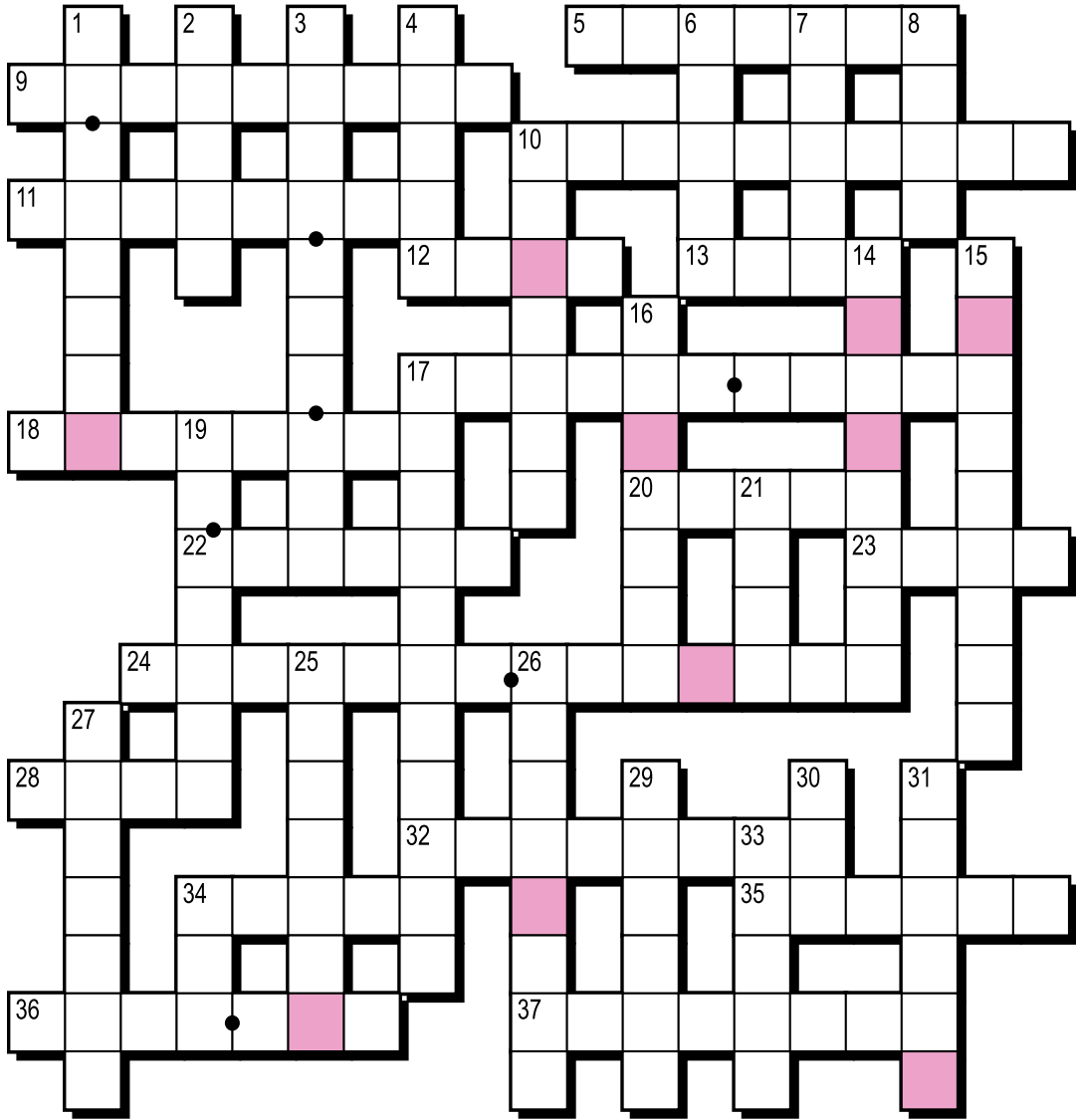
Zdecydowanym faworytem premierowego El Clásico, jak z czasem zaczęto nazywać starcia Realu i Barcy, była Blaugrana. Klub istniał już od trzech lat, okrzepł, miał w składzie Szwajcarów, m.in. legendarnego Joana (Hansa) Gampera, założyciela klubu i jego pierwszego prezesa oraz kilku Anglików (Arthura Witty’ego, Johna Parsonsa i Henry’ego Morrisa), którzy wówczas o kopaniu piłki mieli największe pojęcie.

Jedne źródła podają, że Barcelona musiała odrobić straty po golem urodzonego w Dublinie Arthura Johnsona dla Madrid FC. Inne, że Barca po trafieniach Niemca Udo Steinberga prowadziła już wtedy 2:0, a wynik ustalił strzałem z rzutu karnego Gamper (choć inne źródła wskazują na jego rodaka, George’a Meyera). Dość powiedzieć, że pierwsze El Clásico w historii, które miało oglądać około dwóch tysięcy widzów, wygrała Barcelona.

I tak zaczęła się historia meczu nad meczami, bo dziś starcia Realu z Barceloną to zdecydowanie najsłynniejsze piłkarskie widowisko na świecie. Podszycie oczywiście licznymi historycznymi kontrowersjami, mnóstwem polityki, nieczystej gry – kibice Barcy lubią wytykać rywalom faworyzowanie ich klubu ze strony dyktatora Francisco Franco. Ale El Clásico to wciąż naj pod każdym względem święto futbolu, a Los Blancos i Blaugrana elektryzują kibiców – i niekoniecznie kibiców – na całym świecie.

Dlatego dzisiaj „Weekendówkę” poświęcamy El Clásico, ale też w szerszym znaczeniu Madrytowi i Barcelonie, cudownym miejscach, w których czas po prostu płynie inaczej. A o pomoc w ułożeniu haseł poprosiliśmy Dariusza Wołowskiego, dziennikarza działu sportowego „Gazety Wyborczej”, korespondenta kilku turniejów mistrzostw świata i mistrzostw Europy oraz igrzysk olimpijskich, wielkiego znawcę szczególnie hiszpańskiego i latynoskiego futbolu, autora książki „Canarinhos. 11 wcieleni boga futbolu”.

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 51 z 6.05:

Poziomo:

- 5) Wielki Mur Chiński
- 8) Ławra
- 10) Samarkanda
- 13) muzea 14) Sydney
- 16) Notre Dame
- 18) Malezja 22) Golden Gate 24) zapor
- 26) zamek 27) meczet
- 28) cerkiew 30) Igła
- 32) Petra 34) Tarasy
- 35) Agra 37) Kair
- 38) Pentagon
- 39) Wersal

Pionowo:

- 1) Biały Dom
- 2) piramida 3) Niemcy
- 4) Piza 6) Luwr 7) casa
- 9) Rzym 11) Kreml
- 12) Dubaj
- 14) Stonehenge
- 15) Dom 17) Rialto
- 19) Alhambra
- 20) Alcatraz 21) pałac
- 22) Gwatemala
- 23) Buckingham
- 25) Ateny 29) Kraków
- 31) Brama 32) Peru
- 33) rynek 36) atom.

HASŁO: **BIG BEN. KAPITOL**

EL CLÁSICO

Hasła Dariusza Wołowskiego oznaczono inicjałami (D.W.). Litera w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 5) piłkarskie lub leśne
- 9) region, którego symbolem jest Barcelona (D.W.)
- 10) zwierzę w herbie Madrytu
- 11) Iván, Chilijczyk (8 bramek dla Realu w El Clásico)
- 12) np. Primera División
- 13) formacja, w której grali m.in. Santillana, César Rodríguez, Hugo Sánchez
- 17) najwięcej bramek w El Clásico (D.W.)
- 18) Federico, Urugwajczyk w barwach Realu

- 20) jedenastka (czasami z kapelusza)
- 22) gwiazda reprezentacji Brazylii, w 2015 roku wygrał z Barceloną Ligę Mistrzów (D.W.)
- 23) ... Enrique, ... Suárez lub ... Figo
- 24) kościół w Barcelonie uważany za opus magnum Gaudiego
- 28) napastnik Realu, zdobywca 15 bramek w El Clásico
- 32) ... Bernabéu, najstłynniejszy prezes Królewskich (D.W.)
- 34) Jerzy Dudek, pierwszy i jedyny ... w Realu
- 35) polski imiennik Di Stéfano
- 36) stadion Barcelony
- 37) ... Zidane, piłkarz, a po latach trener Realu

Pionowo:

- 1) najstłynniejsza ulica Barcelony (D.W.)
- 2) Sergio, do 2021 r. w Realu, najwięcej czerwonych kartek w La Liga (D.W.)
- 3) Puchar Króla (w oryginale)
- 4) niegodny miana fana
- 6) drużyna, reprezentacja
- 7) rezerwowch albo kar
- 8) ... Casillas, wieloletni bramkarz Realu i reprezentacji Hiszpanii
- 10) np. Złota Piłka
- 14) kraina historyczna z Madrytem
- 15) w 1992 r. zorganizowana w Barcelonie
- 16) David, grał m.in. w Manchesterze, Realu i Los Angeles Galaxy
- 17) pierwszy Polak w piłkarskiej Barcelonie (D.W.)

- 19) Louis, holenderski trener z Barceloną w CV
- 21) kto przegrał pierwsze El Clásico (D.W.)
- 25) CR7 i Luis Nazário de Lima (D.W.)
- 26) Karim Benzema i Ousmane Dembélé
- 27) madryckie lotnisko
- 29) ... bramkowy El Clásico – 424:415 dla Królewskich
- 30) jeeeeeeeest!
- 31) Ferran, od 2022 r. w składzie Barcy
- 33) Antoni, kataloński architekt, projektant m.in. budynków Casa Vicens i Casa Batlló, pałacu Güell
- 34) ... Guardiola, najlepszy trener w historii Barcelony (D.W.)

Leszek Rydz

Byłe do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!